



259,  
JÓZEF ROGOSZ.

# Pan na Granowie.

PORTRET HISTORYCZNY.



KRAKÓW.

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu”. — Druk W. Korneckiego w Krakowie.

1897.

Zbiory specjalne

~~CZY GŁÓWNA~~



71532

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW 0368215

K-168/76/71532

p

~~47/276~~



~~219/1~~

I.

### U bramy tryumfalnej.

— *Ruhig!* — zawołał starosta głosem suchym, i wy-  
ciągnął głowę ku studentom, którzy nie mogąc na jednym  
miejscu stać spokojnie, zaczęli potrącać się, mięszać i krzyżeć.

— *Ruhig! Still!* — zawtórował kancelista Zajac, który  
był zawsze echem starosty, i rękę do góry podniósłszy, malcom  
pogroził.

— *Hab Acht!* — zakomenderował rotmistrz, stojący na  
czele szwadronu huzarów.

Tłum liczący głów kilkanaście tysięcy, poruszył się jak łan  
zboża gdy wiatr powieje. Ci zaczęli na palcach stawać, tamci  
gwałtownie naprzód się wysuwać, wielu szamocąc się, opierało  
się fali, co ich z sobą porywała, starosta jednak dawszy znak  
landsdragonom, którzy na drodze szpaler tworzyli, cofnął nie-  
sforną rzekę w dawne łożysko. Landsdragoni pięści nie szcze-  
dząc, utrzymywali porządek, co tem łatwiej im się udało, że  
na drodze nie było jeszcze widać tego, którego wszyscy z taką  
niecierpliwością wyglądali.

Tłum stał u bramy tryumfalnej, wzniesionej przez mia-  
sto obwodowe na przyjęcie arcyksięcia D' Este, który dnia tego  
z Wiednia miał przyjechać. Brama była wysoka, z młodych  
brzózek gustownie zbudowana, a ozdobiona choiną, wieńcami  
z żywych kwiatów i czarno-żółtymi chorągiewkami. W po-  
środku na samym szczycie, widać było dwugłowego orła ce-  
sarskiego, w nim cyfrę arcyksięcia. Brama stała tuż przy  
rogatce.

Dzień to był ważny w dziejach miasta, więc i przyjęcie musiało być godne gościa dostojnego. Starosta już od tygodnia rozsyłał landsdragonów z rozkazami i pisał okólniki, które po obwodzie krążyły. Gdy wielki dzień zaświtał, on pierwszy, za nim miasto całe wyruszyło za rogatkę. I oto widzimy najpierw cyrkuł wraz z urzędem podatkowym, załogą i strażą skarbową. Wszyscy urzędnicy w uniformach, białych pantalonach, przy szpadach i w kapeluszach stosowanych; wojsko zaś i straż skarbową z bronią na ramieniu. Obok nich stoją burmistrz z kluczami miasta na srebrnej tacy, proboszcz miejscowy, kanonik tytularny, z obydwoma wikarjuszami i zakon OO. Bernardynów; dalej w czterech rzędach widać uczniów szkół niższych i wyższych, między którymi nauczyciele wyglądają jak nasienniki na zrębie gęsto podszytym; za szkołami zajął stanowisko kahał żydowski z torą; jeszcze dalej ciągną się różne bractwa z chorągwiami, obrazami i krzyżami; na samym końcu widać dziadów kościelnych. Szwadron huzarów ustawił się nieco dalej po obu stronach drogi, i tylko patrol z pięciu ludzi złożony, podjeżdża klusem to do miasta, to w kierunku zjazd arcyksiążę ma przyjechać, by gościć być wolny i bezpieczny.

Po za tym światem urzędowym, jak oko zasięgnie, widać tłum złożony z mieszczan, wieśniaków i żydów.

Starosta wydał rozkaz, żeby wszystko wyglądało lojalnie; czy naród był posłuszny, o tem mógł się teraz sam naocznie przekonać.

Wszystkie twarze były ogolone i pełne nastroju świątecznego; każdy wdział suknie najlepsze; żydzi atłasowe żupany i czapki sobolowe; damy miejskie, których kilkanaście pod dowództwem pani starościny pojawiło się w ostatniej chwili, były jak na bal wystrojone; nawet na piersiach niektórych dziadów kościelnych widać było ordery i krzyże zasługi. Byli to dawni żołnierze, którzy w obronie monarchji austriackiej walczyli z Napoleonem, teraz jednak, nie mogąc utrzymać się ze skromnej emerytury, zarabiali na chleb codzienny, żebrząc pod kościołem.

Niemniej ważnym dowodem lojalności był kolor czarno-żółty, który wszędzie się pojawiał. Prócz chorągiewek na bramie tryumfalnej, wszystkie obrazy i chorągwie kościelne miały u góry wstążki czarno-żółte; posążek Matki Boskiej był ubrany w taką suknię jedwabną, a dziewczęta miejskie, które go niosły, włożyły na swoje piersi szarfy czarno-żółte; słowem wszystko i wszyscy starali się zastosować do rogatki i tuż przy niej stojącego słupa milowego, na których dzień przedtem odświeżano także czarno-żółte kolory.

Najwyższy dowód lojalności złożyli jednak inwalidzi, stojący wraz z innymi dziadami. Ci zabrawszy z kościoła duży krzyż z rzeźbionym Chrystusem, ustroili go w biały uniform żołnierza austriackiego i pantalon granatowy, czapkę zaś z orzełkiem nie mogąc pomieścić na małej głowie Zbawiciela, powiesili na szczycie krzyża, z kądem fantastycznie na jeden bok skrzywiona świadczyła o najwyższym hołdzie złożonym przez inwalidów naczelnikowi rządu i najwyższej czci Bogu oddanej.

— Ciekawym, jak my tu jeszcze długo stać będziemy — szepnął jeden student do drugiego. Mnie już tak nogi bolą, że wytrzymać nie mogę.

— A ja głodny aż strach! — uzupełnił towarzysz robiąc minę kwaśną.

— Bóg wie kiedy przyjedzie.

— Może całkiem nie przyjedzie.

— Wielka byłaby szkoda... takesmy się długo nastali...

— Pst! Julku!... pan profesor nadchodzi.

Studenci umilkli.

Między urzędnikami panowała cisza grobowa; z żydów także żaden ust nie otworzył. Za to damy żywo szeptały, ukradkiem ku huzarom poglądając; najgłośniej jednak rozmawiali chłopcy i mieszczanie, którzy stojąc zdala od landsdragonów, nie byli narażeni na ich upomnienia i pięści.

Przez tłum gęsto zbity przeciskał się podeszły już człowiek w kapocie małomieszczkańskiej, trzymając w jednej ręce papier w trąbkę zwinięty i czarno-żółtą wstążeczką związany, w drugiej czapkę rogatą z sukna czerwonego. Za nim postępowała sędziwa kobieta i kilku młodych ludzi. Napracowawszy

się niemało, dostali się nareszcie do pierwszego szeregu, który stał tuż przy gościńcu.

— Chwała ci panie Boże, zem już tu! — westchnął dziękczynnie małomieszczanin, ocierając końcem kapoty gorący pot z czoła.

— A suplikę masz Bartku? — kobieta zapytała.

— Prędzejbym o duszy zapomniał, niż o niej!.. Mówili, że cesarz daleko a Bóg wysoko, i grunt nam wydarli, tymczasem teraz cesarz się dowie kto kogo oszukał.

— Dałby jeno Bóg, żedy się dowiedział! — zauważył jeden z synów Bartłomieja.

— A ciekawym czemu by się nie miał dowiedzieć. Jak nadjedzie rzucę mu suplikę do pojazdu i będzie.

— Dobrze powiadacie tatuniu, ale szkoda, że to nie sam cesarz przyjedzie, jeno arcyksiążę.

— Głupiś Walek! — zaprotestowała matka. — Przecie u takich państwa wszyscy się kochają, i co chce jeden, chce i drugi, to nie tak jak wy poganie, że choć niby to braćmi jesteście, jeden z drugim bije się od rana do wieczora! A bodaj was z takim kochaniem!

Na krótko wszyscy umilkli. Potem kobieta, która dla niskiego wzrostu nie zobaczyć nie mogła, zwracając się do męża, zapytała:

— A nie jedzie tam jeszcze?

Bartłomiej i jego synowie stanęli na palcach. W tejże chwili na gościńcu podniosły się kurzu tumany, potem zadudniało, i patrol, który wyjechał był na zwiady, przypędził wyciągniętym galopem. Podoficer dowodzący patrolem osadził konia przed rotmistrzem i pałasz spuszczać złożył raport.

Wszyscy domyślili się co to znaczyło. Starosta otrzymawszy od rotmistrza znak umówiony, skinął ręką. Nie długo trwało, a dał się słyszeć huk moździerza ustawionego na wzgórkku poblizkim, poczem w mieście z wszystkich wież kościelnych dzwony jęknęły.

Przy bramie tryumfalnej tłum zaczął się cisnąć, krzyczeć, pisać, każdy chciał być teraz bliżej gościńca, i kto wie na czem by się to było skończyło, landsdragoni bowiem żadnym

sposobem nie mogli już porządku utrzymać, gdyby nie patrol huzarski, który z bronią dobytą wpadłszy galopem na gościńiec, oczyścił go w jednym mgnieniu oka. Odtąd każdy starał się przynajmniej na dawnym stanowisku utrzymać; z miejsca zaś, gdzie stała najwyższa władza pod dowództwem pana starosty, dawały się tylko słyszeć urywane napomnienia: *Ruhig!.. Still!* lub więcej energicznie: *Halts Maul!*

Widocznie sama Opatrzność staroście sprzyjała, bo dopiero gdy się całkiem uspokoiło, w oddaleniu kilkuset kroków, pojawił się ekwipaż arcyksięcia.

Cztery karogniade konie w srebrnej uprząży, pięknie zbudowane i pełne fantazji, ciągnęły karetę krytą, z boku oszkloną, której spód i koła były ciemnozielone. Prócz tego w miejscach właściwych, były na niej złote prążki, które od tła ciemnego prześlicznie odbijały.

Na kozle siedział stangret we fraku i białych pończochach; obok niego strzelec w złocistym uniformie i wspaniałym pióropuszu na głowie.

Gdy ekwipaż do bramy się zbliżał, w tłumie dał się słyszeć szmer podziwienia.

Według programu z góry ułożonego, starosta miał u bramy przywitać arcyksięcia stosowną przemową, burmistrz zaś wręczyć mu klucze miasta; cyrkuł w swym rozkazie poznał, że dopiero po tej ceremonji, zgromadzona ludność powinna cieszyć się i wiwat! wołać.

Gdy karetą do bramy dojeżdżała, starosta dał znak woźnicy, żeby stanął. Ten uczynił zadość jego woli. Wtedy starosta z głową odkrytą zbliżył się do stopni karety, i mając oczy ku ziemi schylone, jał deklamować dawno przygotowaną mowę. Nie jednego to uderzyło, że u okien karety firanki były spuszczone, skutkiem czego nie widziało się kto w niej siedział; gdy jednak nikt z obecnych nie był obznajomiony z etykietą dworską, każdy zatem sądził, że tak być powinno. Co do starosty, ten tak był zajęty swoją owacją, i do tego stopnia ołsniony samą myślą iż stoi przed arcyksięciem, że ani na chwilę nie ośmielił się oderwać wzroku od ziemi.

Między zgromadzonemi znajdowała się atoli jedna osoba, której się nie podobały firanki spuszczone. Była nią pani staroscina, córka jakiegoś hofrata wiedeńskiego, dama wychowana na wielkim świecie, o której powszechnie mówiono, że miała takt i rozum. Ta wpatrując się w okna karety, to bladła, to się rumieniła, i musiało ją miotać jakieś złowrogie przeczucie, skoro kilkakrotnie nerwowo drgnęła, jakby zamierzała naprzód się rzucić, by firanki rozerwać. Takt jednak zwyciężył, i ona na dawnym miejscu została.

Skończył wreszcie pan starosta i głowę podniósł. Właśnie burmistrz krokiem posuwistym naprzód postępował, gdy wtem okno karety z łoskotem na dół opada, i w niem ukazuje się wąsata twarz znanego w okolicy magnata, pana Stanisława Granowskiego.

— Dziękuję ci, panie starosto, dziękuję! — rzekł po polsku, głosem donośnym, ręką mu się kłaniając, poczem zawołał: — Jasiek, jedź!

— *O! Herr Gott!* — krzyknął starosta, i przerażony swoją pomyłką w tył odskoczył.

Wszyscy osłupieli.

— *Soll ich in arretiren?* — zapytał Zając, nachyliwszy się do ucha starosty.

Starosta, mimo iż uchodził za biurokratę wzorowego, który w chwilach ważnych ani krwi zimnej ani przytomności nie traci, tak był teraz zmieszany, że nie zastanowiwszy się nad położeniem, chciał już usłuchać rady swego kancelisty. Na szczęście pospieszyła mu na pomoc żona, która chwyciwszy się jego ramienia, szepnęła:

— *Lieber Fritz, mach keinen Skandal!*

Głos tej kobiety, która od lat tylu zawsze mu dobrze radziła, ocalił go w tej ciężkiej chwili. Starosta przytomność odzyskawszy zawołał, aby z miejsca nikt się nie ruszył, i natychmiast podwładnych urzędników w różne strony z rozkazami rozesłał.

Skutkiem tego u bramy tryumfalnej tłumy dalej czekały.

## II.

## Powrót.

Pan Stanisław Granowski wjechał tymczasem do miasta, gdzie na głównym odwachu, żołnierz tak samo jak starosta zbałamuceni, wśród bicia bębnow broń przed nim prezentowali. Na tę okoliczność nie zwrócił jednak uwagi, tylko jechał dalej odprowadzany przez czerń składającą się z małych żydków i pauprów, którzy święcie wierzyli, że strzelec na kole siedzący, to sam arcyksiążę.

Za miastem stangret zjechał z bitej drogi na poboczną i dosyć piaszczystą, po której kareta już znacznie wolniej się toczyła.

Pan Granowski siedział sam jeden i z zadowoleniem wąż sobie gładził. A wąż miał piękny, zawiesisty, jeden z tych, o których Książnin powiada, że amorki chętnie na nich siadają. Lecz nie dla samych tylko wążów bożek miłości gotów był uśmiechnąć się do pana Granowskiego. W ogóle był to mężczyzna tak przystojny i okazały, że gdyby był jeno zechciał, byłby bez trudności podbił serce najwybredniejszej panielki. On jednak wcale się o to nie kusił, za co płeć piękna powszechnie dziwakiem go nazywała.

Był to potomek rodu starożytnego i dziedzic Granowa, klucza złożonego z czterdziestu wiosek a trzech miasteczek. Wprawdzie sąsiedzi utrzymywali, że gospodarka w jego majątku z dawien dawna była najgorsza, skutkiem czego długi rosły jak grzyby po deszczu, ale ponieważ pan Granowski był ostatnim po mieczu, i nawet siostry nie miał, więc i ten dochód, jaki ze swego klucza otrzymywał, wystarczał mu na życie pańskie i różne fantazje.

Rezydencja jego znajdowała się w Granowie, wsi obszernej i dobrze zabudowanej, a leżącej o małą milę od miasta obwodowego. Był tam piękny pałac w stylu włoskim, wzniesiony z końcem ubiegłego stulecia, park z odwiecznymi drzewami, i duże jezioro w znacznej części sitowiem zarosnięte, na którym dziedzic polując na dzikie ptactwo, nie raz spędzał dni całe od świtu do nocy.

Rodzice pana Granowskiego odumarli go dzieckiem. Opiekun, krewny daleki, oddał go do konwiktu OO. Jezuitów. Mały Staś ledwie rok tam wytrzymał, albo mówiąc wyraźniej Jezuiści za żadne pieniądze nie chcieli go mieć dłużej u siebie. Wyszędłszy z konwiktu, gdzie go ledwie dobrze pisać i czytać nauczono, wyjechał na kilka lat za granicę, aby w językach biegłości nabrać i trochę świata zobaczyć. Gdy wrócił, opiekun chcąc mieć głowę wolną, natychmiast go upełnoletnił i oddał mu majątek. Odtąd zamieszkał stale w Granowie.

Administracja całego klucza spoczywała w rękach pełnomocnika, który regularnie co miesiąc przyjeżdżał z rachunkami do „jaśnie pana“. Dziedzic rachunków antypatycznie nie lubił, ślęczenie nad papierami poczytywał za największe nieszczęście, to też nie przeglądawszy nawet rejestrów, podpisywał je zawsze na znak, że się z nimi zgadza, poczem krótko pytał, ile ma w kasie gotówki. Tej, jak dotąd, nigdy jeszcze nie brakło. W razie, jeżeli żniwo nie dopisało, powódź plony zniszczyła, zaraza bydło wybiła, lub jeśli jakie inne wydarzyło się nieszczęście, o które w dobrach tak rozległych nie było trudno, pełnomocnik ratował się sprzedażą lasów, wydzierżawianiem bardzlej oddalonych folwarków, propinacją, za którą brał pieniądze z góry za lat kilka, naroszenie pożyczkami, o których atoli dziedzic nic nie wiedział, bo nie chciał wiedzieć. Jemu szło tylko o pieniądze i tych miał zawsze dosyć.

W pałacu sług było bez liku; do drugiego stołu zasiadało osmdziesiąt osób, między nimi jednak wyróżniały się ledwie dwie, stary Maciej i pani Czarnecka. Maciej był niegdyś u ojca pana Stanisława marszałkiem dworu, teraz na siłach podupadłszy, nie mógł się już zwinąć i cały dzień być na nogach; ale ponieważ był to człowiek wielce ambitny, i bez pracy nie chciał jeść chleba łaskawego, podjął się zatem dobrowolnie nakręcania zegarów, których w pałacu było kilkanaście. Dziedzic szanował go i kochał jako pamiątkę lat dawnych, a że Maciej miał rozum trzeźwy i w długim życiu niemało zebrał doświadczenia, nieraz więc się zdarzało, że słuchał jego rady. Pan Granowski lubił marszałka, za to nienawidziła go cała służba, Maciej bowiem miał oko dobre,

wszystko widział, zrządził i często gęsto otwierał panu oczy na różne nadużycia. A wtedy źle było, bo o ile dziedzic dla szlachty miał być dobrym, miłosiernym, czasem nawet słabym, o tyle dla sług i poddanych był wymagającym, surowym, niekiedy nawet srogim.

Z Maciejem sympatyzowała także pani Czarnecka, która od roku była zarządczynią domu. Dawniej nikt jej nie znał, pan Granowski przyjął ją z poręki miejscowego proboszcza, sama o swej przeszłości nigdy nie wspominała, ale ponieważ miała przy sobie córeczkę pięcioletnią, Stasię, i zawsze czarno się ubierała, wszyscy zatem uważali ją za wdowę, przeciw czemu ona sama nigdy nie protestowała. Nazwisko wskazywało, że mąż jej był szlachcicem. Dla pana Granowskiego był to argument bardzo ważny, w jego pojęciu bowiem, właściwy człowiek zaczynał się dopiero od szlachcica. Pani Czarnecka pełniła poruczone jej obowiązki bardzo sumiennie i z taką rzeczą znajomością, że odkaąd zarząd w pałacu objęła, wszędzie panował porządek wzorowy, i nikt się nie śmiał na nic poskarżyć. Mimo wieku młodego, jej prowadzenie się było nie naganne.

Zadanie, jakiego się podjęła, byłoby jednak nad jej siły, gdyby w znacznej mierze nie był jej pomocnym pan Szczęsny Zagórski, który w jednej osobie był szlachcicem, dziedzicem, totumfactum pana Granowskiego, mandatarjuszem i sędzią policyjnym.

Pan Szczęsny Zagórski urodziwszy się pod strzechą ubożego szlachetki, który miał sześciu poddanych a dzieci dziewięcioro, poszedł na „pisarza“ i po kilkuletniej praktyce, złożony egzamin w cyrkule na mandatarjusza i sędziego policyjnego, otrzymał dekret z podpisem starosty. Po śmierci ojca, oświadczył rodzeństwu, że jeśli mu ojcowiznę zostawia, on wszystkich spłaci. Gdy siostry i bracia [na to przystali, pan Szczęsny, zostawszy mandatarjuszem tak w swojej włości, jak i w Granowie, wszystkie dochody z ziemi i swego urzędu oddawał rodzeństwu, a gdy i to nie wystarczało, w końcu nawet ziemię obdłużył, lecz utrzymał się przy ojcowiznie.

Wioska jego graniczyła z Granowem, nieraz więc po kilka razy na dzień bywał w pałacu i powoli tak się jakoś ułożyło, że został prawie dworakiem p. Stanisława Granowskiego. Ponieważ w swojej wiosce, liczącej sześć domów, spraw miał niewiele, a do gospodarstwa nie czuł pociągu, przeto większą część dnia spędzał w swojej kancelarji w Granowie, gdzie obecność jego była konieczną, wieś bowiem liczyła z górą dwieście numerów, a dusz przeszło tysiąc. Taka ludność dawała panu mandatarjuszowi niemało do czynienia. Prócz tego ileż to razy przez dzień musiał oderwać od pracy i spieszyć do pałacu, dokąd go dziedzic wzywał. I nigdy się za to nie rozgniewał; wiedział bowiem, że Stanisław Granowski, to pan, karmazyn, gdy przeciwnie Szczęsny Zagórski, to chudopacholek, szaraczek. Później pani Czarnecka także czasem po niego posyłała. On jej nie brał tego za złe, mimo, iż Czarnecka była sługą, gdy przeciwnie on, był sam dziedzicem i mandatarjuszem!

### III.

Podczas gdy pan Granowski niezmiernie z tego rad, że staroście dokuczył, z sercem bijącym spieszy do domu, w Granowie liczne towarzystwo wygląda go nie z mniejszą niecierpliwością.

Już na dziedzińcu widać ruch nadzwyczajny. Wprawdzie z dawien dawna ze służby nikt nie pamiętał, by w Granowie jaki dzień bez gości minął, ale mimo to ruch jak dzisiejszy także rzadko się tu wydarzał. Na dziedzińcu stoi pełno karet, koczobryków, wózków, taradajek. Z jednych wysiadają jeszcze panowie i księża, drugie podjeżdżają ku stajniom, inne nareszcie widać już za bramą, gdyż tym w gospodzie miejsce wyznaczono. Taki zjazd odbywał się tylko raz do roku, na św. Stanisława. Dziś jednak jest wcale innego świętego i jeszcze nie tak prędko pan Granowski będzie obchodził swoje imieniny

W pokojach na pierwszym piętrze tłumno i gwarno. Zgromadzeni tu panowie w liczbie kilkudziesięciu, między którymi widać wszystkich sąsiadów, proboszczów okolicznych i OO. Reformatów, których klasztor stoi na terytorjum pana Granow-

skiego, przechadzają się po salonach, ciągnąc gęsty dym z długich cybuchów i głośno rozprawiając. Wszyscy jedną sprawą zajęci; każdy zbliżywszy się do okna, patrzy w aleję lipową, która do pałacu prowadzi, i każdy odstępuje, mówiąc:

— Jeszcze go nie widać!

Między tymi, co dopiero przed chwilą przyjechali, był przeor OO. Reformatów, staruszek rumiany i okrągły, o twarzy sympatycznej i oku bystrem, przyjemny i jowialnie uśmiechnięty. Trzymał on zawsze w lewej ręce rogową tabakierkę, z której każdego częstował. Ten zastawszy tak liczny zjazd, a nie widząc nigdzie gospodarza, postąpił do pana Mateusza, najbliższego sąsiada Granowa, i podając mu tabakierkę, zapytał:

— Nie mógłby mi też pan dobrodziej powiedzieć, co to wszystko znaczy? Zebranie aż się serce raduje a gospodarza ani na lekarstwo... Przyjechałem, bo mi przedwczoraj dał znać przez umyślnego, bym dziś z całym klasztorem był tu w południe, pan każe, sługa musi, a teraz słyszę, że gdzieś wyjechał, i ani wiem, po com się tu stawiał.

— Po co mociumpanie, po co my wszyscy... Dla opozycji ojeze dobrodzieju, dla opozycji! — odrzekł pan Mateus wesoło.

— Dla opozycji?

— Nie inaczej, mociumpanie! Przecie ksiądz przeor w że dziś areyksiążę do miasta przyjeżdża i będzie u starosty obiedzie.

— Wiem panie dobrodzieju... pan starosta Westerr prosił mnie nawet na ten objad.

— I nas mociumpanie prosił, ale kochany nasz pan Stanisław powiedział, że Polacy nie powinni kłaniać się szw i dla tego mociumpanie tak pokierował, żeśmy wszyscy u a nie u starosty.

— Aha... rozumiem! Ale gdzie też dziedzic n teraz podzieć?

— Cha! cha! cha! pojechał mociumpanie rob opozycję! Wiedząc oddawna, że areyksiążę przyjedzie, dził sobie z Wiednia karete, podobnusięnką do tyl



rych członkowie dworu jeżdżą i dziś mociumpanie pojechał starostę na błazna wy kierować.

— Na błazna? — powtórzył przeor, jakby z przestraczem.

— Nie inaczej mociumpanie, i jeżeli mu się uda, wart doprawdy królem zostać! Już to co zuch, to zuch mociumpanie! Ręczę, że nie ulągłby się diabła samego! Przed dwiema godzinami wsiadł do tej wiedeńskiej karety, z której złoto aż kapie, konie mociumpanie, że sam cesarz nie ma lepszych, na koźle strzelec w kapeluszu jak generał, i w takiej paradzie wyruszył przez Wołę, aby do miasta dostać się traktem krakowskim, gdzie przy rogatece stoi brama tryumfalna. Odjeżdżając prosił nas, mociumpanie, byśmy tu na niego poczekali, bo za dwie godziny wróci z pewnością, i zapowiedział nam, że w tym czasie starostę na dudka wy kieruje.

— Na dudka!... Niezle by to było panie dobrodzieju! — przerwał przeor tabaczkę zażywając. — Ale jak to się mać, jak?

— Odjeżdżając był pewny, że starosta mociumpanie weźmie go za arcyksięcia, i ceremonialnie będzie przyjmował.

Przeorowi oczy się roześmiały, uderzył w tabaczkę, zażył podwójną, i podając tabaczkę panu Mateuszowi, rzekł:

— A toby było śmiechu panie dobrodzieju! Niemcysko by się ze złości!..

Podczas gdy panowie wyglądają gospodarza, a służba jadальной kończy przygotowania do obiadu, pani Czarw kredensie stojąc, wydaje ostatnie rozporządzenia. Ma jesto przychodzi o coś ją zapytać, a gdy się oddala, pa wsze przez okno i mruczy pod nosem.

Jak dziecko, jak Boga kocham, jak dziecko!... Ciego mu z tego przyjdzie... starosta gotów się rozgnie dzie bieda!... A wszystko to cieszy się i hałasuje.

Bóg wie co mądrego robiło, tymczasem oni mają lkie gęby, a starosta ma landsdragonów i huzarów... się w terazniejszych czasach porywać z motyką na... Przecie dziś nie jest już tak jak było dawniej!... im rozumem.

Właśnie gdy Maciej po raz trzeci robił takie uwagi, na dziedzińcu dała się słyszeć trąbka pocztowa. Maciej znowu do okna przystąpił.

— Ktoś ekstrapocztą przyjechał, i widać ode Lwowa, bo konie pocztmistrza z Zawadowej. Wysiąda... coś znajomego... O! panie Jezu! Wszak ci to pan Słotwiński! Toż to się nasze panisko ucieszy!...

I jak młodzik jaki, stary Maciej zbiegł po schodach, by w nieobecności gospodarza pod kolumnadą pałacu przyjąć nowo przybyłego.

W epoce naszego opowiadania, mianowicie na wiosnę r. 1834, pan Konstanty Słotwiński był osobą powszechnie znaną i szanowaną w Galicji, a zawdzięczał to nie swemu urodzeniu, pochodził bowiem z szlachty dość ubogiej, pieczętującej się Leliwą, lecz nieskazitelnemu charakterowi i nauce. Młodzieńcem, porzuciwszy uniwersytet krakowski, gdzie się prawa uczył, pospieszył walczyć pod sztandary Napoleona, i dopiero po odwoicie jego z Moskwy, wrócił znów do kodeksów. Ukończywszy studja, udał się do Wiednia na praktykę, zkąd przysłano go do Jasła w randze komisarza obwodowego. Wkrótce potem został starszym komisarzem w Wadowicach.

Mimo, że był urzędnikiem austriackim, nie przestał być Polakiem i przez cały czas swego urzędowania nawet wąsów nie ogolił, co ówczesnego gubernatora tak gniewało, że mu to raz wyrzucił publicznie. Nie mogąc atoli pogodzić ze swym sumieniem rozporządzeń, które jako urzędnik od przełożonych otrzymywał, a które były głównie przeciw narodowi skierowane, postanowił wziąć dymisję, co też w rzeczy samej uczynił. Odtąd mieszkał na wsi, w Bratkówce, orząc swój zagon. Wtedy poznał się z Sewerynem Goszczyńskim i Stanisławem Granowskim. Obaj doń przyłgnęli, obaj go pokochali jak brata. Już myślał, że rolnikiem do końca życia zostanie, gdy wtem ks. Henryk Lubomirski, kurator zakładu imienia Ossolińskich we Lwowie, pisze doń błagając, by przyjął posadę dyrektora tegoż zakładu. Księżę pragnął mieć człowieka, któryby umiał ujadać się z Niemcami, i uporządkował pogmatwane interesy zakładu. Przez wzgląd na dobro publi-

czne, pan Słotwiński, po śmierci ks. Siarczyńskiego, ostatniego dyrektora biblioteki, pojechał do Lwowa i objął ofiarowaną mu posadę. Tu dał się prędko poznać światu uczonemu, ogłosiwszy drukiem kilka dzieł wartościowych, a chociaż polskości nie myślał się zapierać, cenili w nim nawet Niemcy meża wielkiej duszy. Na przyjęciach u gubernatora, ks. Lobkowicza, nie bywał inaczej tylko w stroju polskim, co wówczas było rzeczą nadzwyczajną, i tem tak sobie ujął gubernatora, że mu tenże ofiarował na pamiątkę piękną karabelę.

Ze Lwowa przynajmniej raz na rok przyjeżdżał do Granowa, aby dzień lub dwa z przyjacielem pogawędzić. Pan Granowski odwiedzał go nawzajem we Lwowie. Ich stosunki, acz niezbyt częste, były jednak ciągle serdeczne.

Właśnie, gdy Maciej pana Słotwińskiego na dole przyjmował, mandatarjusz, pan Zagórski, wszedł do kredensu, gdzie prócz Czarneckiej nikogo więcej nie zastał.

— Wszystko mamy wyśmienite! — rzekł, ręce zacierając. — Objadek będzie nierównie lepszy niż ten, który starosta dla arcyksięcia przygotował, wina stuletnie, dam gardło, że sam cesarz takich nie pije, słowem przyjęcie królewskie... Szkoda tylko, że będzie brak...

— Czego? — zapytała Czarnecka ze zdziwieniem.

Mandatarjusz spojrział na nią czule.

— Płci pięknej! — szepnął.

— Że też panu sędziemu w głowie takie głupstwa! — odrzekła ramionami wzruszając.

— O! przepraszam pania, kobieta nie jest głupstwem! — zaprotestował. — Gdyby kobiet nie było, nas by nie było, gdyby nas nie było, nie byłoby świata... ergo niewiasta jest fundamentem, na którym świat stoi!

Mandatarjusz wypowiedział to z takim patosem, że Czarnecka nie mogła uśmiechu powstrzymać.

— Ktoby myślał — rzekła — że pan sędzia kobietę doprawdy tak wysoko ceni, tymczasem...

— Cóż tymczasem?

— Gdyby tak było, to pan sędzia byłby sobie już dawno żonę wybrał.

— Ciekawym czemu miałem dawno wybierać... alboż to ja taki stary? Wprawdzie czterdziestka przed miesiącem minęła, lecz niech mi pani wierzy, że to furda!... Zresztą choćbym był nawet zbłądził, mogę się jeszcze poprawić, i gdyby tylko pani Czarnecka chciała...

Urwał, i z pewnem zakłopotaniem wpatrzył się w młodą kobietę. Sędziemu rzadko się coś podobnego wydarzało. Stokroć prędzej można go było posądzić o zuchwałość, niż o bójkę lub niepewność siebie.

— Cóż mam chcieć, panie sędzio? — odrzekła. — Czy może pan sobie życzy, bym go swatała?

— Zgadłaś pani!

— Z kim więc?

— Z sobą!

Młoda kobieta zarumieniła się jak wiśnia.

— Zdaje mi się, żem sobie niczem nie zasłużyła na takie żarty! — odparła poważnie, głowę odwracając.

— Ależ ja nie żartuję! jakem szlachcie, droga pani, ja nie żartuję!... Już nieraz dawałem to do zrozumienia, ale pani Czarnecka ciągle udaje, że się nie domyśla. Teraz jednak nadeszła chwila stanowcza, i ja muszę wypowiedzieć się jak przed księdzem. Tak, droga pani, ja cię kocham, kocham nad życie, i czy chcesz, czy nie chcesz, musisz wyjść za mnie!

To powiedziawszy, rzucił się naprzód z zapalem młodzieńczym, by ją za rękę ująć. Ona nie miała ani czasu, ani potrzeby ręki cofnąć, nagle bowiem lokaj drzwi otwierając, zawołał:

— Jaśnie pan wrócił!

Mandatarjusz wypadł jak z procy; Czarnecka pobiegła do okna.

Ekwipaż pana Granowskiego stał już na dole, gdzie zgromadzeni sąsiedzi, witali go okrzykami najżywszej radości.

— A co, udało się? — huknął pan Mateusz.

— Udało się pysenku, udało! Niemiec cały kwadrans szwargotał i do ziemi się kłaniał, lecz gdy skończył, a jam mu podziękował, zgłupiał z kretelem! Niech wie pysenku, że każdy z nas równy arcyksięcia.

— Wiwat! niech żyje Staś kochany! — zawołał jeden z przyjaciół gospodarza.

— Wiwat! niech żyje! — drudzy powtórzyli — i niech drżą Niemcy!

— Wiwat!

Wszczął się krzyk, aż mury pałacu zadrżały, i w tejże chwili najbliżej stojący chwycili pana Granowskiego na ręce i w tryumfie na górę go zanieśli.

W tym samym czasie arcyksiążę stanął nareszcie pod bramą tryumfalną.

#### IV.

Mimo godziny spóźnionej, nie mało jeszcze czasu upłynęło, nim zgromadzeni do stołów zasiedli. Nikt nie był głodny. Każdy pragnął w pierw usłyszeć, wśród jakich okoliczności odbyła się wycieczka pana Granowskiego. Ten uwzględniając ich ciekawość, w słowach krótkich a dobitnych, przygody opowiedział swoje, których zresztą nie było dużo, i tak zakończył:

— Co się potem działo, pysenku, już nie wiem... Kazałem jechać i kwita! Nawet żadnych głosów za sobą nie słyshałem.

— Widocznie, mociumpanie, języka w gębie zapomniał! — zauważył pan Mateusz.

— Czy się jednak na tem skończy — nadmienił przeor. — Starosta prawdopodobnie zechce się zemścić.

Mimo że przeor mówił cicho, gospodarz każde słowo usłyszał. Zmarszczył brwi, głowę podniósł butnie do góry i odparł wyniosło:

— Jeżeli zechce mścić się, pysenku, zobaczymy, czy ta plucha niemiecka podoła Stanisławowi Granowskiemu! Przecie wy ze mną! Panowie sąsiedzi nie opuszczą brata!

— Nigdy! nigdy!

— Wszyscy z tobą! Wszyscy!

Gospodarz czekał, aż się uspokoiło; potem tak dalej mówił:

— Zresztą i dla tego nie mam żadnej obawy, że anim

się sam wydawał za gubernatora, ani nawet Jaśkowi nie mówiłem, żeby przy bramie stawał. A czemu, pysenku, głupi szwab sam go zatrzymywał? Kiedy piwa nawarzył, niech je więc sam pije!

— Choćby był nie chciał mociumpanie — wtrącił pan Mateusz — byłby cię musiał wziąć za arcyksięcia! Przecie poznać pana po cholewach!

— Racja! — jedni krzyknęli.

— Święta prawda! — drudzy potwierdzili.

— Niech żyje nasz kochany gospodarz! — wszyscy zawołali.

Trudno by nam było orzec, co dziś większą przyjemność panu Granowskiemu sprawiło: tryumf nad starostą, czy też widok pana Słotwińskiego. Zapomniawszy o wszystkich, rzucił się teraz swojemu gościowi na szyję, i tak gorąco cisnął go do piersi, że to aż niemile kilku sąsiadów dotknęło, którym się uroiło, że dziedzic Granowa tylko ich powinien uważać za swych jedynych i najwierniejszych przyjaciół.

— Jakże się masz, mój Kostku?! — powtarzał. — Co tam pysenku u was słychać? Czy prawda, że te pluchy niemieckie napadają domy po nocach i ludzi do więzienia wtrącają? Ktoś mi tu niedawno mówił, że biednego Zaliwskiego w indagacji torturują... Powiedz pysenku, prawda to?

— O tem, potem, mój Stachu — odparł zapytany. — Powiem ci wszystko, lecz gdy będziemy sami, w cztery oczy.

— Niech i tak będzie pysenku, chociaż doprawdy nie wiem, na co ta przezorność!... Wszak my tu sami swoi, każdy z nich myśli jak ja i ty.

Gość zamiast na to odpowiedzieć, zrobił taką minę, że gospodarz więcej nie nalegał, i zwróciwszy się do zgromadzonych poprosił ich do stołu.

Przy obiedzie, w którym sami mężczyźni brali udział, było wesoło i gwarno. Ledwie najbliżej siedzący mogli się słyszeć i rozumieć. Potrawy szybko się zmieniały, kielichy jeszcze szybciej krążyły. Gdy przyszło do toastów, gospodarz powstał i tak przemówił:

— Kochani sąsiedzi i bracia! Chociaż mowcą nigdy nie byłem, dobry bowiem mowca, tak samo jak polityk, powinien mieć co innego na języku, a co innego w sercu, ja zaś, pyczeńku, taką już mam naturę, że co w sercu, to i na języku, mimo to spełniając ten oto kielich za zdrowie moich gości, ośmielę się słów kilka powiedzieć. Prosząc was dziś do Granowa na objad, kochani sąsiedzi i bracia, nie myślałem li o sobie i mojej własnej przyjemności. Stokroć więcej miałem na myśli dobro kraju! Tak jest, pyczeńku, sumienie nakazywało mi tak postąpić, i zdaje mi się, że wszyscy podzieliacie moje zapatrywanie.

— Wszyscy! wszyscy! — przerwało kilka głosów.

— Dziękuję wam, kochani sąsiedzi i bracia! Wprawdzie może to niegrzecznie z naszej strony, iż mimo uprzejmego zaproszenia, nie pojechaliśmy na objad do starosty, aby powitać arcyksięcia, który niby jako gość do nas przyjechał, lecz mnie się zdaje, pyczeńku, że Szwaba, co ci kraj zabrał, a teraz drze z ciebie podatki i ciągnie rekruta, trudno za gościa uważać.

— To nie gość, to wróg; — jakiś głos zaprotestował.

— Prawda, pyczeńku, święta prawda! Zresztą Niemcy przysli tu bez naszego zezwolenia, siedzą wbrew naszej woli, nie uczą się po polsku, chcą, byśmy z nimi szwargotali ich baranym językiem, a więc kiedy tak, to my ich nie znamy, i znać nie potrzebujemy! Niech sobie zatem arcyksiążę je objad bez nas, a my tymczasem myślimy o czemś pożyteczniejszem... Raz jeszcze dziękuję wam, kochani sąsiedzi i bracia, żeście się wszyscy tu dziś stawili, i wznoszę, pyczeńku toast za waszą pomysłność!

Po tem przemówieniu zerwała się burza oklasków, kielichy dźwięknęły i wino złociste zwilżyło spragnione usta biesiadników. Niedługo trwało, a powstał pan Mateusz, żeby wznieść toast na cześć gospodarza; po nim przeor OO. Reformatów wygłosił mowę, przeplataną łacińskimi sentencjami, którą zamknął toastem za zdrowie Ojca św., jako największego przyjaciela Polaków; w końcu podniósł się pan Słotwiński.

Wszystkich oczy na nim spoczęły.

Był to człeczyna nie wielki, szczupłej ciała budowy, chuderlawy, ospowaty, o rysach twarzy wydatnych, a spojrzeniu tak głębokiem i uderzającym, że każdy musiał się w nim domysleć człowieka niezwykłego. Ruchy jego były zwinne, głos, gdy mówił, donośny i przyjemny. Ledwie podniósł się z pełnym kielichem, w sali ucichło, jakby makiem posiał.

Wtedy zaczął:

Czy to w domu, czy w podróży,  
Ranna, czy wieczorna pora,  
Zawsze wino zdrowiu służy,  
To słyszałem od doktora.

Wino tworzy dowcip nowy,  
Duszy pomnaża zalety,  
Rozum popędza do głowy,  
To słyszałem od poety.

Nawet kiedy przy dziewczynie,  
Wina stoi pełna szklanka,  
Raźniej mowa z ust nam płynie,  
To słyszałem od kochanka.

Żołnierz, gdy winem zagrzany,  
Śmielej na szyki uderza,  
Rozgramia, zadaje rany,  
To słyszałem od żołnierza.

Nawet skąpiec zimnej duszy,  
Czulszym jest, gdy się rozmarza,  
Niedawno na własne uszy  
To słyszałem od lichwiarza.

Gdy więc wino tyle sprawia,  
A czemu ja daję wiarę,  
Gdy bawi, uczy, uzdrawia,  
Pijmy je więc, ale w miarę! <sup>1)</sup>

Ledwie skończył, biesiadnicy porwali się z miejsc swoich wśród okrzyków:

— Wiwat! niech żyje! A to poeta! W kącie sam Karpiński!

<sup>1)</sup> Wiersz znaleziony w papierach Konstantego Słotwińskiego. (Przypisek autora).

Przeor musiał ten sąd podzielać, skoro uśmiechnął się wesoło, uderzył głośno w pokrywę tabakiery i tym razem zażył aż podwójną szczyptę tabaki. Każdy z obecnych podchodził do pana Słotwińskiego, by mu dłoń uściśnąć, a pan Mateusz zawołał na cały głos:

— Tak mi się podoba, mociumpanie! Wszyscy mówią, że pan Słotwiński to człek bardzo poważny i ciężko uczony, tymczasem mociumpanie widzę, że to Polak prawdziwy, do tańca i do różańca, do pitki, a dałbym gardło mociumpanie, że jakby było potrzeba, to i do wybitki! To mi zuch, takich nam trzeba więcej!

Zaczęły się uściski, pocałunki, zapewnienia dozgonnej przyjaźni. Podczas tego kielichy coraz gęściej krążyły, czem zapewne biesiadnicy chcieli okazać, że słowa pana Słotwińskiego, iż wino powinno się pić w miarę, trafiły do ich przekonania.

Powszechnym było w kraju zwyczajem, że każdy objad, każde polowanie, każdy bal, nawet zwykłe odwiedziny sąsiedzkie, kończyły się w owej epoce grą w karty, w której wszyscy mężczyźni udział brali. Na balach ledwie młodzież przy damach zostawała, chociaż nie raz się zdarzało, że ten i ów młodzik wynosił się także ukradkiem do pokojów przyległych, by w towarzystwie starszych bodaj chwilę popróbować szczęścia w ukochanego „djabełka“.

Ledwie goście pana Granowskiego od stołu powstali, służba zaczęła w salach przyległych stoliki do kart ustawiać i fajki przygotowywać. Nie jeden widząc to, z zadowoleniem wąż sobie pogładził, wino bowiem, fajka i karty, były najmilszą mężczyzn zabawą.

— Zanim popróbujemy szczęścia, pycenku — gospodarz przemówił — proszę na chwilę za mną. Pokażę wam malowidło, które mi niedawno z Włoch przysłali. Warto coś takiego zobaczyć, pycenku, warto zobaczyć i zapamiętać!...

Weszli do pokoju obszernego, który łączył się z sypialnią. W nim jedna ściana była od góry do dołu zakryta księgami, na drugiej wisiały portrety rodzinne rodziny Granowskich, te w hełmach, pancerzach lub sukniach zakonnych,

tamte w nowoczesnych strojach dworskich; naprzeciwko widać było duży obraz olejny, dobrego pędzla, w czarnych ramach hebanowych. Co właściwie wyobrażał, trudno było rozróżnić z daleka.

Przeor, który lubił wszystko badać, szybko do obrazu przystąpił, wszakże jeszcze prędzej odskoczył i zegnając się z przerażeniem, zawołał:

— Wszelki duch chwali Pana Boga! A wszak to obrzydłe szatany!

— Cha! cha! cha! Jak widzę, księżdu przeorowi nie podobają się ci panowie! Już to prawdę powiedziawszy, pycenku, i ja w nich nie bardzo gustuję, lecz nie moja wina, że na nich teraz ciągle patrzeć muszę. Niech za to odpowiadają szanowni członkowie mojej zacnej rodziny, którzy ciężko zgrzeszywszy, skazali mnie na takie udręczenie. Chcąc nie chcąc pycenku, muszę teraz patrzeć na ich wstyd, po którym męki nastąpią.

Podczas gdy gospodarz tak mówił, goście przed płótnem stanawszy, zaczęli mu się uważnie przypatrywać, i chociaż z czupryn im się kurzyło, tyle jednak zrozumieli, że obraz przedstawiał wnętrze piekła, gdzie djabyły puszczały się w tany z osobami, ze świata przybyłymi. Pan Mateusz zrobił nawet spostrzeżenie, że między temi osobami a portretami, które na pobocznej ścianie wisiały, wielkie zachodziło podobieństwo.

— Dobre masz oko, pycenku! — potwierdził pan Granowski. — Niestety! to prawie sami członkowie mojej zacnej rodziny. Ta dama w pierwszej parze, którą pan Lucyper wziął pod ramię, to ś. p. matka moja, pani Salomea. Nie pamiętała biedaczka, że się urodziła z Zamoyskiej, a była żoną pana wojewody Granowskiego, którego antenat, pycenku, wpadł pierwszy do namiotu Kara-Mustafy pod Wiedniem, i pozwołała, by ją cesarzowa niemiecka mianowała damą orderu gwiazdzystego. Teraz ma za to. Lucyper wziął ją w pierwszej parze do *anglais'a*. Ten za nią w stroju francuskim, z harcopfem, do którego pani Lucyperowa czarne zęby szczyrzy, to pycenku, mój brat starszy, ś. p. pan Krzysztof. Zamało mu było być polskim szlachcicem, karmazynem, który królów wy-

bierał i sam mógł być królem, i zachciało mu się zostać grafem austriackim. Łatwo nim został, pysenku, boć dla innych grafów zaszczyt to nie mały mieć Granowskiego między sobą, lecz za to on sam w piekle pokutuje. Pan Bóg śmiertelnych grzechów nigdy nie przebacza!

— A kto jest ów w uniformie? — jakiś głos zapytał.

— Ów w uniformie i ze złotym kluczem na miejscu nieprzyzwoitem, to, pysenku, mój brat wujeczny, który został szambelanem austriackim. Wprawdzie ten jeszcze żyje, ale dla dobrego przykładu trzeba było, pysenku, żeby i on tu się znajdował. Niech wie, że jak umrze, pójdzie do piekła, bo kiedy mu się zachciało wytańcowywać dworskie frejliny, więc po śmierci musi z djablicami hopki wycinać. Są tu i tacy, jak ś. p. panowie Wawrzyniec i Sebastjan, którzy dobrowolnie zawsze podatki płacili. Ci, pysenku, także poszli do piekła, bo kto bez egzekucji płaci podatki, ten *eo ipso* uznaje rząd niemiecki, a myśmy go nie powinni uznawać, bośmy go sobie pysenku, nie wybrali! Wiedząc jak łatwo człowiek schodzi na bezdroża, natura bowiem ludzka słabą jest i nieudolną, kazałem to oto wymalować, bym wstając i legając, pysenku, miał żywo przed oczyma obraz kary, jaka po śmierci tych spotyka, co się dopuszczają grzechów przeciw swemu narodowi!

— Nie wielka to jednak kara, mociumpanie — przerwał pan Mateusz — tańcować *anglais'a* w wesołym towarzystwie.

— Tak ci się zdaje, pysenku! Oni wprawdzie kilka razy na dzień tańczą, ale po każdym tańcu idą w smołę, na rożen i na wolny ogień.

## V.

Podczas gdy gospodarz takie przed obrazem robił uwagi, stary Maciej stojąc sam jeden w drzwiach wchodowych, w sposób wiele znaczący głową pokręcał.

— Do czego to przyszło, mój Boże! — mówił do siebie. — Czy godzi się natrzasać z własnej matki?! A przecież to była pani rozumna, bogobojna i taka wielka dama!

Cokolwiek zrobiła, było dobre. Sama cesarzowa ją szanowała. A i ś. p. pan Krzysztof dobrze się prowadził i miał wielki honor. Do cesarza, kiedy chciał, wchodził. Co się naszemu panu stało! Kto słyszał swoich najbliższych pchać do piekła! — Tu Maciej nabożnie się przeżegnał. — Niech go Pan Bóg ma w swojej opiece, ale ja doprawdy boję się o niego.

To powiedziawszy, wyszedł na korytarz, właśnie bowiem uderzyła szóstka, o której co dzień zegary nakręcał.

Gdy wrócił, zastał wszystkie stoliki gęsto obsadzone; na nich leżały srebrne talary i złote dukaty. Pan Granowski grał z najbogatszymi sąsiadami. Między nimi był jeden, z imienia Alfred, potomek rodziny zacnej i zamożnej, który bijąc się pod Napoleonem, dosłużył się rangi majora. W ogniu był lwem, w życiu codziennym hulaką. Gdy do domu wrócił, sąsiedzi, jak to bywa zwyczaj, przez grzeczność dodawszy mu jeden stopień, zaczęli go nazywać pułkownikiem. Pan Alfred prędko przywykł do nowego tytułu. Tak więc nie z woli cesarza Francuzów, lecz swoich sąsiadów, został pułkownikiem.

Osiadłszy na wsi, zaczął żyć nad stan, i do lat kilku ojcowiznę roztrwonił. Na tyle jednak był filozofem, że sobie z tego nic nie robił. Prawdopodobnie mówiło mu przeczcucie, że nie zginie. I tak się też stało. Gdy ostatni dukat z kieszeni mu wyleciał, zaczął jeździć po okolicy i grać w karty. Szczęście mu sprzyjało; dochody płynące z tego rzemiosła wystarczały na życie wygodne. Wprawdzie powoli zaczęto ukradkiem wrzuszać ramionami, robić miny dwuznaczne, czasem ten i ów ośmielił się nawet wątpić o czystej grze pułkownika, ale ponieważ na fałszerstwie nikt go nigdy nie złapał, więc wszyscy go u siebie przyjmowali i każdy dawał mu się ogrywać. Pułkownik bywał nawet gościem pożądanym, zwłaszcza dla dam, które umiał bawić opowieściami swoich przygód żołnierskich i niewyczerpanemi komplementami.

Właśnie gdy Maciej wchodził, pułkownik, któremu szczęście dotąd nie sprzyjało, zawołał:

— Teraz na mnie kolej! Ja trzymam bank!

— Dobrze, pysenku! — odrzekł gospodarz, karty mu wręczając. — Jeżeli kiedy to dziś, pysenku, ogram cię do nitki

— Co daj Boże! — inni zawtórowali.

— Amen! — zakończył przeor, który z panem Słotwińskim stojąc za plecami grających, nie bez żywego zajęcia grze się przypatrywał.

Pan Granowski był wesół, jak rzadko kiedy przy kartach. Nigdy nie chciał wygrać, lecz niezmiernie go drażniło, jeżeli stałe przegrywał. A to mu się często zdarzało. Dziś dopiero było inaczej. Z początku karta mu nie dopisywała, i z 500 dukatów, które wyjął, połowa stopniała; gdy jednak z kolei wziął bank, w kilka minut nie tylko odbił, co był przegrał, lecz jeszcze w trójnasób pomnożył swoją gotówkę.

Pułkownik pociągnął kilka razy i przegrał. To tak uradowało grających, że śmiejąc się i z bankiera żartując, w nadziei, że go prędko rozbiją, zaczęli podwajać stawki. Pan Granowski jak zwykle grał wysoko i najmniejsza jego stawka wynosiła 50 dukatów.

Maciej, który jakiś czas wszystkim uważnie się przypatrywał, opuścił nagle przy drzwiach swoje stanowisko, przystąpił na palcach do pana Słotwińskiego, i cichutko szepnął mu do ucha:

— Proszę W Pana na słówko.

Pan Słotwiński korzystając z oddalenia się przeora, który chcąc także szczęścia spróbować, tam teraz poszedł, gdzie najchudsza szlachta siedziała, skinął głową Maciejowi, i w milczeniu udał się do drugiego pokoju.

— Niech mi W Pan daruje — zaczął Maciej pokornie — ale ja wiedząc, jakim W pan jest przyjacielem mego pana, chcę go prosić o wielką łaskę, i mam nadzieję, że mi W Pan jej nie odmówi.

— Mówcie tylko Macieju, mówcie!

— Już to prawdę powiedziawszy, mój pan niekiedy i mnie posłucha, ale to rzadko... rzadko!... W ostatnich czasach kilka razy bardzo się nawet na mnie rozgniewał, żem się odważył bronić s. p. naszej nieboszczki pani i pana hrabiego, których w tem strasznym piekle wymalować kazał. Jak się na mnie nie ofuknie, i nie krzyknie: Cicho bądź, bo i ciebie tam wpakuję! tak aż ciarki po mnie przeszły. Od tego

też czasu rzadko się odzywam, a tu proszę W Pana coraz gorzej. Ze starostą i z wszystkimi urzędnikami drze koty, a mnie się zdaje, że wszędzie jakiś rząd być musi i nasi panowie chyba sami sobie winni, że własnego nie umieli utrzymać.

— O tem mój Macieju nie mówcie — przerwał pan Słotwiński brwi marszcząc — bo to polityka, o której nie wszyscy mogą sąd wydawać.

— Niech i tak będzie. Maciej znowu przemówił — ale mnie się zdaje, że czy rząd taki czy owaki, podatki trzeba zawsze płacić, bo inaczej będzie źle... U nas proszę W Pana w każdej wsi egzekucja, w Zabłociu stoją nawet huzary, łaska boża, że ich w Granowie już nie ma, a nasz pan sędzia, chociaż to człek prawy i rozumny, zamiast jaśnie pana jakoś reflektować, sam mu jeszcze bębenka podbija. Oj! ja widzę proszę W Pana, że to się źle skończy. Ja ci tam nieedukowany, ale bieda i lata trochę mnie rozumu nauczyły, więc też wiem, że jak się wszyscy zwalą na jednego, to choćby nie wiedzieć jaki był mocny i jak się bronił, musi zginąć.

— Może to i prawda, mój Macieju, ale powiedźcie mi, czego właściwie odemnie żądacie?

— Ja chciałem prosić, żeby W Pan z jaśnie panem rozumne słowo pomówił, i wytłumaczył mu, że źle będzie. Ot naprzykład teraz zasiadł do kart z tym pułkownikiem, o którym niestworzone rzeczy opowiadają...

— Jakie?

— Ja tam nie wiem, czy to prawda — Maciej szepnął — ale ludzie mówią, że pan pułkownik ma coś takiego w palcach, że musi wygrać.

Usłyszawszy to pan Słotwiński, z pewnym niepokojem spojrzął do sali grających. Stolika, przy którym siedział gospodarz, nie mógł dojrzeć, tak go z wszystkich stron ciekawo otoczyli.

— Pan pułkownik — Maciej dalej mówił — z początku zawsze przegrywa, widocznie rzuca im ponętę, jakby nie przy mierzając rybom jakim; i dopiero, gdy się dobrze rozpała, zaczyna ich obskubywać. O! słyszy W Pan dobrodziej?

W tej chwili właśnie z drugiego pokoju doleciał głos donośny:

— Stawiam pięćset czerwonych, pysenku!

Pan Słotwiński domyśliwszy się istotnego niebezpieczeństwa, zostawił Macieja i pobiegł do gospodarza.

Ten siedział na dawnym miejscu, ale przed sobą na stole nie miał już ani jednego dukata. Prócz tego nie był uśmiechnięty. Przeciwnie, czoło miał zachmurzone, policzki czerwone, a wąż bezwiednie przygryzał. Nie był ani zmartwiony, ani przerażony, tylko zły.

— Dziewiątka! przegrał! — zawołało kilka głosów równocześnie.

— Skorom przegrał, pysenku, więc dubluję!

— Daj pokój Stachu! — szepnął mu pan Słotwiński. — Szkoda pieniędzy.

— Kto ich nie ma, lub żałuje, ten niech nie gra, pysenku! — odparł głowy nie podnosząc.

— Dama! przegrał! — dały się znowu głosy słyszeć.

— A więc jeszcze tysiąc czerwonych złotych, pysenku!

— Stachu! jeśli kochasz ojczyznę, dasz pokój! — pan Słotwiński rzekł mu do ucha z naciskiem, przyczem ujął go za ramię. — Mam ci coś ważnego powiedzieć *ex publicis*.

Gospodarz podniósł głowę, i ze zdziwieniem spojrzął na mówiącego.

— A! to ty, pysenku? Patrzcie się, a jam myślał, że to inny głos nad uchem mi brzęczał. Więc powiadasz, że masz coś ważnego *ex publicis*? Dobrze, pysenku, dobrze, zaraz idę! — a obróciwszy się do pułkownika, zapytał: — Ile razem przegrałem?

— Dwa tysiące pięćset czerwonych złotych... Mam jednak nadzieję, że się odegrasz.

— Dziękuję ci, pysenku, dziękuję!... Teraz mam nierównie coś ważniejszego do załatwienia. Pieniądze, pysenku, w ciągu dwudziestu czterech godzin przywiezie ci mój sędzia. Przepraszam was kochani sąsiedzi, że samych was zostawię, ale za chwilę wrócę. Służę ci, pysenku!

Wziął przyjaciela pod ramię i krokiem wolnym udał się z nim do swojej sypialni. Gdy przechodził obok Macieja, zapytał:

— Nie wiesz, gdzie jest pan sędzia?

— Jestem, jasnie panie — odrzekł pan Zagórski, podchodząc ze strony przeciwnej.

— Dobrze, że cię widzę, sędzio. Poszlij zaraz, żeby ci zaprzegli, i dziś jeszcze pojedziesz acan do plenipotenty. Powiesz mu, że do dwudziestu czterech godzin muszę mieć trzy tysiące dukatów. Zrozumiałeś acan?

— Zrozumiałem, jasnie panie.

— Jak pieniądze odbierzesz, udasz się acan prosto do pułkownika, dasz mu dwa tysiące pięćset dukatów, pięćset zaś mnie odwieziesz. Od pułkownika weźmiesz jednak potwierdzenie. Zrozumiałeś acan?

— Zrozumiałem jasnie panie.

Skinął mu głowę, i dawszy ręką znak Maciejowi, żeby drzwi otworzył, oddalił się ze swym gościem.

Pan Słotwiński usiadłszy obok gospodarza w jego sypialni, nie mógł nie zacząć od tego co go najbardziej zaniepokoiło.

— Daruj kochany przyjacielu — przemówił z niejakim wahaniem — że chociaż nieproszony ośmielę się dać ci jedną radę.

— A choćby i dwie, pysenku! Od ciebie każda będzie mi pożądaną.

— Nie graj więcej z pułkownikiem.

— Czemu?

— Bo jak widziałem, człowiek ten ma wielkie szczęście.

— Trudna rada, w kartach zawsze tak, jeden przegrywa, drugi wygrywa. Z początku ja także wygrywałem, później jednak fortuna machnęła ogonkiem i trochę się przegrało. Ale to bagatela, pysenku!

— Piękna mi bagatela, kilka tysięcy dukatów!

— Powtarzam ci pysenku, że to bagatela!... Zresztą sama przyzwoitość nakazuje coś przegrać do tych szlacheiców, aby wiedzieli, kto ich u siebie podejmuje, bo chociaż ja ich



brat, pycenku, no, ale zawsze karmazyn! Niegdyś moi przodkowie miesiali po kilkudziesięciu rezydentów na swoim dworze, dziś mam ich ledwie dwóch czy trzech, więc w inny sposób trzeba sobie jednać panów braci. Zawsze to pieniądz nie-stracony.

— Zdaje mi się jednak — przerwał pan Słotwiński — że stokroć lepiej możnaby go użyć dla dobra powszechnego.

— Na ten cel wszystko, wszystko! — porywco zawołał. — Jeżeli powiesz, pycenku, że tego trzeba, sprzedam ostatni folwark, oddam tę oto koszulę, i konia dosiędę, by pójść gdzie każą! Wiesz co, pycenku, gotówbym się nawet upodlić, wziąć karabin i pójść w piechury, byłem się tylko za to Szwabów pozbył. O, bo nie dałbyś wiary Kostusiu, jak oni mi dokuczają! Nawet Chrystus Pan więcej na krzyżu nie wycierpiał. Wyobraź sobie, pycenku, nieboszczyk pan wojewoda, a ś. p. mój ojciec, miał majątku pięć razy tyle co ja; płacił zaś podatków tylko dwa tysiące złotych polskich, chociaż i tych, jeżeli nie chciał, całkiem nie płacił, a nikt go za to nie molestował. Miałby się ten z pyszna, ktoby się był ośmielił przyjść do niego z egzekucją! Mnie zaś każą płacić dwa tysiące dukatów, słyszysz pycenku, dwa tysiące obrączkowych dukatów, i co dzień męczą mnie nowymi egzekucjami. Ależ to gwałt! napad! rozbój!

Pan Granowski porwał się z kanapy, i zaczął chodzić dużymi krokami. Tak był wzburzony, że dłuższego czasu potrzebował, nim się trochę uspokoił. Gdy to nastąpiło, stanął przed przyjacielem i tak dalej mówił:

— I gdyby się choć na podatkach kończyło, ale nie, pycenku! Chcesz postawić gorzelnię, lub jaką inną fabrykę, powiadają płąć, i proś o koncesję. Otrzymałeś koncesję, zaczynasz wódkę pędzić, zjeżdża szwab, coś mierzy i znowu każe płacić!... Masz zrobić jakieś podanie do sądu, kupuj stempel, jak tak dalej pójdzie pycenku, niedługo będziemy musieli nawet mówić na stemplu. Dałeś chamowi za lenistwo, nieposłuszeństwo lub kradzież, ojcowską admonicję, cyrkuł woła: gwałtu! i powołuje się na jakieś tam patenta józefińskie. A co mnie do stu katów ich patenta obchodzą! U nas, py-

senku, obowiązuje tylko statut wiślicki, a oni ze swemi prawami niech sobie idą do diabła! Albośmy ich tu zapraszali, alboż do zbawienia potrzebujemy ich opieki? Niech sobie idą uszczęśliwiać kogo chcą, ale od nas im wara!

Pan Słotwiński słuchał spokojnie; dopiero gdy gospodarz skończył, jał mu przedstawiać w słowach ile możliwości oględnych, że taka opozycja z rządem nie jest dla kraju koniecznie potrzebną, z Niemcami bowiem stokroć lepsza dyplomacja niż taka walka, w której bezpotrzebnie siły się marnują. Pan Granowski wypatrzył się na niego i ze zdziwienia aż usta otworzył.

— Cha! cha! cha! — roześmiał się na całe gardło — to mi się podoba, pycenku! Kocioł garnkowi przygania, a obadwa smolą. Mnie każesz być dyplomata, chociaż ja nie mam ani żony, ani dzieci, i myśleć nie potrzebuję co jutro jeść będę, a sam, pycenku, mimo żeś żonaty i rodziną obarczony, nie chciałeś być urzędnikiem niemieckim i dla dyplomacji nawet wąsów nie golisz, gdys był komisarzem! Widzisz pycenku, jak to łatwo drugich uczyć. Ale ja ci się nie dziwię pycenku! Obadwaśmy Polacy, więc też jednakowo myśleć musimy! Jak koń nigdy wołem nie będzie, tak i my nie zmienimy naszej natury. Zresztą jest jeszcze jeden ważny powód, dla którego nie mogę się zmienić. Oto wszystkie rody mójnej niegdyś szlachty, przeszedłszy w służbę nowego rządu, wzięły od niego tytuły, ordery, dostojenstwa. Ja zaś powiedziawszy sobie, że największym dla mnie zaszczytem być polskim szlachcicem, a nie arystokratą, chcę takim zostać do grobowej deski. Być może, pycenku, że będę ostatnim karmazynem, ostatnim panem polskim, który nie godzi się z istniejącym położeniem, ostatnim, który nie schyla karku przed Niemcem; ale zato będę miał spokojne sumienie! Zgoda teraz, pycenku?

— Takes mnie złapał mój Stachu — odrzekł gość z uśmiechem — że trudno ci słuszności nie przyznać. Jak widzę, łatwiej radzić, niż samemu stosować się do rad swoich. Zostań więc przyjacielem jakim jesteś, bośmy już obadwa za stary, byśmy się zmienić mogli.

Uściskali się przyjaciele, którzy mimo różnicy wychowania, wykształcenia i stanowiska, w poglądach na obowiązki względem kraju prawie zupełnie się zgadzali, i odtąd pan Słotwiński nie myślał więcej panu Granowskiemu dyplomacji zalecać.

Z kolei jał gość opowiadać co się we Lwowie działo. Wspomniawszy o nieszczęsnej wyprawie z roku ubiegłego, której twórcą, Józef Zaliwski, z kilku innymi towarzyszami broni, jęczał właśnie w więzieniu lwowskim, dodał, że rząd, który aż dotąd spokojnie się zachowywał, nagle zaczął domyślać się wszędzie wicherzeń, wszystkich podejrywać, a wielu prześladować, zakończył zaś wynurzeniem obawy, iż bardzo być może, że ten stan rzeczy jeszcze się pogorszy.

— O! i ja widzę, pysenku — przerwał gospodarz — że będzie gorzej, i dlatego nie powinniśmy dłużej zwlekać, tylko jak najprędzej zabrać się do skóry niemieckiej. Niech jeno hasło wyjdzie, a przekonasz się pysenku, że w domu nawet kalleki nie zostaną.

Uśmiechnął się pan Słotwiński.

— Gorącość kapany, mój Stachu! wielkich rzeczy nie można mieć na zawołanie... bo je trzeba długo przygotowywać... prócz tego po takiej wyprawie jak zeszłoroczna, należy trochę poczekać, żeby ludzie zapomnieli o złem wrażeniu, jakie po sobie zostawiła... Ale mimo to bądź spokojny mój przyjacielu! Nasi we Francji nie śpią...

Tu nachylił się do ucha pana Graeowskiego i coś mu szeptał. Słuchający uśmiechał się, wąs gładził, w końcu zapytał:

— Więc wszystko tak przygotowują, pysenku, by rozpocząć z wielką zawieruchą europejską?

— Tak jest...

— To myśl genialna! to mi plan, pysenku! Do dni cztertnastu szwabów za dziesiątą górę wypędzimy! Pocziwy mój Kostku, jak ja się cieszę, żeś do mnie przyjechał! Na tem wygnaniu przynajmniej się dowiedziałem, czego się mam spodziewać. Tożto, pysenku, damy im łupnia! Chodź tu mój Kostku, chodź, niech cię uściskam!

I objął go w szerokie ramiona, i jak brata uściskał. Potem przemówił:

— Jeżeli się nie mylę, pysenku, wspominałeś mi ubiegłego roku, że w zakładzie Ossolińskich macie drukarnię.

— Rzeczywiście mamy.

— Jeżeli tak, to powinienbyś owe proklamacje paryskie, o których z żalem mówiłeś, że ich mało przychodzi, cichaczem przedrukowywać i w świat puszczać... Jutro moj sędzia przywiezie pięćset dukatów, zaraz ci je oddam na kosztą.

— Mój przyjacielu, tego uczynić nie mogę, bo toby zakład narażało. O mnie tu nie idzie, lecz o instytucję... Złapawszy podobny przedruk, rząd niewątpliwie zrobiłby z naszego gmachu koszary, dobra zaś skonfiskowałby na wieczne czasy. Ja dotąd tyle tylko uczyniłem, że kilka naszych pomieścił w Zakładzie, a i to już, jak słyszałem, prezydenta w oczy kole.

— Masz rację, pysenku, z nami mogą robić, co im się podoba, lecz sprawa publiczna nie powinna przez nas cierpieć. Ale mimo to ja ci pieniądze jutro dam, i ty je wziąć musisz, bo wy tam macie rozmaite wydatki, do których ja się niczem nie przyczyniam. Może do Paryża pošlesz, pysenku, a może obrócisz dla naszych biedaków, których szwabcy z pewnością głodzą...!

Pan Słotwiński, znając swego przyjaciela, nie myślał mu się dłużej sprzeciwiać. Wiedział on, że tej natury dumnej i upartej, lecz na wskroś szlachetnej, nikt nie potrafi odwieść od tego co sama za potrzebne uznała; wiedział także, że pan Granowski ponad wszystko stawiał dobro kraju, dla którego każdej chwili gotów był oddać ostatnią koszulę. Ofiarę z pięćset dukatów przyjął tedy w imieniu tych, którzy mieli z niej korzystać i uściskawszy przyjaciela, dalej z nim gawędził.

Podczas gdy oni przy drzwiach zamkniętych, radzili o rzeczach najważniejszych, w tym czasie goście pana Granowskiego, węgryzna popijając, dalej w karty grali. Księża przed północą wynieśli się cichaczem, tuż za nimi, z pełnym trzosem wymknął się pułkownik, reszta jednak wesoło rozprawiając, została do dnia białego, póki brzask na wschodzie i chłód

poranny, wpadający przez okno otwarte, nie zmógł każdego tam, gdzie go zastał. Ci usnęli więc na krzesłach, kilku zsunęło się na ziemię, dwóch czy trzech rzuciło się na kanapy, a gdy Maciej szedł o szóstej zegary nakręcać, w dwóch salach na rozmaite tony wszystko chrapało.

## VI.

— Ach to okropne! Okropne! — po raz dwudziesty zwołał starosta Westermann, biegnąc jak opętany po swoim pokoju.

Cały jego wygląd okazywało, że był niezmiernie wzburzony. To oblicze zawsze gładkie i ogolone, a rano jeszcze taką radością promieniejące, było teraz boleśnie pomięte; włosy, które zawsze starannie z tyłu na skronie naczesywał, były chaotycznie pomieszane; nawet uniform, zawsze na ostatni guzik zapięty, był na piersiach rozerwany. Staroście tchu brakowało, gwałtownym więc ruchem guziki poodrywał by wolniej odetchnąć. Ktokolwiek by go w tym stanie zobaczył, nie poznałby w nim owego zawsze poważnego naczelnika obwodu, który poruszał się jak automat, a nigdy się nie unosił. Ale dziwić mu się nie można. Kto tyle co on w jednym dniu przeżył, ten nareszcie musiał stracić równowagę.

W pokoju, po którym biegał, siedziała pod oknem jego żona, sucha jak skielet, a sztywna jak laska, i patrząc na rynek miasta, machinalnie robiła pończochę. Tylko niekiedy ukosem śledziła swego męża, lecz dotąd słowa nie przemówiła.

— Tak, tak, to okropne! — raz jeszcze zawołał, i jak wryty stanął przed żoną, chwilę przypatrywał jej się z bolesnym uśmiechem, potem rzekł: — Zdaje mi się, że byłbym sto razy lepiej zrobił, gdybym był ciebie nie usłuchał i kazał go uwięzić.

— A za coś go miał uwięzić? — zapytała spokojnie, od okna wzroku nie odrywając.

— Za to, że mnie zmistyfikował, że z władzy sobie zadzwili, że się ośmielił jechać jeszcze lepiej niż sam arcyksiążę, słowem za to, że jest przeklętym polakiem, a człowiekiem niebezpiecznym!

— Jeżeli doprawdy masz dowody, że jest niebezpieczny, więc powinieneś go być uwięzić! Zresztą, możesz i teraz wysłać po niego huzarów do Granowa. Rozważ jednak, że na to trzeba dowodów...

— Dowodów! Dowodów! ciekawym na co tu dowodów, skoro wszystko przeciw niemu przemawia. Ja tu nie znam człowieka dobrze usposobionego, któryby był *gut gesinnt*, z wyjątkiem jednego Zająca, *aber der ist ein Schurke!* (ale to łotr!).

— Wiesz co, kochany Frycu — żona przemówiła, oczy na męża podnosząc — nie przeczę, że się głupstwo stało, ale tyś temu winien, nikt inny; teraz zaś uważaj, żebyś się nie dostał z deszczu pod rynnę. Każdy może jechać, jak mu się podoba, ale starosta na tyle powinien mieć rozumu, żeby nie zatrzymywał pierwszego lepszego, nie zdejmował przed nim kapelusza i nie przemawiał do zamkniętej karety.

— To nie ja winien, ale rotmistrz od huzarów. Czemu dał mi znak, że to arcyksiążę?

— A tyś czemu drzwiczek nie otworzył?  
Starosta oczy wytrzeszczył.

— Czemu... Czemu... bo mi się zrobiło tak głupio koło serca, że o wszystkim zapomniałem. Zawsze to arcyksiążę i do tego jechał prosto z Wiednia!

— Pomyśl i o tem — mówiła dalej żona — że gdybyś był uwięził takiego pana, arcyksiążę usłyszawszy co się stało, byłby go natychmiast kazał wypuścić, skandal zaś byłby doleciał aż do Wiednia, a wtedy mój drogi mężu, dostałbyś okrutnego nosa. Czy żałujesz jeszcze, żeś głupstwa nie palnął?

Mąż czule się uśmiechnął, i wzięwszy żonę pod brodę, rzekł:

— Moja droga Emciu! Ja widzę, żeś ty kobieta rzadka. Twoje spostrzeżenia są zawsze trafne, twoje rady zawsze zdrowe. Zresztą ja temu Granowskiemu potrafię się jeszcze

wywdzięczyć. Już ja go nauczę rozumu! Trzeba się tylko zemścić spokojnie i politycznie. O tem nie będę więcej myślał, ale za to musisz przyznać, że wypadek z tą rogatą czapką chłopską, jest w rzeczy samej okropny!

— Co się to właściwie stało, bo dobrze nie słyszałam?

— Ach! to straszne! daj Boże, żebym choć chleba nie stracił! — odrzekł i znowu zaczął biegać po pokoju, przy czem mówił: — Gdy arcyksiążę przejeżdżał, jakiś mieszczanin, Bartek się nazywa, rzucił do powozu czworograniastą czapkę czerwoną i w sam nos trafił arcyksięcia.

— Okropność! — jęknęła starościna.

— O tak, to okropne! arcyksiążę wziął to pewnie za zamach na swoją osobę, i gotów mi tego nigdy nie zapomnieć, zwłaszcza żem go zawsze upewniał, że w moim obwodzie jest wszystko spokojne i lojalne. I kto wie, czy to w rzeczy samej nie był zamach.

— A co się stało z tym człowiekiem?

— Zajac znalazł go dopiero po odjeździe arcyksięcia i uwięził razem z żoną i synami.

— Cóż on mówi?

— Tłumaczy się, że w jednej ręce trzymał suplikę, w drugiej czapkę. Gdy arcyksiążę nadjechał, tak się zmięszał, że zamiast supliki czapkę rzucił.

— Ależ to możliwe!

— Lecz i to jest możliwe moja droga Emciu, że on się teraz tylko tak wykręca. Zresztą czemu innej czapki nie rzucił?

— Bo innej nie miał. Wszak wszyscy mieszczanie w tych stronach takie noszą.

Starosta stanął i dłonią w czoło się uderzył.

— Masz rację. Kto wie, czy ten człowiek nie mówi prawdy. Ale choćby i tak było — dodał po chwilowym namyśle — nie puszcze go tak prędko. Musi być indagacja i śledztwo... Zresztą niech ktoś odpokutuje za moją zgryzotę... Arcyksiążę nie jadł objadu, i odjeżdżając, nawet mi ręki nie podał. To jest straszne! Okropne!

Starosta długo jeszcze rozpaczał. W końcu przecie trochę się uspokoił, a gdy to nastąpiło, wziął inny uniform,

przyczesał sobie włosy przed zwierciadłem, i krokiem wymierzonym udał się do swojej kancelarii, znajdującej się na tem samem piętrze, na którem było jego mieszkanie.

Starosta był wzrostu miernego, twarzy okrągłej, a że i brzusek miał dosyć pokaźny, więc z tych oznak wnioskując, stokroć prędzej można go było wziąć za Polaka lub innego Słowianina, niż za Niemca. Nawet w rysach twarzy nie miał cech germańskich. Mimo to był on z pochodzenia Niemcem, i do tego tak twardym, że nie umiał ani słowa po polsku z przekonania zaś był Austrjakiem. W Wiedniu widział alfę i omegę wszelkiej prawdy i szczęśliwości; rozkazy gubernialne były regulatorami jego życia; tytuł „hofrata“ był ideałem, do którego dążył. — Odkąd z Wiednia wyszło hasło, że Polacy są niebezpieczni, starosta poczytywał za najpierwszy swój obowiązek, każdego z nich podejrzewać i śledzić. Myśl, że w jego obwodzie mogłoby się coś zawiązać, spać mu nie dawała. Mało go obchodziło, czy jego mieszkańcy będą szczęśliwi; jemu szło tylko o to, by cicho siedzieli, regularnie płacili podatki i bez szemrania dawali rekruta. Po za tem atoli była jeszcze jedna sprawa, w której zawsze czynny brał udział, a nią była sprawa włościańska. Ilekroć w jakiej wiosce wszczął się spór między dworem a chłopami, starosta bądź sam tam zjeżdżał, bądź wysyłał zaufanego urzędnika i tak wszystkim kierował, że wieśniacy zawsze mieli słusność. Jeżeli jednak mimo chęci najszczerzej nie mógł im słusności przyznać, tak zręcznie umiał w chłopów wmówić, że nie rząd temu winien, lecz dziedzic, że gdy odjechał, w ich przekonaniu, starosta został opiekunem uciśnionych, „pan“ zaś naj-sroższym tyranem.

Urzędnik tak gorliwy, którego oko, jak sam utrzymywał, nawet gdy spał, powinno było być otwarte, a ucho czujne, nie mógł zaufać li własnym siłom. Mimo, że nie był jeszcze stary, miał najwięcej lat pięćdziesiąt, nie mógł rzucać się wszędzie jak młodzik, zwłaszcza, że toby ubliżało jego wysokiemu stanowisku. Konieczność nakazywała mu zatem mieć ludzi zaufanych, na którychby zupełnie polegał. Do tych należał w pierwszym rzędzie kancelista Michał Zajac.

Zaledwie starosta wszedł do swego biura, zadzwonił na woźnego. Gdy ten drzwi odchylił, zawołał:

— Niech tu zaraz przyjdzie pan kancelista Zajac!

W kilka minut zjawił się wezwany.

Była to figurka mała, drobna, chuderlawa, do tego schyłona i nieśmiało patrząca. Na głowie miał włosów niewiele, tak, że przez nie przeglądała żółta skóra na czaszce, twarz była koloru oliwkowego, rysy zaś wcale regularne. Niedgdyś musiał to być nawet człowiek przystojny, dziś jednak, mimo, że miał ledwie trzydzieści kilka lat, wyglądał jak starzec. Zapewne choroby strąciły mu włosy z głowy, a rumieniec z twarzy i do ziemi go przybiły.

Gdy wszedł, oczy jego miały wyraz łagodny, który jednak później, wśród rozmowy ze starostą, często się zmieniał.

To był słodki, to przenikliwy, to nawet groźny. Tak samo zmieniał się wyraz na jego wąskich a bladych ustach, które zawsze były zaciśnięte. Raz były to usta łagodnego baranka, to znowu krwiożerczej hyeny.

Na sobie miał uniform wytarty, z jedną złotą gwiazdką na kołnierzu aksamitnym, za uchem pióro gęsie.

— Co robi Bartek? — starosta wyniośle zapytał.

— Siedzi.

— Wiem, że siedzi, chciałbym jednak wiedzieć, czyś go pan dalej indagował.

— Zachodziłem trzy razy do kaźni, ale nadaremnie.

— Nie chce się przyznać?

— Wciąż jedno powtarza.

Starosta zaczął się przechadzać.

— Kto wie, panie kancelisto — rzekł po niejakiem czasie — czy ten człowiek nie był przez innych wysłany, aby znieważać arcyksięcia! Tu nikomu nie można wierzyć... my stoimy na wulkanie... wszystko wicherzy. Dlatego badaj tego człowieka dalej, aby się koniecznie do czegoś przyznał. A coś pan zrobił z jego żoną, z synami?

— Wszystkich rozdzieliłem, żeby się nie porozumiewali.

— Dobrze! Co teraz myślisz czynić?

— Każdemu dam do towarzystwa sprytnego złodzieja.

— W jakim celu?

— Złodzieje ułatwią nam zadanie, gdyż Bartka i jego synów będą wyciągali na słówka.

Starosta wpatrzył się w mówiącego.

— Sprytnyś mój kochanku! — rzekł i protekcyjonalnie po ramieniu go poklepał.

Kancelista schylił się we dwoje, i uśmiech zadowolenia twarz mu rozjaśnił.

— A coś im pan dał jeść? — starosta znowu zapytał.

— Każdemu kazałem dać przy sobie dwa duże śledzie, pić zaś dostaną dopiero jutro wieczorem.

— Co? Co? — pytał starosta, jakby swym uszom nie wierzył.

Kancelista powtórzył dosłownie, co raz powiedział i tak zakończył:

— Ponieważ śpiewakom dają potrawy mocno solone, żeby lepszy głos mieli, więc i im dałem śledzie, żeby łatwiej śpiewali.

Gdy to mówił, oczy uśmiechały mu się szatańsko. Starosta natomiast wydał usta i obrzuciwszy kancelistę wzrokiem pełnym pogardy, rzekł:

— Trudno o większego łotra, niż pan!

Zajac zgiał się we dwoje, ale nic nie odpowiedział. Starosta sięgnął do kieszeni i wyjął cwancygiera. Już go chciał dać kanceliście, lecz jakby sobie nagle coś przypomniał, cofnął rękę i zbliżywszy się do stołu, zadzwonił.

— Weź tego cwancygiera — rzekł do woźnego, który wszedł — i zaraz kup za niego piwa dla tych ludzi, których dziś zamknięto. Dopilnuj tylko, żeby wszyscy dostali. *Marsch!*

Pan starosta Westermann był biurokrata do szpiku i kości, Polaków nienawidził z całej duszy, ale mimo to czynił wszystko w granicach prawa i srogim nigdy się nie okazał. Owszem bliźsi jego znajomi twierdzili nawet na pewne, że serce miał dobre, chętnie rozdawał jałmużny i nad więźniami często się litował.

Przeszło kwadrans chodził teraz po pokoju z rękoma w tył założonemi i dumiał w milczeniu. Przez ten czas kan-

celista stał ciągle na dawnym miejscu, i tylko niekiedy zerkał ku przełożonemu, przyczem ironicznie się uśmiechał. Twarz jego dopiero wtedy przybrała maskę dawnej obojętności, gdy starosta stanąwszy przed nim zapytał:

— Nie wiesz pan co słychać w Granowie?

— Wiem, że tam jest dziś zjazd wielki.

— Jaki zjazd?

— Cała szlachta okoliczna zjechała się na objad.

— *Hundeseele!* — mruknął starosta i zębami zgrzytnął. — Umyślnie wszystkich sprosił, żeby do mnie nikt nie przyjechał... Poczekaj, nauczę ja ciebie rozumu!

Znowu chodził, znowu myślał.

— Przynies mi pan wszystkie akta — rzekł — odnoszące się do Granowa.

— Mam wszystkie w głowie, panie starosto.

— Jeśli tak, to powiedz mi panie kancelisto, czy cięża tam jakie podatki niezapłacone?

Zajac jał wymieniać wioski pana Granowskiego, i z pamięci, bez żadnej pomocy, wyliczył, ile każda z nich powinna zapłacić, a ile jest jeszcze dłużna. Okazało się z tego, że zaległości były znaczne, ale też i wszędzie była nakazana egzekucja.

— Co do samego Granowa — kończył — to pan starosta zapewne sobie przypomina, że dopiero trzy miesiące temu, jakeśmy ztamtąd huzarów odwołali. Wtedy wszystko było zapłacone.

— Wiem o tem, panie kancelisto! — odparł starosta niecierpliwie — ale za te trzy miesiące z pewnością ani dudka nikt nie uścił.

— Granowski bez egzekucji nie płaci podatków.

— Jeśli tak, to zaraz jutro pošlesz mu żołnierza z rozkazem, żeby od rana do wieczora stał w głównych drzwiach pałacu, i dopóty się nie ustąpił, póki do grosza wszystkiego nie odbierze. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem; chociaż jeśli mam prawdę powiedzieć, sam Granowski nie tyle tu może winien co inni.

Musiał trafić w myśl starosty, skoro ten wpatrzył mu się bystro w oczy, i zapytał:

— Jacy inni?

— Mandatarjusz Zagórski.

— Masz rację, panie kancelisto! Nie raz już sobie myślałem, że muszą to być sprawy Zagórskiego. O! to sprytny hultaj! A jaki z niego zuchwalec, jaki arogant, jak mu źle z oczu patrzy! Przy każdej sposobności chce bym go tytułował *Ritter von* i uważał na równi z inną szlachtą. Poczekaj mój kochanku, nauczę ja ciebie rozumu! Wnet ty się przekonasz, co znaczy mandatarjusz, a co starosta! Panie kancelisto, nie masz co na Zagórskiego?

— Przewinienia nie dopuścił się on żadnego, ale możnaby mu dokuczyć w inny sposób. Przed dwoma tygodniami rzeczka, która przez jego wioskę płynie, pozrywała na drodze komunikacyjnej wszystkie mostki. Jeden między niemi jest nawet dość duży, kosztował kilkaset guldenów. Zdaje mi się, że gdyby pan starosta kazał mu do dni czternastu wszystkie postawić, i drogę ponaprawiać, choćby nie wiedzieć jak się starał, nie dokazałby tej sztuki.

— A jeśli tego nie robi — starosta uzupełnił — w takim razie zagrozę mandatarjuszowi Zagórskiemu odebraniem dekretu, właścicielowi zaś Zagórskiemu egzekucją natychmiastową. Tak, tak, to myśl genialna! — Tu starosta ręce zatarł. — Teraz siadaj pan i pisz!

Zajac usiadł przy stole; starosta przechadzając się zaczął dyktować. Gdy skończył, kazał kanceliście papier zapieczętować i tak przemówił:

— Jutro dodnia wyślesz pan to wezwanie do Zagórskiego przez umyślnego landsdragona, do Granowa zaś pošlesz żołnierza z boletą egzekucyjną. Prócz tego — dodał ciszej — począwszy od dziś masz uważnie obserwować pałac w Granowie, byś każdej chwili wiedział, co się tam dzieje. Czasy są bardzo niebezpieczne, złe duchy zaczynają nurtować... We Lwowie, niech wiedzą, że my tu nie prózujemy... Rozumiesz, panie kancelisto?

— Rozumiem, panie starosto, ale....

— Jakie ale?

— Choćbym chciał, nie będę mógł spełnić otrzymanego rozkazu, jeśli w mieście zostanę. Pan starosta raczy mi więc dać urlop kilkodniowy, bym się mógł rozpatrzeć i stosunki nawiązać. Bez tego nic nie wskóram.

— Dobrze... Chcesz pan jeszcze co powiedzieć?

— Chciałem jeszcze nadmienić, że z miasta nie sposób oddalić się bez... bez...

— Bez pieniędzy, rozumiem.. Jutro rano dostaniesz piętnaście reńskich. Uważaj tylko panie kancelisto, żeby te pieniądze, nim wyjedziesz, nie ugrzęzły w jakim szyneczku. Wierz mi, ja wiem wszystko... Pan lubisz grać, a to rzecz niebezpieczna, i dla urzędnika wielce kompromitująca. Jakby się o tem w gubernium dowiedziano, mógłbyś chleb stracić. Uważaj więc panie kancelisto i bądź zdrów!

Zajac wysunął się bez szelestu. Gdy się drzwi za nim zamknęły, starosta rzekł do siebie:

— Wielki łotr! ale co robić?... Wysoki rząd i takich potrzebuje. — Potem ręce zacierając dodał: — Obydwo nauczę rozumu. Dwa ptaszki na jeden strzał... To mi zemsta! Przekonają się czy wolno mnie lekceważyć... To będzie zemsta roztropna, godna męża politycznego.

## VII.

Nazajutrz po rozmowie ze starostą, Zajac wróciwszy późnym wieczorem do swego mieszkania, przykleknął przy kufrze, który stał pod ścianą i coś w nim szukać zaczął. Kufer ten, na ciemno-zielono malowany, był tu najokazalszym meblem. Reszta gratów tak była zniszczona, że tylko cudem stała po różnych kątach. Snać pan kancelista nie przywykł do większych zbytków, bo chociaż miewał różne dochody, nigdy nie pomyślał o przyzwoitem urządzeniu swego mieszkania. Prosta miska starczyła mu za umywalnię; na krześle, o trzech nogach, było mu wygodnie; na sienniku słomą wypchanym, a leżącym na łóżku zbitym z kilku desek, spał smacznie; w kufrze mieściła się cała jego garderoba, składa-

jąca się z uniformu nieco lepszego niż ten, który miał na sobie, z dwóch koszul i kilku innych przedmiotów, których przeznaczenia nie było można odgadnąć.

Dość długo szukał, przymierzał, w końcu zrzucił ubranie, w którym przyszedł i zaczął się przebierać. Skończywszy, wyjął ze spodu kufra wasy i brodę i te sobie przypiął.

Gdy potem stanął przed kawałkiem stłuczonego zwierciadła, które w ramce z papieru czerwonego obok łóżka wisiało, był prawdziwym żebrakiem, okrytym łachmanami od stóp do głowy. I aby tem większe było złudzenie, jeszcze bardziej się schylił, niż to u niego było w zwyczaju, i wiawszy krucicę z kufra, a z za pieca kij sękaty, wyszedł na ulicę.

Pierwszą osobą, którą spotkał, był komisarz cyrkularny, bezpośredni jego przełożony. Zdjął przed nim kapelusz i głosem ochryłym poprosił o jałmużnę.

Komisarz stanął, spojrzął na żebraka i rzucił mu dutka.

— Wyśmienicie! — mruknął. — Skoro mnie nie poznał, więc mogę być spokojny. Powiadają, że w całym obwodzie ten ma wzrok najlepszy.

Nakrył głowę i krokiem wolnym ruszył na przedmieście, przez psy odprowadzany, które tem hałaśliwiej ujadły, im dalej się posuwał. Gdy wszedł między dworki, w ogrodach stojące, nie raz i nie dwa musiał przystanąć i kijem się opędzać, inaczej jego łachmany byłyby w strzępy poleciały.

Dopiero pół roku jak Michał Zajac przyjechał do miasta obwodowego w randze kancelisty, a tak dobrze zapoznał się już ze stosunkami, że prawie wszystkich mieszkańców tak miasta jak prowincji znał po nazwisku i nic mu tajne nie było. Musiał to być umysł bardzo ruchliwy i do badań skłonny, skoro go wszystko obchodziło. Nie małą przytem usługę oddawała mu pamięć nadzwyczajna, która go nigdy nie zawodziła.

Minąwszy przedmieście, wszedł na drogę do Granowa wiodącą. Wkrótce schylona jego postać znikła zupełnie, ciemności bowiem coraz większe zsuwały się na ziemię, poczem

zapadła noc chłodna, głucha, zachmurzona, bez gwiazd i księżyca.

Dzień atoli następny był nadspodziewanie piękny.

Ciepłe słońce wiosenne, pobudziwszy wcześniej ludzi i ptaki, napełniało powietrze rozgwarem wesołym. Nawet małe dzieci, rwące się instynktowo do wiosny, życia i szczęścia, dnia tego zerwały się o świcie i uradowane wybiegły na świat boży, by kwiatki zobaczyć i świegotu ptasząt posłuchać.

Córeczka Czarneckiej, pięcioletnia Stasia, zbudziwszy się wczesnym rankiem, dopóty nie przestała szczebiotać matce nad uchem, prosząc by jej wyjść pozwoliła, póki ta nie zaczęła się sama ubierać. A była to wielka dla niej przykreść, dnia bowiem poprzedniego tak się utrudziła, że z największą radością, byłaby jeszcze godzinę podrzymała.

Mały tyran nie miał jednak wyrozumiałości i matka chcąc nie chcąc musiała wyjść z pokoju.

Czarnecka mieszkała w suterrenach pałacu. Wychodząc, była pewną, że wszyscy śpią jeszcze, tymczasem na korytarzu spotkała już Macieja, który mruczając pod nosem, szedł właśnie w tę stronę, gdzie służba miała swoje pokoje.

— Dzień dobry panu Maciejowi — grzecznie go powitała.

— Dzień dobry — burknął.

— Nie wiedziałam, że z pana Macieja taki ranny ptaszek.

— Pięknie mi ranny, już pół do piątej, a ta hołota śpi jeszcze i chrapie, aż mury się trzęsą. Szczęście, że jaśnie pana dziś nie ma, boby mu to wycie spać nie dało. Jakbym tego tałatajstwa nie pobudził, ręczę, że spałoby do dnia sądnego.

Stary gdera otworzył pierwsze drzwi, które spotkał, Czarnecka zaś wzięwszy dziecko za rękę, pobiegła przez dziedziniec na drogę.

O kilkaset kroków za ogrodem, na niewielkim pagórku piaseczystym, rósł lasek sosnowy. Ztamąd był śliczny widok na okolicę, tam też Czarnecka najchętniej chodziła, w ustroni tej bowiem nigdy nikogo nie spotykała. Ileż to razy na ziemi usiadłszy, podczas gdy dziecię po gaju biegało, puszczała

wodze swoim myślom i w daleką przestrzeń zapatrzona, przypominała sobie przeszłość, zastanawiała się nad teraźniejszością, i pytała w duchu, jaka przyszłość będzie. A smutne musiały być te myśli, skoro każda taka chwila zadumy, kończyła się łzami gorzkimi, które w dwóch strumieniach na suchy piasek ściekały. Wtedy dziecko przybiegając do matki i odchylając ręce, któremi sobie twarz zasłaniało, wołało:

— Mamo! mammo! nie płacz, bo i Stasia będzie płakała!...

Matka chwytając córkę w objęcia, i do serca ją tuląc zapominała o boleści.

Dzisiejsza do gaju wycieczka tak samo się zaczęła. Już Stasia w głąb gaju pobiegła, by swobodnie pobujać, już twarz matki pobladła i w oczach pierwsze łzy się ukazały, gdy wtem rozległ się krzyk:

— Mamo! Mamo!

Czarnecka porwała się z przerażeniem. Dziecko pędziło do niej z rączkami wyciągniętymi, blade, sine prawie. Matka wiedząc jakaby tego była przyczyna, podbiegła ku niej, i chwyciwszy ją na ręce, zapytała;

— Stasiu! Co ci jest?

Dziewczynka trzymała chwilę główkę w fałdach sukni ukrytą, potem rękę poza siebie wyciągnawszy, szepnęła:

— Dziad!

Matka spojrzała w tamtą stronę.

Pod grubą sosną, na kraju lasu, stał żebrak zgarbiony; miał długą, czarną brodę, w rękę trzymał kapelusz.

Mimo znacznego oddalenia, oczy świeciły mu się jak kowowi. Chociaż nie zrobiło to na Czarneckiej miłego wrażenia, mimo to nie odeszła; przeciwnie chcąc przekonać swoją dziewczynkę, że nie powinna bać się bez powodu, wyjęła dutką z kieszeni i wciskając go w rączkę Stasi, rzekła:

— Idź moje dziecię i daj to temu ubogiemu.

— Stasia nie pójdzie, mamusiu!

— Czemu, mój aniołku?

— Bo Stasia się boi.

— Jeśli tak, więc razem pójdziemy.



Wzięła córkę za rączkę, i chociaż ta się opierała, prowadziła ją obok siebie. Stanąwszy przed żebrakiem, wrzuciła mu pieniąż do kapelusza, mówiąc:

— Zmówcie, dziadku, pacierz do przemienienia Pańskiego, żeby złych poprawił, a zblakanych nawrócił.

Żebrek opuścił kapelusz na ziemię i Czarneckę za rękę chwycił. Wpatrzyła się weń z przerażeniem, kurcz ścisnął ją za gardło i przez sine usta wyrwały się dwa tylko słowa:

— Boże! Michał!

— Puść mamę! Puść! — wołała Stasia, usiłując żebraka od matki odepchnąć.

— Cicho, ty bębnie! — mruknął. — Więc przecie mnie poznałaś, Kasiu?! — dodał, coraz silniej cisnąć ją za rękę. — Trzy razy pisałem, raz nawet przez umyślnego... nie raczyłaś nawet odpowiedzieć. Widzisz, góra z górą się nie zejdzie, ale ludzie zawsze!

— Czego chcesz? — zapytała głosem bez dźwięku.

— Czego? mojej własności. Ten bęben!

— Cicho! cicho! — przeraźliwie krzyknęła, przytomność odzyskując.

Stasia tymczasem rozplakała się na dobre.

— Jeżeli ten bęben zechce beczeć, łatwo go przekonam, że nie jestem tak straszny.

Już rękę do twarzy podniósł, by brodę zerwać, kobieta atoli w tem mu przeszkodziła, za ramię go chwyciwszy.

— Zostań tak, Michale! Błagam cię, zaklinam! Niech nie widzi twoich rysów, niech mara twojej twarzy snu jej nie mać, niech nie wie, niech nic nie wie, Michale!

— Dobrze, dobrze, Kasiu... wiesz przecie, że mi na tem nic nie zależy. Powiedziałem jednak, że przyszedł po moją własność, i słowa nie cofnę, jeżeli nie uczynisz czego zażadam.

— Mów, tylko nie strasz mi dziecka!

— Nie bój się o tego gagatka, jeszcze on ci kością w gardle stanie! A teraz słuchaj: Przyszedłem przebrany, aby zobaczyć się z tobą i rozmówić. Mam interes niezmiernie ważny... gdyby nie to, nie byłbym się narażał na napaści psów chłopskich. O! nadokuczały mi się one niemało. Jeśli chcesz

byśmy się spokojnie rozeszli i w dobrej zostali przyjaźni, to dziś, po zachodzie słońca przyjdiesz tu sama jedna, bez tego bębna.

— Michale! zlituj się! — jęknęła.

— Bądź spokojna! Ani cię zabiję, ani nawet zbliżę się do ciebie. Nie twoje wdzięki mnie tu sprowadziły, lecz sprawy ważne, bardzo ważne! Teraz masz wóz i przewóz. Albo przyjdiesz, albo w Granowie wszyscy się dowiedzą, jakie mam prawa. Daję ci słowo honoru, że przyrzeczenia dotrzymam!

Chwilę stała z rękami załamanymi a głową zwieszoną.

— Przyjdiesz? — napierał.

— Przyjdę — szepnęła.

— Pamiętaj, bo będzie źle!

To powiedziawszy odszedł ścieżką polną, która między zboża z Granowa do drugiej wsi prowadziła.

Czarnecka została w dawnym miejscu, potem z okrzykiem: — Boże! więc i tu mnie znalazł! — zsunęła się na kolana i szlochać zaczęła.

— Mamo! już poszedł ten dziad brzydki? — dziecko zapytało, trwożliwie w koło się oglądając.

— Poszedł... ale i my chodźmy, dziecko, już późno... Chodźmy!

Obtarła oczy, i wzięwszy Stasię na ręce pobiegła do pałacu.

Pięknie słońce świeciło i dzień był spokojny — ale burze szarpały pierś młodej kobiety, w jej duszy zaś noc się rozsiadła. O! bo straszny dzień dla niej zaświtał, a biedna nie wiedziała jaki będzie jego zachód.

Nie tak dawno, ledwie sześć lat temu, jak dziewczęciami. młodem i urodziwem, mieszkała z ojcem w miasteczku, i na małym poprzestając, uważała się szczęśliwą. Matka odumarła ją w kolebce; ojciec, niegdyś właściciel małej wioseczki w górach sanockich, straciwszy przez nieszczęścia rodzinne, większą część majątku, z resztkami schronił się do miasteczka, gdzie jedynaczkę swoją spodziewał się łatwiej wychować i wykształcić. Podrastała jak brzoźka młoda, a sąsiedzi nie mogli się jej dość nachwalić dla krasy, skromności i wdzięku.

Przyszły lata marzeń, chwila, gdy się serce budzi.

Znalazł się młody człowiek, któremu w oko wpadła, i który jej się podobał. Wyznał jej miłość swoją i o wzajemność prosił; ona odrzekła, że jeśli ojciec pozwoli, chętnie za niego wyjdzie.

— Moja Kasiu — rzekł ojciec po odejściu konkurenta — nie mogłem się zgodzić, bo mi się ten człowiek nie podoba. Nie dość, że Zając się nazywa i z chamów pochodzi, a tyś przecie Czarnecka, ale tak mu źle z oczu patrzy, że bałbym się spać z nim pod jednym dachem.

— Tak się tatkowi zdaje...

— O! nie Kasiu, mnie się nie zdaje... Ja moje dziecko przez skórę to czuję, a takie przecucie jeszcze mnie nigdy nie zawiodło. To człowiek zły, niebezpieczny!

Ojciec nie pozwolił, ale mimo to Kasia nie przestała kochać Michała. I miłość zamiast się zmniejszać, rosła szybko jak lichwa, i dziewczę niedoświadczone ani postrzegło, jak się dało wykraść i wbrew woli ojca poślubić. Biedny pan Czarnecki zgryzł się i obłożnie rozchorował, widząc atoli, że co raz się stało tego nie odmieni, przebaczył córce i zięcia wziął do swego domu.

Pożycie między małżonkami w pierwszych miesiącach było znośne, ale gdy wkrótce ojciec umarł, a zięć nie otrzymał po teściu takiego majątku, jakiego się spodziewał, od razu zrzucił maskę i został łotrem.

Grając w karty namiętnie, ciągle pieniędzy potrzebował, i nie było nikczemności, której by się dla nich nie dopuścił. Z początku trwonił majątek żony, a gdy go zabrakło, posprzedawał jej klejnociki, w końcu nawet suknie, tak dalece, że tylko w tem została co miała na sobie. W domu rzadko się pokazywał, a jeśli wpadł na chwilę, to chyba po to, żeby ją sponiewierać. Żona zносиła wszystko z chrześcijańską pokorą, i gorąco Boga prosiła, by jej dał dziecię, myślała bowiem, że taki aniołek niewinny, stokroć łatwiej niż ona potrafi ułagodzić serce złego ojca.

Niestety! i to ją zawiodło. Do roku przyszło na świat dziecię, prześliczna niebieskooka Stasia, ojciec jednak ani spoj-

rzył na nią. Namiętność pędziła go coraz dalej na dno przepaści. Żona patrząc na jego do gry namiętność, widząc jego rozwiązłość, która go o mało w grób nie wtrąciła, wreszcie czując, że ten człowiek gotów się nawet zbrodni dopuścić, zaczęła powoli cucić się z letargu. i na miejscu dawnej miłości, rozsiała się nie nienawiść, dla której w jej sercu nie byłoby pomieszczenia, lecz pogarda. Gdy do tego już przyszło, zrozumiała, że teraz byle co może ich na zawsze rozdzielić.

I nie długo potrzebowała czekać na sposobność. Mąż nie otrzymawszy posady, o którą się ubiegał, a potrzebując ciągle pieniędzy, zapytał ją raz pół żartem, pół serjo, czy nie chciałyby ciągnąć zysków z tej piękności, którą ją Bóg obdarzył. Tego było jej już za wiele — ostatnia struna pękła.

— Bądź zdrow i nie pytaj czy żyję! — zawołała, dziecko na ręce porywając.

— Z Bogiem! z Bogiem! mniej będę miał wydatków! — odrzekł i drzwi zatrzasnął.

Biedna kobieta przeniosła się do domu dalekiego krawnego, który ją później odwiózł do Krakowa. Przywdziała czarne suknie, wyparła się nazwiska męża, i jako bona uczciwie na chleb zarabiała. Przed rokiem otrzymała posadę u pana Granowskiego.

Tymczasem mąż jej pojechał do Lwowa, gdzie rozpoczął praktykę w biurze policyjnym. Po dwóch latach przysłano go starościę Westermanowi w randze kancelisty. Tak więc małżonkowie znaleźli się blisko siebie, a choć o tem wiedzieli nawzajem zachowywali to w tajemnicy.

Biedna kobieta dzień spędziła w gorączce, często płacząc i do Boga się modląc, by jej nie opuszczał.

Gdy słońce zaszło i dziecko uspiła, krokiem wolnym a drżącym, jak krok skazańca idącego na rusztowanie, poszła na pagórek do gaju sosnowego.

Zastała go w miejscu umówionem, w tym samym corano ubiorze, na pniu siedzącego.

— Jak to pięknie, że pani Katarzyna słowa dotrzymała! — przemówił niby uprzejmie, lubo głos mu syczał. — Teraz po-

mówimy o wszystkim spokojnie, i nie wątpię, że się rozejdziemy w dobrej przyjaźni.

— Czego żądasz odemnie, Michale?

— Powoli duszko, nie tak porywczo... Ot, lepiej usiądź na tym pniu drugim, bo cię nogi zabolą. Tak duszko... teraz pogawędzimy spokojnie, bo wygodnie.

Urwał. Myślał, że ona zacznie, lecz gdy to nie nastąpiło, znowu pierwszy przemówił:

— Chciałem cię zapytać, duszko, jak się masz, jak ci się powodzi?

— Dziękuję za troskliwość... jak dotąd, niezle.

— Wierzę.

Wypowiedział to takim tonem, że młoda kobieta musiała ku niemu oczy podnieść.

— Pan Granowski kawaler — ciągnął, cedząc słowo po słowie — a pan sedzia Zagórski także nieżonaty...

— Michale!

— Czy jest tu jeszcze więcej kawalerów? — dokończył.

— Jeśliś mnie po to wezwał, by mnie znieważać, to bądź zdrów!

Już się podniosła by odejść, ale zatrzymały ją jego słowa.

— Zostań, bo inaczej będzie źle!... Zresztą jak mi Bóg miły, nie pojmuję, co ciebie tak gniewa. Patrz, mnie to nie oburza, chociaż zapewne przypuszczasz, że jeśli kto, to ja powinienem się tem czuć obrażonym. Ale na takie rzeczy, moje dziecko, trzeba być filozofem... dziś interes wszystkim!... Cnota, to puch, który lada wiatr porywa, pieniądz to grunt, bo ma wagę! Dlatego wcale się nie dziwię, żeś nabrała rozumu i myślisz o sobie. Szkoda tylko moja duszko, że równocześnie nie myślisz także o mężu, który z nędznych trzystu reńskich cały rok musi żyć. Wszak godziłoby się i jemu czasem coś przysłać.

— Michale! Serce moje odarłeś z wszelkich ulud, duszę wtrąciłeś w otchłań zwątpienia, zabrałeś mi szczęście i życie zabiłeś, więc za to wszystko pozwól mi choć cierpieć w pokoju! Ukrywszy się tu, myślałam, że cię już nigdy nie

zobaczę, tymczasem tyś mnie [na to odszukał, żeby mi znie wagę w oczy rzucić, żeby moją cześć podeptać! Ach! Michale, czym przeciw tobie zawiniłam, że mnie przesładujesz z taką zapamiętałością? Czy tem, żeś mnie kochała, choć tej miłości nie byłeś wart? Czy tem, żeś w cichości cierpiała? Czy tem, żeś się usunęła, by ci nie być zawadą i ciężarem? Sądziłam niegdyś, że nie widziano człowieka, któryby w sobie nie miał choć jednego uczucia prawdziwie ludzkiego, któryby był złym dla samej przyjemności czynienia źle — tymczasem przekonuję się teraz, że są tacy! Tyś jeden z nich, Michale!

— Ho! ho! ho! jak ty ślicznie deklamujesz Kasiu! ani byłbym przypuścił, że masz taki talent. Szkoda żeś nie poszła do teatru, byłabyś miała powodzenie. Ale żart na bok! Powiadasz żeś zły, i ja przypuszczam, że tak być może, lecz czy wiesz czemu zły jestem? Bo aby żyć, muszę robić więcej niż pracować, muszę się podlić! Sama praca dziś już nie wystarcza...

— Nie aby żyć — żona przerwała — lecz żeby grać!

— Nie przeczę, duszko, wszak gra życie urozmaicając, staje się przez to samo jego częścią składową. Zresztą człowiek tem się różni od zwierzęcia, że nie tylko je i pije, lecz także bawi się i gra w karty. Niechby coś podobnego koń lub wół potrafił! Teraz wypada mi zrobić uwagę, że gdybyś ty w samej rzeczy była kobietą tak zacną za jaką się wydajesz, to aby męża od złego oderwać i ocalić, ułatwiła byś mu to ciężkie życie, wspierając go wedle możności. Takie postępowanie, moja duszko, byłoby prawdziwie chrześcijańskie, tem bowiem zasłużyłabyś sobie na niebo, mnie zaś zaprowadziłabyś przynajmniej do czyśćca...

Zamiast mu odpowiedzieć, spojrzała na niego. Na jej bladej twarzy nie było teraz ani gniewu, ani wsrętu, ani pogardy, raczej malowało się politowanie.

Musiła ją zrozumieć, skoro głos podnosząc, rzekł wesoło:

— Eh! dajmy pokój tym andronom i raczej pogawędźmy o rzeczach przyjemniejszych. Jak się ma pan Granowski,

jak sędzia? Radbym także wiedzieć, kto tu był u was na tym sławnym obiedzie. Nie było jakich obcych?

— A tobie na co tych wiadomości?

— Wiesz przecie, że się wszystkim lubię interesować.

— Ale mnie nic to nie obchodzi...

— Ktoby ci wierzył duszko, tylko nie ja! Pod słońcem nie ma ciekawszej istoty niż kobieta, i dlatego nie wątpię, że ty nawet słyszysz jak tu trawa rośnie.

— Ale choćby i tak było, nic byś się jeszcze odemnie nie dowiedział.

— Czemu?

— Bo zbyt łatwo domyśliłam się, w jakim celu chciałbyś zbierać wiadomości.

— Jeśli łaska, powiedz w jakim?

— Aby każdą rzecz ważniejszą za dobre pieniądze staroście odprzedać. Ja wiem, Michale, żeś ty nawet do tego zdolny!

— Ciekawym duszko, coby w tem było tak złego? Wszak jestem urzędnikiem cesarskim, i jem chleb cesarski, sumienie zatem nakazuje mi spełniać rozkazy rządu. O! czasy są bardzo groźne, tysiące pism zakazanych krąży po kraju. emisariusze kręcą się po wszystkich obwodach, słowem rewolucja za pasem. Wśród takich okoliczności trzeba słuch wyteńczyć i dla tego przyszedłem do ciebie duszko, byś mi choć w tem dopomogła.

— Jakto, ty chcesz ze mnie zrobić szpiega? Ty chcesz, bym własny kraj zdradzała?

— O! patrzcie się, jak z niej szlachcianka zaraz wylała. Ona w rzeczy samej marzy o ojczyźnie, w której by szlachcicowi było wolno z chłopów drzeć żywcem skórę. Ja tam takich pragnień nie mam, bom nie szlachcie!

— Dosty tego, Michale! Pogrózkami wymogłeś, żeś tu przyszła, ale teraz żałuję tego kroku. Po tem, com właśnie usłyszała, tak już nisko upadłeś w mojej opinii, że nie cię ztamtąd nie dzwignie. A teraz rób co ci się podoba, mów czyją jestem żoną, mnie już wszystko jedno! Zniszczysz mi

spokój, zatrujesz mi resztę życia, ale przynajmniej nie zabijesz mi duszy! A teraz idź, kędy cię zły duch zawiedzie!

I nie czekając aż co odpowie, szybko zbiegła z pagórka. Zanim powstał, by ją powstrzymać, była już niedaleko ogrodu.

On wzrokiem ją odprowadzając, mówił do siebie:

— Zawiodłem się na własnej żonie... ale powinienem się był tego spodziewać... niepoprawna! I nawet dokuczyć jej nie mogę, bo zdradziwszy ją, zdradziłbym także siebie i tem bym sobie zadanie utrudnił. A tu będzie połów, będzie!... Teraz trzeba wędkę gdzieindziej zarzucić... najpewniej między służbą... Dam gardło, że rychło coś odkryję. Za to będzie order i awans.

## VIII.

W kilka dni po bytności Zająca, pan Granowski stojąc z sędzią pod kolumnadą pałacu, przypatrywał się pięknemu arabczykowi, którego masztalerz ujeżdżał, gdy wzrok jego spoczął na jakimś przedmiocie błyszczącym za bramą.

— Jak ci się zdaje, sędzio, co to być może? — zapytał

Pan Zagórski spojrział w miejsce wskazane; nie mogąc jednak dla promieni słonecznych, które go raziły, nic dojrzeć, przyłożył rękę do czoła.

— To jakiś żołnierz — odpowiedział.

Był to w rzeczy samej żołnierz w pełnym rynsztunku, z bronią na ramieniu, która do słońca błyszczała. Gdy prosto w bramę skręcił, pan Granowski w największym stopniu zdziwiony, zawołał:

— A ten tu po co przychodzi? Czyś może pisał sędzio do starosty, żeby ci go przysłał?

— Ani mi się śniło! Moi policjanci zupełnie mi wystarczają.

Pan Zagórski miał w swojej wiosce tylko jednego policjanta, który równocześnie spełniał obowiązki furmana, służącego i ogrodnika; za to w Granowie miał ich aż czterech, porządnie ubranych i w pałasze uzbrojonych.

— Nie sędę pysenku, żeby to była nowa egzekucja, przecież niedawno temu mieliśmy tu dosyć tego tałatajstwa.

— I ja wątpię, jasnie panie, by to była egzekucja... Chociaż Bóg tam wie co kiedy takim staroście do łba strzeli. Ale zaraz się dowiemy. Hej! panie wojak! — zwrócił się do żołnierza, który stanąwszy właśnie pod kolumnadą, po wojskowemu salutował. — Zkąd Pan Bóg prowadzi i po co?

— Od pana starosty z boletą egzekucyjną.

To powiedziawszy, wyjął z torby skórzanej, którą miał na sobie, siwy papier, i wręczył go sędziemu.

Pan Granowski brwi zmarszczył; sędzia poczerwieniał jak piwonja.

— Wiesz co, pysenku, ja mu tu każę skórę przetrzepać.

— Ja bym był zdania, jasnie panie, że to bardzo ryzykowne, a niekoniecznie potrzebne... Może go się w inny sposób pozbedziemy.

Wziął boletę i zaczął czytać. Chwilę stał, w papier zapatrzony; potem uśmiechnął się z zadowoleniem, i skinąwszy na Macieja, który był nieopodal, szepnął mu coś do ucha. Maciej szybko się oddalił, sędzia zaś obrócił się do żołnierza i gromkim głosem zapytał:

— Gdzie się podział twój towarzysz?

— Jaki towarzysz?

— Ten, którego pan starosta wysłał razem z tobą?

— Pan starosta wysłał tylko mnie jednego.

— Kłamiesz! W bolecie stoi wyraźnie, że starostwo wysłało dwóch ludzi na egzekucję.

— Ja nie wiem, proszę pana, co tam stoi, bom nie piśmienny, ale to wiem, że mnie tylko jednego wysłali.

— Raz jeszcze powtarzam ci, że kłamiesz! Co pan starosta napisze, to święte! Kiedy stoi dwóch, więc musiało was być dwóch, ty jednak w drodze bądź namówiłeś swego towarzysza do dezercji, bądź go podstępnie zamordowałeś!

Żołnierz oczy wytrzeszczył i usta otworzył. Wyglądał jak człowiek, który z tego co usłyszał, ani słowa nie rozumiał.

— Ja? ja? — wyjąkał.

— Tak jest, ty! A teraz chłopcy — zwrócił się do policjantów, z którymi właśnie Maciej się pojawił — rozbroić go, i do aresztu odprowadzić!

Biedny żołnierz ani postrzegł, kiedy został bez broni i ładownicy, bez tornistra na plecach, nawet bez torby skórzanej u boku. Policjanci wzięli go między siebie. Odszedł do więzienia na sędziówce, często po za siebie się oglądając, ale ciągle jeszcze nie rozumiał.

— Koncept, pysenku, wysmienity! — zawołał pan Granowski. — Co jednak myślisz z nim zrobić?

— Potrzynam go kilka dni w kozie, i z protokołem który zaraz spiszę, odeszlę go staroście. Jak on nam, tak my jemu!

— Wyśmienicie, pysenku! Wyśmienicie! Ale biedne żołnierzysko żeby przynajmniej głodu nie cierpiało: Mój Macieju powiedz Czarneckiej, żeby o nim pamiętała i kazała mu nosić jedzenie z mojego stołu. Niech wie, że u polskiego pana nawet w areszcie lepiej, niż u Niemców na wolności. A jak go będziesz sędzio odsyłał, to mi powiesz. Muszę, pysenku, dać mu kilka dukatów na drogę, aby nie narzekał, że za darmo u mnie w kozie siedział.

Dziedziec odszedł w różowym humorze; pan Zagórski udał się do swojej kancelarji.

Jeden Maciej był niezadowolony. Ten dotąd nie miał odwagi ust otworzyć, ale gdy pan jego wszedł do sieni, zaczął jak wedle zwyczaju, głową kręcić i mrużyć półgłosem:

— Boże! Boże! na czem to się skończy!... Starosta wpadnie kiedy w pasję i cały pałac zbombarduje. Zobaczymy czy wtedy sędzia pomoże, a dziś to umie na złe naprowadzać. Jemu starosta nic nie robi, bo goły nie boi się rozboju, na swoich sześciu chatach ma więcej długów niż włosów na głowie, ale mój pan, ten może dużo stracić!... Żem się też nie domyślił, na co mi kazał policjantów sprowadzać... Jak mi Bóg miły, nie byłbym się pokazywał!

Podczas gdy on takie robi uwagi, pan Zagórski krokiem przyspieszonym dąży do swojej kancelarji i zobaczywszy zda-

leka, że policjanci żołnierza prosto do aresztu prowadzą, woła za nimi:

— Do kancelarii pierwszej! Do protokołu!

Weszli wszyscy do kancelarii.

Przy stole pod oknem siedział pisarz. Na imię było mu Franciszek. Podczas gdy sędzia kręcił się wciąż między pałacem a swoją wioską, on dzień w dzień odsiadywał w kancelarii godziny urzędowe i pod nieobecność pryncypała drobniejsze sprawy załatwiał.

— Panie Franciszku! — zaczął pan Zagórski po niemiecku, taki bowiem był język urzędowy — pisz pan protokół.

Pisarz wziął arkusz papieru, pióro gęsie, które miał za uchem, umoczył w olbrzymim kałamarzu, stojącym na środku stołu, i słowo po słowie zaczął to spisywać, co mu pryncypał dyktował.

Żołnierz, oprzytomniawszy przez drogę, odpowiadał teraz na pytania jasno i zwięźle. Gdy tak sędzia jak pisarz dowiedział się o jego imieniu, nazwisku, miejscu urodzenia, religii i wielu innych rzeczach, rozpoczynających każde przesłuchanie, pan Zagórski przystąpił do spisania części najważniejszej, mianowicie do samej zbrodni. Zaledwie jednak coś o niej wspomniał, pisarz nie domyślając się niczego, obrócił się i przemówił:

— O ile mi się zdaje, o zbrodni nawet mowy tu być nie może, w boletach bowiem egzekucyjnych raz na zawsze wydrukowano „Dwóch ludzi“, tymczasem tylko jednego posyłają.

— Milcz! odparł sędzia krótko i dalej dyktował.

Szczęście, że pan Franciszek użył języka niemieckiego, którego ani żołnierz ani policjanci nie rozumieli, inaczej za swoją zuchwałość i brak taktu, byłby nierównie dobitniejszą otrzymał nagane. Pan Zagórski, jakkolwiek był człowiekiem dobrym, nie lubił by mu się podwładni sprzeciwiali, i za zuchwałość nie jednego już pisarza wypędził ze swej kancelarii. A wstyd to był niemały, być bowiem pisarzem u mandatarjusza, który był szlachcicem i razem dóbr właścicielem, na-

leżało do zaszczytów nie dających się łatwo na tej ziemi osiągnąć, i nie jeden młody człowiek napróżno do tego wdychał.

Pan Franciszek usłyszawszy wiele znaczące słowo: milcz! — pomyślał, że pan sędzia „coś miarkuje“ (tak zwykle mawiał, gdy jego przełożony jaki plan układał) i dalej pisząc ust więcej nie otworzył.

Treść spisane go po niemiecku protokołu była następująca:

„Feliks Zagórski, c. k. mandatarjusz i sędzia policyjny w Granowie, przeprowadził śledztwo przeciw wysłanemu na egzekucję żołnierzowi, Szczepanowi Kudelce, podejrzewając go nie bez podstawy, że wspólnie wysłanego z nim drugiego żołnierza, bądź zabił, bądź ciężko skaleczył, bądź też namówił do dezereji. Wprawdzie inkwizyt tłumaczył się, że c. k. starostwo tylko jednego wysłało na egzekucję, wszelako zdradził się mimowolnie, nie umiając bowiem ani czytać, ani pisać, oddał c. k. mandatarjuszowi boletę egzekucyjną, dokument publiczny i zupełny dowód stanowiący, gdyż przez samego c. k. starostę własnoręcznie podpisany, której treść świadczy, że nie jednego lecz dwóch żołnierzy na egzekucję z miasta wysłano. Gdy więc jest rzeczą udowodnioną, że tłumaczenie obwinionego jest fałszywe, i gdy zachodzą poszlaki popełnionej przez niego zbrodni, której atoli nie można jeszcze było bliżej rozpoznać, przeto c. k. mandatarjusz, celem dalszego dochodzenia, odsyła go c. k. starostwu, przyczem nadmienienia, że najskrzętniejsze poszukiwania za owym drugim przypadłym żołnierzem, żadnego dotąd skutku nie odniosły.“

Gdy pisarz skończył, a policjanci wybladłego Szczepana do aresztu odprowadzili, sędzia przemówił tym razem po polsku:

— Datę i podpis umieścimy dopiero za tydzień, gdy żołnierza będziemy odsyłali.

Pan Franciszek chciał zrobić jakąś uwagę, lecz nie miał czasu, właśnie bowiem gdy pióro o włosy obtarłszy, położył je obok kałamarza, wszedł do kancelarii landsdragon w pełnym uniformie, i salutując, przemówił:

— Pan mandatarjusz Feliks Zagórski?

-- Ja jestem.. Czego chcecie?

— Mam pismo od pana starosty. Byłem w Wiatrowicach, ale tam pana sędziego nie zastałem.

To powiedziawszy, wyjął z zanadru dużą kopertę i równocześnie podał do podpisu dowód doręczenia. Pan Zagórski rewers podpisał i oddał go landsdragonowi, który ukloniwszy się odszedł.

W kopercie był dokument, grożący właścicielowi Wiatrowic, Feliksowi Zagórskiemu, egzekucją, mandatarjuszowi zaś tamże, Feliksowi Zagórskiemu, odebraniem dekretu, jeżeli na terytorjum dworskiem do dni czternastu nie będą naprawione drogi i mosty, które ostatnia powódź popsowała.

Gdy sędzia wezwanie przeczytał, podał je swemu pisarzowi, mówiąc:

— Przekonaj się pan jaki to człowiek... Ręczę, że i na mnie mści się za tego figla, którego mu pan Granowski wypłatał. Panie Franciszku, cóż ty na to?

— Cóż ja tu mogę powiedzieć? Jest to prosta sekatura, nic więcej.

— I to jaka sekatura! Wszak odrazu grozi mi ruina.

Pan Zagórski zaczął szybko chodzić po kancelarji. Długo myślał, w końcu stanął i rzekł głosem stanowczym.

— Rozumiem go... chce żebym się ukorzył, żebym go prosił! Głupie szwabisko! Jemu się zdaje, że ja, szlachcic po mieczu i kądzieli i właściciel ziemi, będę się poniżał przed jakimś tam zawofoką, który psami tu przyjechał. Przekonasz się, co Szczęsny Zagórski znaczy! Umiałeś sobie ze mnie żartować, grożąc mi karą podwójną, jakbym był osobą podwójną, potrafię i ja zadrwić z ciebie! Panie Franciszku, idź na przechadzkę, a w sieni czekającym powiedz, żeby przyszli po południu, teraz muszę sam zostać, bo mam coś ważnego do obmyślenia...

Wziął kilka arkuszy papieru, położył przed sobą, potem podumał, w końcu pióro umoczył i zaczął pisać po niemiecku:

Arkusz I.

Do Świetnego Dominium w Wiatrowicach.

Nakazem z dnia... wezwała mnie Wysoka c. k. Władza Obwodowa, abym uwiadomił Światne Dominium, iż

iz na terytorjum wiatrowickiem w ciągu dni czternastu muszą być ponaprawiane mosty, drogi, poręcze i drogoskazy, popsute przez ostatnią powódź. Zawiadamiając o tem Światne Dominium, najuprzejmiej upraszam, by temu Wysokiemu poleceniu Wysokiej Władzy tem pewniej zadość uczyniło, ile że Światne Dominium musiałyby samo sobie przypisać niekorzystne skutki, jakie niewątpliwie pociągnęłyby za sobą nieposłuszeństwo wobec Wysokiego polecenia Wysokiej Władzy Obwodowej.

Wiatrowice dnia....

*Feliks Zagórski,*

c. k. Mandatarjusz i Sędzia policyjny.

Arkusz II.

Do Mandatarjusza i Sędziego policyjnego Feliksa Zagórskiego w Wiatrowicach.

Uraczyłeś mnie pan piśmidłem, zawierającym stek nonsensów, świadczących o zupełnem zgłupieniu mandatarjusza wiatrowickiego. Jeśliś pan oszalał żądając odemnie, bym w czasie tak gorącym, gdy o ludzi tak trudno, drogi i mosty naprawiał, za to ja mam dość zdrowego rozsądku, żeby śmiać się i drwić z tego rodzaju poleceń. Nie potrzebuję dodawać, że ich wcale nie myślę posłuchać. Jeżeli zaś swoją lichą naturę mandatarską, osłaniasz pan tytułem cesarskiego i królewskiego urzędnika, to zaiste nieudały ten wybryk idjotyzmu pańskiego, tylko litość może we mnie obudzić.

Wiatrowice, dnia....

*Szczęsny Ritter von Zagórski,*

właściciel dóbr Wiatrowice cum attin.

Arkusz III.

Do Świetnego Dominium w Wiatrowicach.

Mimo kategorycznej odpowiedzi, którą na dniu dzisiejszym otrzymałem od Świetnego Dominium, oświadczam, że

muszę trwać w moim żądaniu z dnia... polecenie bowiem Wysokiej władzy Obwodowej, którego ani mnie, ani Świątnemu Dominium krytykować nie wolno, było tak stanowcze, że nad niem nie potrzebuję się dłużej rozwodzić. Przy tej sposobności ośmielię się zrobić uwagę, że sposób pisania Świątnego Dominium, w wysokim stopniu uwłacza mojej godności urzędowej, to też jeśliby Świątne Dominium raz jeszcze považowało się odezwać do mnie w ten sposób, nie omieszkałbym donieść o tem natychmiast Wysokiej c. k. Władzy Obwodowej, która za to zastosowałaby niewątpliwie do Świątnego Dominium kary najsurowsze, ustanowione na buntowników.

Wiatrowice, dnia....

*Feliks Zagórski,*

c. k. Mandatarjusz i Sędzia policyjny.

#### Arkusz IV.

Do Mandatarjusza i sędziego policyjnego, Feliksa Zagórskiego w Wiatrowicach.

Po przeczytaniu drugiej z rzędu pańskiej bazgraniny, straciłem resztę cierpliwości, i teraz upewniam Mandatarjusza, że jak go spotkam na mojem obejściu, nie omieszka mu dać takiej pamiątki, że o niej przez ruski miesiąc nie zapomni.

Wiatrowice, dnia....

*Szczęśny Ritter von Zagórski,*

właściciel dóbr Wiatrowice *cum attin.*

Korespondencja nie skończyła się na powyższych czterech arkuszach. W dalszym ciągu nastąpiło jeszcze ośm arkuszy, i dopiero po wyczerpaniu wszystkich argumentów, tak z jednej jak z drugiej strony, c. k. mandatarjusz napisał:

Do Wysokiej c. k. Władzy Obwodowej.

Przedkładając Wysokiej c. k. Władzy Obwodowej załączoną korespondencję, która wykazuje, jak sumiennie wywiązałem się z danego mi polecenia, wnoszę zarazem skargę na właściciela Wiatrowic, który mnie, jako c. k. mandatarjusza,

zbezczescił, i równocześnie proszę o zabezpieczenie mojej osoby, co jest tem niezbędniejsze, ile że dziedzic, Szczęśny Ritter von Zagórski, groźbę swoją łatwo może wykonać.

Wiatrowice, dnia....

*Feliks Zagórski,*

c. k. Mandatarjusz i Sędzia policyjny.

#### IX.

We dwa dni, po wypadkach wyżej opowiedzianych, Czarna utrudzona zajęciem całodziennem, siadła jak według zwyczaju na sofce w swoim pokoju, i wzięwszy Stasię na łono, usiłowała ją do snu ukołysać. Dziecię jednak nie było śpiące; zamiast oczy zmrużać, często przerywało zadumę matki, zadając jej różne pytania.

— A ten brzydki dziad, mamusiu, nie przyjdzie więcej?

— Nie, dziecko, nie przyjdzie...

— A czego on chciał, mamusiu?

— Ten dziad, mój aniołku, przychodzi tylko po dzieci niegrzeczne.

— Ale Stasia grzeczna, mamusiu.

— Grzeczna i dlatego odszedł z próżną torbą.

Dziecko umilkło; matka głosem melodyjnym acz cichym, zaczęła nucić kołysankę. Stasia oczy już przymknęła, nagle jednak jakby przestraszona, znowu je otworzyła.

— A on co tobie mówił mamusiu?

— Kto taki?

— Ten dziad brzydki.

— Mnie nic, dziecko.

— Ach! mówił, mamusiu, mówił!... Stasia nie słyszała, bo płakała...

— Prawda, pytał się, czy Stasia rano i wieczorem odmawia zawsze paciorek?... Widzisz, byłybyśmy zapomniali... Uklęknij dziecię i pomódl się z mamusią.

Dziecko zsunęło się na kolana, i rączki złożonywszy, zaczęło pacierz odmawiać. Z początku pamiętało kilka wyrazów, później matka musiała jej pomagać. Gdy przy końcu zaczęła



prosić o zdrowie dla różnych osób, powtórzywszy za matką: „Daj Boziu zdrowie tatusiowi“ — podniosła oczy i zapytała:

— A tatuś, mamusiu gdzie?

— Tam, mój aniołku, w niebie!

— W niebie, mamusiu? A czemu Stasia nie ma takiego tatusia, jak dzieci Grzegorza? Grzegorz taki dobry, zawsze im z miasta cukierki przywozi.

— Kiedyś, mój aniołku, jak wyrośniesz, może się dowiesz, czemu nie ma twego tatusia, ale teraz spij, bo już późno.

— Dobranoc mamusiu!

— Dobranoc aniołku!

Matka ucałowała jedynaczkę w rumiane policzki, chwilę jeszcze ponuciała, i dziecię głęboko westchnawszy, usnęło. Wtedy ona padłszy przed łóżkiem na kolana, i ukrywszy twarz w dłonie, cicho się rozpłakała. Głęboka jej belesę potrzebowała wylania; łzy zawsze jej ulgę przynosiły. Teraz jednak nie płakała li nad swoim nieszczęściem; w łzach dzisiejszych prócz skargi, była także podzięka. Biedna kobieta dziękowała Bogu, że jej męża oświeciwszy, nie dopuścił, by była zgubioną. Żebrak całe dwa dni krążył po wsi i do koła pałacu, nie zdradził jednak przed nikim ani siebie, ani żony, i wrócił z kąd przyszedł.

Była atoli rzecz jedna, która ją niepokoiła. Chociaż jako kobieta, i do tego sługa, nie brała czynnego udziału w agitacji kraj nurtującej, przecież wiedziała, że panowie zbierają się po wsiach na narady, że z Paryża przyjeżdżają wysłannicy, że tysiące pism i odezw krąży po dworach, słowem że na coś się zanosi. Nie było jej także tajemem, zwłaszcza, iż na to codzień patrzyła, że starostwa wietrząc wszędzie spiski, szukały osób podejrzanych, któremi napełniały się więzienia. Wśród takich stosunków, czy godziło się odwiedziny Zajęcia w tajemnicy ukrywać? Czy nie lepiej może było wyznać całą prawdę, aby tych ochronić, którzy jej dali przytułek u siebie, i chleba kawałek? Nie raz i nie dwa zadawała sobie te pytania, a chociaż rozum jej powtarzał, że dla tego człowieka nie powinna mieć miłosierdzia, serce jednak nie dopuściło, iżby przeciw

niemu stanowczo wystąpiła. Zawsze to był jej mąż, z którym Sakrament ją złączył, zawsze to był ojciec jej dziecka! Zresztą któż cię zbadał, o wielka tajemnico, nazywająca się sercem kobiecem! Któż zaręczy, czy na dnię serca tej nieszczęśliwej, nie tliła dotąd iskierka nadziei, że ten człowiek, co w niej taki wstręt budził, kiedyś, wskutek sprzyjających okoliczności dźwignie się z kału, i zasłuży sobie, jeżeli nie na jej miłość, to przynajmniej na jej szacunek? Wszak nie raz czytała, nawet słyszała, że ten lub ów, złym będąc, poprawił się i innym został. A jeżeli takie rzeczy pojawiają się na ziemi, to nie byłoby to zbrodnią prawie, gdyby ona, żona, bezwzględnie postępowaniem przeszkodziła mężowi powrócić na drogę cnoty i obowiązku?

Oto powody, dla których postanowiła nikomu o żebraku nie wspominać, ale ponieważ przez zachowanie tej rzeczy w tajemnicy, przyjęła na siebie wielką odpowiedzialność, przeto równocześnie powiedziała sobie, że odtąd będzie za wszystkich czuwała, by na mieszkańców pałacu granowskiego nie padł jaki grom niespodziewany.

Popłakawszy w cichości, podniosła się z ziemi i oczy obtarła. Wtem do drzwi zapukano. Zdziwiona, kto by to był taki, pobięła otworzyć.

— Jest pani Czarnecka? — dał się słyszeć głos Macieja.

— Jestem, jestem... ale co też pana Macieja do mnie sprowadza?

— Jasnie pan prosi do siebie na górę.

— Mnie?

— Tak jest, panią Czarnecką... chce pani coś ważnego powiedzieć.

Ani mogła się domyśleć, jakiby do niej miał interes. Rok już była w Granowie, a jeszcze się nie zdarzyło, żeby po nią posyłał. W ogóle jej stosunki z panem Granowskim były niezmiernie rzadkie, zawsze bowiem znosił się z nią bądź za pośrednictwem pana Zagórskiego, bądź też przez Macieja. Raz tylko jeden, gdy ją przyjmował, dłużej z nią rozmawiał; od tego czasu prawie jej nie widywał.

Gdy tak przy drzwiach stoi, sama nie wiedząc co odpowiedzieć, strzela jej nowa myśl do głowy.

— Czy jaśnie pan jest sam? — zapytała.

— Jest i pan sędzia.

Twarz młodej kobiety oblała się szkarłatem. Była chwila, że chciała się wymówić bólem głowy, lecz gdy pomyślała, że toby pana Granowskiego rozgniewało, uznała za rzecz stosowniejszą uczynić zadość jego woli.

— Niech pan Maciej powie, że zaraz będę służyła.

Marszałek odszedł, ona zaś przed zwierciadłem stanąwszy, zaczęła sobie poprawiać włosy i chusteczkę na szyi. Po chwili wyszła.

Sędzia dnia tego od rana miał umysł czemś ważnem zaprzątnięty. Przyjechawszy z Wiatrowic, dokąd jeździł, by od dzierzawcy półroczny czynsz odebrać, ledwie na chwilę wpadł do kancelarii; resztę dnia spędził sam na sam, przechadzając się po pokoju z rękami w tył założonemi.

Wyznajmy prawdę, sędzia był zakochany. Praca, życie ruchliwe i ciągłe wrażenia na dworze pana Granowskiego, nie zostawiały mu wiele czasu na zajmowanie się własną osobą; zato ilekroć miał chwilę wolną, chętnie o tej myślał która od pół roku całe serce mu zabrała, a tą była Czarnecka.

Pan Zagórski nie należał do świętoszków; za lat młodszych nie raz smalił cholewki, dotąd atoli jeszcze mu się nie zdarzyło, żeby która kobieta zrobiła na nim tak wielkie wrażenie, jak właśnie ta. Dawniej niejedna mu się podobała, lecz w żadnej się nie zakochał. Być może, że z wiekiem gust miał mniej wybredny, może już zatęsknił do życia rodzinnego, któremu wzniosły cel przyświeca, a może w rzeczy samej Czarnecka była tak powabną, że umiała podbić nawet jego serce.

Wszyscy przyznawali, że była to kobieta rzadkiej urody, chociaż twarz jej nie należała do klasycznych. Co w niej atoli szczególnie uderzało, to wzrok niezwykły, który jej wszystkie serca zjednywał. Nawet cichy smutek na jej twarzy rozlany, miał w sobie coś pociągającego. Niejeden też męż-

czynna mówił, że radby się do niej zbliżyć, by ją pocieszyć. Być może, że taka sama była także pierwsza myśl pana Zagórskiego, i że dopiero później prawdziwa miłość w nim się obudziła, jak skoro się przekonał, że Czarnecka nie należy do kobiet, które dają się pocieszać...

Po południu pan Zagórski ogolił się starannie, a wystrojwszy się na ostatni guzik, stanął przed zwierciadłem. Był to mężczyzna wcale jeszcze przystojny, a że twarz jego miała cerę czarną, prawie cygańską, więc tem łatwiej mógł się podobać Czarneckiej, która była jasną blondyną.

Jakiś czas oglądał się to z prawego, to z lewego boku, potem obrócił się na palcach by swoje plecy zobaczyć. Nawet figurę miał dotąd nie złą, a chociaż w pasie był trochę za gruby, nie poczytywał tego aż za taką wadę, iżby się dla niej nie miał podobać. Wszak starsi i grubszy żenią się i są szczęśliwi.

Studjując przed zwierciadłem swoje oblicze, postrzegł, że wąsy jego nie układały się w sposób uroczysty; pobiegł więc do stolika obok łóżka stojącego, i wyjąwszy z szuflady pomadę węgierską, mającą tę własność, że włosy w druty zamienia, natarł nią wąsy. W tejże chwili ich końce zamieniły się w dwa groty ostre i długie, które mogły przebić serce najbardziej opancerzone.

Tak wystrojony poszedł do pałacu. Pan Granowski stał właśnie przed „Piekłem“ i coś z sobą rozmawiał, gdy we drzwiach usłyszał głos znajomy:

— Wolno, jaśnie panie?

— Wolno, puseńku, wolno!

Pan Zagórski wszedł do sali.

— Jak się masz sędzio? Co acana o tej godzinie do mnie sprowadza?

— Przepraszam, że przychodzę tak późno, miałem jednak tyle zajęcia, że dopiero teraz mogłem się zebrać. Zresztą sprawa, w której się zgłaszam, potrzebowała namysłu.

— To bardzo pięknie, puseńku, powiedz więc jaka to sprawa?

Pan Zagórski odchrząknął, i jednym tchem wypowiedział.

— Radbym się ożenić, jaśnie panie.

Pan Granowski spojrział mu w oczy i z uśmiechem odpowiedział:

— Jeżeli ci to przyjemność sprawi, to się żęń, pysenku... wszak ja ci nie bronię. Chociaż, jeśli mam prawdę wyznać, nie wiem, czy kobieta jest koniecznie potrzebną do szczęścia i zbawienia. Ja, pysenku, mimo że jestem od acana młodszy, anim jeszcze myślał o tem, i zdaje mi się, że nigdy nie pomyszę... W czasach, jak terazniejsze, niepewnych a gorących, stokroć lepiej, pysenku, nie mieć obok siebie niewiasty, która wszystko słyszy i wszędzie się wściubi, a potem gotowa się jeszcze z czem wygadać... Ale ty, pysenku, jeżeli chcesz, to się żęń!

— Co do mnie, jaśnie panie, wyznaję, że mi samemu ciężko żyć na świecie... Czuję, że się starzeję, zresztą nie mam celu...

— A ojczyzna pysenku?

— Dla ojczyzny, jaśnie panie, ostatnią krwi kroplę, jednakowoż zdaje mi się, że nawet ojcowie rodzin mogą dla niej pracować i poświęcać się, jeżeli od nich tego zażąda. Zresztą ojczyzna także by na tem dobrze nie wyszła, gdybyśmy wszyscy starymi kawalerami zostali.

— Czemu, pysenku?

— Boby zabrakło ludzi i obrońców...

Pan Granowski uśmiechnął się i ręką machnął.

— Znaleźliby się pysenku!... Ale na co my o tem na próżno rozprawiamy? Acan, jak widzę, masz inne zdanie, a ja inne. Kiedy więc chcesz, żęń się, pysenku!

— Może mi jaśnie pan wierzyć, że uczyniłbym to nawet zaraz, gdyby nie jedno ale... Oto osoba, którą pragnę poślubić, mimo kilkakrotnych moich oświadczeń, dotąd nie chciała się zdecydować. Wszelako zdaje mi się, że gdyby jaśnie pan słowo jej powiedział, nie wahałaby się ani godziny.

— Któż to taki, pysenku?

— Czarnecka.

— Moja gospodyni?

— Tak jest, jaśnie panie.

— I acan chcesz ją poślubić, mimo że jest moją sługą?

— Alboż ja także nie jestem sługą jaśnie pana? Wprawdzie jestem posesionatus, mam Wiatrowice, ale jak tak dalej pójdzie, niedługo polecą one z wiatrami. Co zaś do mego urzędu, to przecie nie Niemcy mnie płacą, jeno pan na Granowie. Różnicę między mną a nią mogłoby stanowić chyba jedno urodzenie, ale tej dzięki Bogu nia ma między nami. Czarneccy nie gorsi od Zagórskich... Prócz tego jest to osoba wykształcona, gospodarna, dobra, no, i przystojna.

— Prawda, pysenku, prawda... o ile sobie przypominam, wcale nieszpeta niewiasta. Ha! kiedy sobie tego życzysz, więc powiedz acan komu, żeby ją tu sprowadził. Pogadamy, zobaczymy...

Szczęśliwie Maciej się nawinał. Tego posłał sędzieza z rozkazem dziedzica.

Niedługo trwało, a weszła Czarnecka. Miała na sobie jak według zwyczaju, suknię czarną, od której jej twarz i szyja jak kararyjski marmur odbijały. Na głowę włożyła czepeczek koronkowy, przez który przebijały włosy bujne, połyskujące, koloru złocistego. Gdy wszedłszy przy drzwiach się zatrzymała, pan Granowski, który stał o kilka kroków głębiej, szepnął sędziemu:

— Dobry masz acan gust... nieszpeta kobiecina, wcale nieszpeta! — Potem dodał głośno: — Wezwałem tu asćkę, bo mam dla niej wesołą nowinę. Stojący tu oto pan sędzieza Szczęsny Zagórski, trzymając się tradycji, oświadczył się o rękę asćki, i jam mu odpowiedział, że nie nie mam przeciw temu.

Urwał i jakiś czas czekał ażali ona co odpowie; widząc jednak, że Czarnecka stoi na dawnem miejscu z głową schyloną i nawet ust nie otwiera, zapytał:

— I cóż asćka na to?

— Nic, jaśnie panie.

— Jakto nie?... Przecie gdy ja pytam, trzeba mi, pysenku, odpowiedzieć tak lub owak, czarno lub biało.

Czarnecka idąc na górę, musiała się na to przygotować, co ją miało spotkać, skoro na jej twarzy nie było teraz widać wielkiego zakłopotania. Głos, gdy mówiła, także jej nie drżał.

— Bardzo jestem wdzięczną panu sędziemu — cicho odrzekła — że niepomny swego stanowiska, chce się do mnie zniżyć, ale ofiarowanego mi zaszczytu przyjąć nie mogę.

Pan Granowski spojrział na nią ze zdumieniem.

— Czyś aśka oszalała, czy co? A gdzież na świecie lepsza partja dla ciebie? Pan Zagórski jest przecie *bene natus* i *possessionatus*, równy mnie, przytem nie z przyjemności wprawdzie, lecz z konieczności, złożył w cyrkule egzamin i dostał od szwabów dekret na sędziego, wreszcie musi aśkę kochać, skoro chce cię wziąć bez majątku, i w dodatku z gotowem dzieckiem. Zastanów się aśka, czy taka rekuza ma sens jaki!

Piers młodej kobiety zaczęła falować. Była zaniepokojona. Mimo to odwagę zebrawszy odrzekła:

— Umieć ocenić łaskawe względy pana sędziego, i gdybym tylko mogła, przyjąłabym jego rękę, którą mi tak szlachetnie ofiarowuje, ale niestety nie mogę tego uczynić.

— Czemu nie możesz, pyseńku? Czy ci pierwszy mąż tak dokuczył, że teraz całkiem już nie czujesz pociągu do stanu małżeńskiego? Popróbuj jednak aśka drugiego, a przekonasz się, że nie każdy djabeł straszny.

Pan Zagórski, który dotąd stał jak wryty, osądził, że nareszcie i on powinien wystąpić z roli biernej. Zbliżył się więc do Czarneckiej, aby ją wziąć za rękę. Ona atoli kilka kroków naprzód postąpiwszy, twarz sobie oburącz zasłoniła.

— Nie mogę wyjść za mąż, bo wolna nie jestem! — przez łzy odpowiedziała.

— Więc pani masz narzeczonego? — sędzia zapytał.

— Nie, ja mam męża.

— Męża? — powtórzyli równocześnie mężczyźni i z najwyższym zdumieniem po sobie spojrzeli...

— A to mi piękna historja! — zawołał pierwszy pan Granowski. — Aśka wydawałaś się za wdowę i jako taka znalazłaś służbę w moim domu, tymczasem okazuje się, żeś

skłamała. O! pyseńku, mnie oszukiwać nie wolno! Ale dam ja temu księdzu, który ciebie polecał! Cóżto zadrwił sobie ze mnie, czy co? Do domu Granowskiego wprowadzać jakąś tam awanturnicę, bo pytanie jeszcze, czy i ten mąż gdzie żyje! Zejdź mi aśka z oczu, i niech cię więcej nie widzę!

Czarnecka padła na kolana.

— Nie gniewaj się, jaśnie panie, i nie potępiaj mnie niewinnie! — zawołała głosem serce rozdzierającym. — Być może, że źle zrobiła, nie wyznawszy zaraz z początku całej prawdy, ale Bogiem się świadczę, iż nie wiedziałam, że to będzie kiedykolwiek potrzebne. Byłam, jestem i będę kobietą uczciwą domu twego panie niczem nie splamiłam i nie splamię, a jeźlim porzuciła męża, który jako człowiek zły i przewrotny, nie zasługiwał ani na moją miłość, ani na mój szacunek, to zdaje mi się, że uczciwość sama tak mi postąpić nakazywała! Mam jedno dziecko, skarb mój najdroższy, i klnę się panie na szczęście tego dziecka, że mówię prawdę! A teraz możesz mnie panie wypędzić, lecz nie potępiaj!

Pan Granowski stał zachmurzony. Sędzia, który podczas przemówienia młodej kobiety w zamyśleniu aż na trzy cale oba swoje wąsy poobgryzał, zbliżył się nagle do niego, i w rękę go całując, rzekł:

— Daruj jej, jaśnie panie. Ot! biedne kobiecisko. Nie ona przecie winna, tylko ja, że źle trafił...

Pan Granowski poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

— Dobre masz serce, pyseńku, widać żeś Polak prawdziwy... A ty aśka nie becz i idź spać... O tem zaś, com tu usłyszał, jeszcze kiedyś spokojnie pogadamy. Tymczasem chcę wierzyć, że to wszystko prawdą coś mi tu powiedziała, i że mi wstydu nigdy nie zrobisz.

Czarnecka wyszła na palcach. Pan Granowski obróciwszy się do sędziego, wzruszył ramionami i rzekł:

— Trudna rada, pyseńku!

## X.

W mieście obwodowem ruch niezwykły. Wszystko na nogach, każdy świątecznie ubrany, nikt w domu nie został.

Przed farą stoi kompanja wojska, obok niej szwadron huza-rów, dalaj tłum liczny i zwarty. Odkąd arcyksiążę przejeżdżał, nie było takiej parady... Ale bo też i dzień dzisiejszy jest po-dwójnie uroczysty: dziś przypało nie tylko święto Matki Bo-żej, lecz także urodziny monarchy.

W kościele kanonik śpiewa; na chórze grają organy i brzmia trąby mosiężne, nawa świątyni przepełniona wier-nymi, na ich czele widzimy wojskowych i urzędników, któ-rym przewodniczy starosta Westermann.

Skończyła się nareszcie suma, i pierwszy starosta, za nim urzędnicy, oficerowie, i nabożni zaczęli z kościoła wycho-dzić.

Piękny był widok, gdy w kilka minut później, zgraja pauprów biegła przez rynek obok chodnika, podziwiając zło-cisty uniform pana starosty i jego białe pantalonny ze złotym lampasem. Starosta nie zwracał jednak na to uwagi, tylko poważnie zmierzał do cyrkułu, wyprzedzając o dwa kroki ko-misarzów i innych urzędników, których dość długi zastęp Za-jąc zamykał.

Nagle paupry rzucili się w inną stronę — wołając:

— Ao! Patrzcie! Widzicie!

Starosta był właśnie w bramie cyrkułu, gdy krzyki za sobą usłyszał. Obrócił się poważnie cały, obrócenie bowiem samej głowy, byłoby uwłaczało jego godności. Urzędnicy, któ-rzy szli za nim, tak samo uczynili.

Tymczasem zgraja pauprów rosła, hałas się wzmagał, tłum zbliżał się do starostwa. Bvstre oko Zająca dojrzało wśród natłoku tego samego żołnierza, którego przed tygo-dniem wysłał do Granowa na egzekucję. Szedł powoli, po-trząsając ciężkimi kajdanami, które miał na rękach i nogach. Po obu jego bokach postępowali dwaj policjanci z dobytymi szablami. Gdy przed starostą stanęli, jeden z policjantów po-dał mu dwa pliki papierów.

Starosta spojrział na protokół spisany ze Szczepanem Kudelką, i omało krew go nie zalała. Już rękę podniósł, i na ustach miał straszne przekleństwo, gdy szczęśliwie sobie przy-pomniał kim jest i gdzie się znajduje. Wszak całe miasto na

niego patrzyło, a dokoła stali urzędnicy, przed którymi nie mógł kompromitować ani siebie, ani władzy. Skinąwszy tedy na Zająca, szepnął mu, by żołnierza cichaczem wypuścić, a policjantów odprawił, sam zaś pobiegł do biura, gdzie z po-śpiechem gorączkowym odczytał nie tylko protokół od po-czątku do końca, lecz także całą korespondencję, przeprowa-dzoną między mandatarjuszem Feliksem Zagórskim, a właści-cielem dóbr Szczęsnym Zagórskim.

Gdy skończył, zaczął po kancelarji biegać jak opętany, półgłosem z sobą rozmawiał, kłął i zemstą groził. Potem siadł i coś napisał. Był to rozkaz, aby zuchwałego mandata-rjusza natychmiast aresztowano. Wkrótce jednak papier po-darł i znowu biegał. Gdy go i to nie uspokoiło, pobiegł do prywatnego swego mieszkania.

Żona ujrzawszy go w takim stanie, zapytała, coby mu było. Stanął, odetchnął i krótko a zwięzle opowiedział jej wszystko od początku do końca.

— Rzeczywiście jest to zuchwałość nie mająca sobie ró-wnej — odrzekła spokojnie.

— Tak, tak, zuchwałość bez granic! — potwierdził. — Coś podobnego może się wydarzyć tylko między tem polskiem hultajstwem!

— Zechciej mi teraz powiedzieć kochany mężu, jak my-słisz sobie postąpić.

— Alboż wiem co czynić droga Emo? Każę go uwięzić, powiesić, rozstrzelać!

Żona ramionami wzruszyła.

— Mówisz jak szlacheć polski, nie jak prawdziwy mąż stanu. A ty chciałbyś być kiedyś gubernatorem, ministrem. Czy tak?

Spokojne słowa żony były zimną wodą na jego głowę wylaną. Znowu odetchnął i znacznie już łagodniej odpowie-dział:

— Przeprowadzę z nim śledztwo dyscyplinarne i dekret mu odbiorę! Takiego hultaja jeszcze nie widział. Jak on to legalnie upozorował! Ktoby myślał, że taki wierny urzędnik, a on tymczasem tylko sobie z władzy żartował! Jeźliby się

chciał bronić, pojedę do gubernatora, i Jego Ekscellencji wszystko wiernie opowiem.

— Powiadasz, że jest hultaj, i ja temu nie zaprzeczam, z tego atoli com dotąd o nim słyszała, muszę wnioskować, że bądź co bądź jest to człowiek sprytny, przytomny, słowem zdolny.

— O! nawet bardzo zdolny! — starosta potwierdził.

— Jeśli tak, kochany mężu, to czyż człowieka zdolnego nie lepiej pozyskać, niż całkiem zrazić?

— Pozyskać? A na co?

— Na co? Alboż nie widzisz, mój mężu, że stanowisko twoje jest tu dlatego tak trudne, że między zdolnymi i wpływowymi Polakami, dotąd nie udało ci się znaleźć przyjaciół. Wprawdzie Zajac także Polak, lecz to mały piesek... Jeśli chcesz czegoś dokazać, powinieneś wyszukać sobie takich, którzy mając stosunki ze szlachtą, mogliby ci nierównie większe oddawać usługi niż stu takich Zajaków.

Starosta w dłonie klasnął.

— Najdroższa Emo, ty masz zawsze rację! — zawołał. — Ten Zagórski mógłby mi doprawdy być bardzo pomocnym. Zaraz po niego poszlę, a jak go dobrze nastraszę, nie wątpię, że mi się odda... Zresztą niech kosztuje, co chce, on pieniędzy potrzebuje... Tak jest, zaraz po niego poszlę!

Jak powiedział, tak uczynił. Jeszcze tego samego dnia, mimo święta uroczystego, landsdragon z własnoręcznym piśmie starosty pojechał do Granowa.

Nazajutrz w południe, właśnie gdy pan Westermann podpisał ostatni „kawałek“ i oddał go Zajacowi, wszedł woźny anonsując:

— Pan mandatarjusz Feliks Zagórski!

Starosta brwi zmarszczył, szybko powstał, i dawszy ręką znak Zajacowi, żeby wyszedł, rzekł do woźnego:

— Niech wejdzie!

We drzwiach ukazał się pan Zagórski z miną gęstą i uśmiechem wyzywającym. Starosta, aby go upokorzyć zaraz na wstępie, postanowił przyjąć go przy drzwiach samych, i w tym celu postąpił naprzód kilka kroków.

— *Herr Mandatar!* — przemówił surowo — jakim prawem śmiałeś więzić żołnierza, wysłanego na egzekucję, i kto ci pozwolił drwić sobie z wysokiej władzy?!

— Najpierw muszę panu staroście oświadczyć — odparł tonem wyniosłym, acz grzecznym — że jako szlachcic, *Ritter von Zagórski* i właściciel dóbr, niezwykłym stać przed nikim, zwłaszcza, że na reumatyzm w nogach cierpię, i dla tego choć nieproszony, siadam.

To powiedziawszy, krokiem mierzonym podszedł ku najbliższemu krzesłu, na którym usiadł wygodnie, nogę za nogę zakładając.

Starosta, zamiast się oburzyć, oczy na niego wytrzezczył. Snać zuchwałość mandatarjusza tak mu zaimponowała, że nie miał ani czasu, ani chęci rozgniewać się na niego.

— Teraz mam zaszczyt odpowiedzieć panu staroście — mówił sędzia dalej — że uczyniłem co mi obowiązek nakazywał. Skoro w bolecie pan starosta sam napisał, że posyła dwóch żołnierzy, więc o prawdziwości tego szczegółu wątpić nie mogłem. Na to, co pan starosta powie lub napisze, zawsze przysięgnę.

Jakkolwiek frazes ostatni mógł polechtać miłość własną starosty, wszelako był on na tyle psychologiem, że w słowach mandatarjusza odczuł ironję.

— Nie sądź pan — zawołał — że mnie byle czem można omamić! Wiem ja doskonale, jakim jesteś urzędnikiem, i o ile na pana można liczyć! Zresztą pomijam teraz sprawę z żołnierzem, i zapytuję pana, c. k. mandatarjusza z Wiatrowic, jakim prawem mogłeś korespondować z sobą samym i mnie potem swoje piśmidła odsyłać? To jest impertynencja!

— A jakim prawem pan starosta groził mi karą podwójną, raz jako urzędnikowi, drugi raz znowu jako właścicielowi dóbr ziemskich?

— Bo pan jesteś jednym i drugim.

— Jeśli tak, więc jeden mógł korespondować z drugim... Ja panie starosto trzymam się zawsze drogi sprawie-

dliwej, i jaką miarą mnie kto wymierzy, taką ja mu odmierzę. Jak Bóg Kubie, tak Kuba Bogu!

— Ktoby myślał, żeś pan zawsze taki ambitny, tymczasem wiem ja doskonale, że pan tylko wobec reprezentantów wysokiego rządu jesteś zuchwałym! A to jest bardzo podejrzane... Czemu wobec pana Granowskiego jesteś uległy, nawet się nie gniewasz, gdy ci mówi: „acan“ lub „ty“. Ja wiem, że on pana traktuje jak sługę... Gdzie jest wtedy twój honor, *Herr Ritter von Zagórski*?

— Szlachta polska, panie starosto, to jedna wielka rodzina, w której młodszy starszy nawet po rękach całują, a mimo to nie przestają kochać się jak bracia, i jeden wobec drugiego zawsze na równi się uważa. Ale jak niebezpieczną jest rzeczą wkładać palce między drzwi, tak niemniej można się narazić, jeżeli się chce poróżnić członków jednej rodziny.

Starosta skoczył jak oparzony.

— Więc mi pan nawet grozisz? — zawołał. — Ja pana zaraz przekonam, za kim jest prawo i siła. Myślałem, że ten człowiek przyzna się do winy, i będzie prosił o przebaczenie, tymczasem on coraz zuchwalszy! Dobrze, niech i tak będzie! do dni ośmiu stracisz pan dekret i zostaniesz bez chleba!

— Mój chleb w mojej pracy — pan Zagórski spokojnie odpowiedział. — Czy pan starosta tylko tyle chciał mi powiedzieć?

Starosta przypomniał sobie słowa żony, która mu zawsze radziła, żeby był prawdziwym mężem stanu, przeszedł się kilka razy po kancelarji, i dopiero gdy się całkiem uspokoił, wziął krzesło, przysunął je do pana Zagórskiego, i usiadłszy na niem, uderzył poufale swego gościa po kolanie.

— Wiesz pan co, *Herr Ritter von Zagórski* — z uśmiechem przemówił — ja wiem, że pan jesteś z natury gorący, więc choćbyś chciał nawet, nie potrafiłbyś się powstrzymać. Już to wy panowie Polacy wszyscy po jednych pieniądzech... lecz mimo to macie serca szlachetne... Tak, tak, bardzo szlachetne!... Muszę się także przyznać, że dla pana mam słabość... Z pana tęgi urzędnik. Bardzo by mi tedy żal było,

gdybym stracił takiego urzędnika, stracę zaś niewątpliwie, jeżeli pan czemkolwiek nie poprawisz błędów popełnionych.

— A czemże je mam naprawić? — sędzia zapytał.

— Czemkolwiek... naprzykład dobrymi chęciami. Nie inaczej, panie sędzio. Przedewszystkiem musisz pan okazać, że masz dobrą wolę. Przecie pan jesteś urzędnikiem...

— A na czem polegają te dobre chęci, jeśli wiedzieć wolno?

Starosta zaczął się wahać.

— Na czem, na wszystkim... Wysoki rząd musi mieć przecie dowód, żeś mu pan życzliwy... Zresztą na co bliżej roztrząsać? Pan masz dość sprytu, by się wszystkiego domyśleć...

— Nie, panie starosto, ja się niczego nie domyślam.

Starosta przysunął się jeszcze bliżej i szepnął cicho:

— Jako urzędnik państwowy, powinieneś pan wraz ze mną pracować nad utrzymaniem porządku w obwodzie, który w chwili obecnej jest zagrożony przez emisariuszów i odezwę rewolucyjną, przychodzące do nas z emigracji. Za to mógłbyś pan być wynagradzany po książęcemu.

Mimo, że pan Zagórski był czarny jak cygan, rumieniec pałacy oblał mu oblicze, i chociaż nie należał do ludzi nerwowych, ręce jednak zatrząsnęły mu się jak w febrze. Prócz tego taki kurez chwycił go za gardło, że z najwyższym tylko wysiłkiem mógł wykrztusić:

— A z obowiązków moich dopiero wtedy będę wywiązywał się sumiennie, jeżeli każdego emisariusza, który mi w ręce wpadnie, odstawię do cyrkułu.

— Rozumie się!

Pan Zagórski podniósł się z krzesła.

— Mój panie — rzekł z naciskiem — przedtem nim zostałem mandatarjuszem, byłem Polakiem i szlachcicem, a żaden szlachcic polski nie umie zdradzać! Na takie podszepty mogą odpowiedzieć tylko pogardą!

— Jak pan śmiesz! — krzyknął starosta. — Ja panu dekret odbiorę!

— Ja ci go sam odeszłę, nikczemniku! — odpowiedział pan Zagórski, i wychodząc drzwi za sobą zatrzasnął.

Wielki mąż stanu został na środku kancelarji, nie wiedząc co począć.

Stokroć lepiej i prędzej niż on, rozpatrywał się w położeniu Michał Zajac. Ten wysłuchawszy pode drzwiami całej rozmowy, pobiegł natychmiast do swojej kancelarji, gdzie w mgnieniu oka przebrał się w suknie cywilne, które tam na szaragach wisiły. Nawet zamiast czapeczki z orzełkiem, wziął tym razem słomiany kapelusz. Tak przystrojony, wyszedł na ulicę.

W mieście był sklep korzenny, którego właściciel, pan Ozjasz Liebschütz urządził dwa osobne pokoiki dla gości, gdzie od biedy można było zjeść śniadanie i napić się bądź wina spirytusem zaprawionego, bądź piwa kwaśnego. W pierwszym pokoiku zgromadzali się zwykle drobni urzędnicy, mandatarjusze i oficjaliści, których interesa do miasta sprowadzały; w pokoju drugim, przeznaczonym dla honoracjorów, widywano oficerów, czasem zaglądał jeden lub drugi komisarz starostwa, a podczas jarmarków zbierała się tam także szlachta okoliczna.

Pan Zagórski wstąpiwszy do sklepu, gdzie go pan Ozjasz niskim ukłonem powitał, wypił spory kieliszek gorzały, a kazawszy sobie dać jakąś przekąskę i wina butelkę, poszedł do pokoju gościnnego. Minawszy izbę pierwszą, gdzie nikogo nie zastał, usiadł w drugiej; i tu nie było żywej duszy. Nasz przyjaciel rad był temu. Dotąd jeszcze się nie uspokoił, w samotności zatem mógł najłatwiej wysapać się i równowagę odzyskać. Zdjął kapelusz, otarł chustką pot z czoła, zaklął kilka razy, i przy stole usiadłszy, wsparł głowę na dłoniach. Wkrótce zjawił się chłopiec z zamówionemi przysmakami.

Gdy pan Zagórski pierwszą szklanekę wina kończył, wsunął się do pokoju Michał Zajac. Nasz przyjaciel znał go dotąd z widzenia, i ledwie tyle wiedział, że jest to jeden z mniejszych „piesków“ cyrkularnych. Ponieważ Zajac był w tych stronach dopiero od pół roku, a pan Zagórski w ostatnich miesiącach rzadko do miasta zaglądał i w starostwie w tym czasie wcale się nie pokazywał, przeto nie wiedział jakiej sławy zażywa nowy kancelista. Wprawdzie od pier-

wszego zaraz wejrzenia ten człowiek mu się nie podobał, lecz do tego nie przywiązywał wielkiej wagi, z zasady bowiem nie lubił żadnej głowy ustrojonej czapeczką urzędową. Wyjątek stanowili tylko wojskowi, i to nie od piechoty, ale od konnicy, w której służyli przeważnie ludzie honorowi, przytem dobrze urodzeni i wychowani.

Zajac usiadł przy drugim stoliku, i jedząc z chlebem ser szwajcarski, który fałszowanym węgryzmem popijał, śledził ukosem pana Zagórskiego. Widząc atoli, że się ten ani odzywa, ani patrzy na niego, chrząknął raz i drugi, potem jakby od niechcenia rzucił coś o pogodzie, a gdy i to nie pomogło, rozpoczął pierwszy rozmowę skargami na starostę,

Tem od razu chwycił za serce naszego przyjaciela. Pan Zagórski widząc, że kancelista nie ma na sobie ani uniformu, ani czapki urzędowej, osądził, że musi to być człowiek lepszy niż wygląda, to też niewiele myśląc powstał by przysiąść się do niego.

Odtąd rozmowa toczyła się swobodnie, i po dwakroć chłopiec sklepowy dzwonkiem przywoływany, przynosił świeżą butelkę. Powoli tak się nawet ułożyło, że kancelista zaproponował „Straszaka“ i karty znalazłszy, które przypadkiem miał przy sobie, dał bank z trzech ewancygerów. Na szczęście do pokoju nikt nie wchodził, więc i zabawa, lubo we dwójkę, szła wyborcie. W kwadrans Zajac miał już piętnaście ewancygerów wygranych.

Pan Zagórski słysząc, że jego towarzysz ciągle wymyśla na starostę, którego nazywał człowiekiem złym, a urzędnikiem niebezpiecznym, powiedział sobie, że nieźleby było gdyby kancelistę pozyskał dla narodu. Chociaż nie brał jeszcze czynnego udziału w agitacji rewolucyjnej, która od roku stawała się w kraju coraz żywszą, czuł jednak, że prędzej lub później będzie się musiał do niej wmieścić. Pewność jego pod tym względem była tem większa, ile że nie wątpił, iż starosta dekret mu odbierze. Gdy to nastąpi — rzekł do siebie — dam im się [we znaki! Pozyskanie kancelisty, mogło być tedy bardzo użyteczne.



Zając zrozumiałwszy do czego zmierza pan Zagórski, tak się tem ucieszył, że to w naszym przyjacielu podejrzenie obudziło. Nie chcąc wszakże strzałem zbyt porywczym płoszyć zwierzyny, począł wybadywać kancelistę, kancelista zaś jego, i tak ich to zajęło, aż grać przestali. Co się potem stało, nikt nie wie. Po niejakiem czasie z pokoju gościnnego doleciał wprawdzie do sklepu krzyk urwany, lecz że po nim natychmiast cisza zaległa, więc nikt na to uwagi nie zwrócił. W kilka minut wszedł do sklepu pan Zagórski zachmurzony i uiszczając należność za śniadanie, zapłacił także za jedną butelkę, która stłukła się przypadkiem.

Dopiero w dobry kwadrans po nim, ukazał się Michał Zając z chustką na twarzy. Na zapytanie Ozjasza, coby mu było, odpowiedział, że to fluksja i położywszy pieniądze na ladę wyszedł na ulicę.

Pan Ozjasz chwycił chłopca sklepowego za ucho.

— *Di ganef!* — zawołał — czemuś nie zamknął tam okna?! Widzisz, pan kancelista dostał fluksji! Ty mi wszystkich gości odstraszysz!

## XI.

Im głębiej w las tem więcej drzew. Im więcej dni przybywało w XIX stuleciu, tem większe zamięszanie objawiało się w Galicji. Rząd austriacki coraz bardziej oddalał się od szlachty, podejrzewając ją o knowania rewolucyjne; szlachta coraz bardziej stroniła od rządu niemieckiego, poczytując go za wroga kraju. Od Krakowa po Czerniowce jakby kto zapalił nitkę siarczaną, do składu prochów wiodącą, jedno uczucie, jedna myśl, jedna dążność ogarnęła wszystkie dwory szlacheckie.

Za przykładem szlachty szli wszyscy jej oficjaliści, w miastach zaś młodzież i część mieszczaństwa. Były atoli dwie warstwy, które w tym ruchu nie brały żadnego udziału: najwyższa i najniższa. Pierwsza, nieliczna wprawdzie, lecz silna mieniem i stanowiskiem, oglądając się trwożnie po za siebie, czołgała się we Lwowie u nog wybitniejszych rządu

przedstawicieli, by ci broń Boże o rewolucyjne zamiary jej nie posadzali; druga najliczniejsza, miljonowa, pozornie na wszystko była obojętna, i tylko gdzieniegdzie między nią dawało się słyszeć mruczenie niechętnie temu, co „panowie“ robili.

Tak mruczy spokojna na pozór oceanu powierzchnia, zanim burzą ryknie i ku niebu falę niszczącą wyrzuci!

W Granowie często się pojawiali ludzie obcy. Zwykle przejeżdżali tajemniczo, nocą, i rozmówiwszy się bądź z samym dziedzicem, bądź z panem Zagórskim, odjeżdżali przed wschodem dnia. Ponieważ prawie po każdej takiej wizycie, zaraz nazajutrz zjawiał się urzędnik cyrkularny z huzarami i w pałacu robił rewizję, przeto pan Granowski przypuszczał, że ma szpiega w domu, rozkazał raz na zawsze, by owych gości nocnych tylko Jasiak odwoził. Był to sługa jakich mało, wierny i trzeźwy, dawny towarzysz broni samego dziedzica.

Starosta spełnił groźbę; pan Zagórski utracił dekret sędziowski. Wprawdzie starosta odbierać mu go nie potrzebował, pan Zagórski bowiem po ostatniej bytności w starostwie do domu wróciwszy, zaraz mu go sam odesłał, lecz ponieważ Niemcowi to nie wystarczyło, więc wdrożył przeciw niemu śledztwo formalne i na mocy wyroku zabronił mu raz na zawsze pełnić obowiązków mandatarjusza.

Dan Zagórski nie tyle jednak żałował dekretu, co Wiatrowic, które mimo, że ich przez długie lata bronił, nareszcie z wiatrem uleciały. Długi pochłoneły ojcowiznę. Wprawdzie w ostatniej jeszcze chwili mógł się ratować, potrzebował tylko panu Granowskiemu powiedzieć, jakie jest jego położenie, lecz nie uczynił tego przez ambicję. Pan Zagórski był dworakiem karmazyna, boć wszyscy jego przodkowie byli dworakami wielkich panów, ale to jeszcze nie znaczyło, żeby mógł prosić o łaskę.

Gdy pan Granowski usłyszał, co się stało z Wiatrowicami, ratunek nie był już możliwy. Aby je z rąk lichwiarskich wykupić, trzeba było złożyć od razu kilkanaście tysięcy, a tych nie miał. Już to pan na Granowie jak dawniej tak i teraz żył z pieniędzmi w wielkiej rozterce, i o wszystko było łatwiej u niego, niż o gotówkę. W ogóle jego stosunki

materjalne, z każdym dniem się psuły, lecz on istotnej prawdy ani się domyślał. Niechęć do rachunków i gorączkowość położenia nie pozwalały mu zajrzeć w głąb interesów.

Zresztą dla kogo miał oszczędzać i pracować? Dla żony i dzieci, których nie miał? O sobie zaś nie myślał, boć nie wiedział co mu jutro przyniesie, Chociaż co wieczór kładł się spać w swoim pokoju, nigdy nie był pewny, czy się w więzieniu nie obudzi. Gdy mu ktoś zrobił uwagę, że pod tym względem może być spokojny, odpowiedział.

— A Słotwiński, pysenku? Ręczę, że jego wina nigdy nie była większą niż moja, a jednak szwabę na śmierć go skazały. Takie to pysenku, czasy, i taka niemiecka sprawiedliwość!

Pan Słotwiński w rzeczy samej jęczał w więzieniu. W miesiąc po ostatniej jego bytności w Granowie, policja lwowska zrobiwszy rewizję w Zakładzie Ossolińskich, aresztowała go i oddała sądowi karnemu. Sędzią śledczym był Zajączkowski, ten sam, który w dziesięć lat później zginął od strzału na plantach krakowskich. Proces trwał 3 lata, śledztwo zaś tak wypadło, że I instancja skazała pana Słotwińskiego na karę śmierci przez powieszenia. Zbrodnia, którą mu zarzucono, nazywała się „zdradą stanu“, *Hochverrath*, i polegała na tem, że z drukarni Zakładu miało wyjść kilka książek zabronionych. Po różnych odwoływaniach, rekursach, i rewizjach, zmieniono mu karę śmierci na 8 lat twierdzy, poczem w r. 1837 w kajdanach i do wozu przykutego, pod osłoną 8 bagnetów, odwieziono go do twierdzy Kufstein w Tyrolu, gdzie już siedzieli twórcy partyzantki z r. 1833: Józef Zaliwski, Roliński, Komarnicki, Kropiwnicki i inni.

Zaraz po uwięzieniu pana Słotwińskiego, żona jego ze zgryzoty odbyła połóg przedwczesny i umarła 14 lipca 1834 r., osierociwszy czworo dzieci, z których najstarsze miało lat siedm.

Pan Granowski usłyszawszy co spotkało jego przyjaciela, i jaką mu zbrodnię zarzucają, nie tylko zmartwił się, lecz i oburzył.

— To potwarz! Oszczerstwo! — wołał. — Ja sam, pysenku, namawiałem go, żeby przedrukowywał pisma Towarzystwa demokratycznego, a on mi na to odpowiedział, że tego nie uczyni, bo toby Zakład narażało. Co Kostuś powie, pysenku, to ewangelja, więc prawdopodobnie ktoś inny drukował, a on sam albo o tem nie wiedział, lub tamtego nie chce gubić i na siebie winę przyjmuje!

Myśląc że przyjacielowi dopomoże, pojechał do Lwowa, i już był gotów pójść do sądu, by to co innym mówił zeznać protokolarnie, gdy lepsi znajomi zrobili mu uwagę, że tem nie pomógł by więźniowi, a siebie by zgubił.

— Czemu, pysenku? — zapytał.

— Bo jak się dowiedzą, do czegoś go namawiał, to i ciebie zamkną.

Pan Granowski nie miał na myśli swego bezpieczeństwa; jemu szło przedewszystkiem o prawdę i przyjaciela, to też niewątpliwie byłby poszedł do sądu, gdyby nie inny znajomy, który go pobił następującym argumentem:

— Kto bezpotrzebnie siebie gubi, ten krajowi źle służy. Wracaj lepiej do domu i dalej pracuj dla dobra powszechnego.

To go przekonało. Wrócił też do Granowa, acz z sercem zbolałym, wpiersz się jednakże upewniwszy, że dzieci p. Słotwińskiego znalazły u krewnych dobre pomieszczenie.

W latach, które ubiegły, umarł także cesarz Franciszek I., zapisawszy w testamencie „ludom swoim“ miłość swoją. *Amorem meum, populis meis*.

Wiadomość o śmierci monarchy przysłała z Wiednia „sztafeta“. Właśnie starosta Westermann był na sesji z urzędnikami, gdy do sali wszedł goniec i podał mu papier z czarną pieczęcią. Starosta przeczytał, powstał i głosem uroczystym ogłosił po niemiecku:

— Jego cesarska mość, Franciszek I raczył umrzeć.

Jakby w odpowiedź na to, w rogu sali dał się słyszeć płacz głośny, przypominający niewiast szloch. To Zając tak rozpaczał po stracie monarchy. I nie tylko płakał; nawet ręce łamał i resztę włosów z głowy sobie wyrывał.

Starosta zmierzył go wzrokiem surowym, i oburzony rzekł głośno:

— Rzeczywiście, to wielki łotr! — I nikt temu nie zaprzeczył, bo też z przytomnych, mimo iż prócz Zajęca byli tu sami Niemcy, nikt nie płakał.

Czarnecka była ciągle w Granowie. Chociaż pan Stanisław niegdyś jej zapowiedział, że o jej stosunkach będzie żądał bliższych szczegółów, przecie więcej o tem nie wspominał, i w rozmowie z innymi sam ją nazywał „biedną wdową“. Za tę delikatność odpłacała mu bezgranicznem przywiązaniem i wdzięcznością. Jak zóraw na czatach stojący, tak ona miała ciągle wzrok i słuch wyteżony, ażali z kąd nie grozi niebezpieczeństwo. Ileż to razy pod okiem własnego męża, gdy ten z huzarami przyjechał na rewizję, ułatwiała emisariuszom ucieczkę, i jeszcze się nie zdarzyło, żeby którego z nich w Granowie złapano. Zawsze przytomność Czarneckiej ocaliła ściganego.

Raz jednak groziło już jednemu takie niebezpieczeństwo, że ratunek wydawał się niemożliwy. W nocy przyjechał młody człowiek, który z ważnemi papierami miał się przekraść do Lwowa. Strudzony kilkutygodniową podróżą, jechał bowiem prosto z Poitiers, zasnął twardo, a że w pałacu nikt niebezpieczeństwa nie przewidywał, więc go też pan Granowski nie kazał wcześniej budzić. Uczyniono to dopiero wtedy, gdy na podwórzu, w ogrodzie i pod wszystkimi oknami stali już huzary, a Zajęca w towarzystwie drugiego urzędnika wchodził do pałacu na rewizję.

Była to chwila, że wszyscy głowę stracili, nawet sam pan Zagórski w takich wypadkach najprzytomniejszy. Czarneckiej jednak nic nie zmieszało. Biegając z młodzienaszkiem po pokojach, aby go gdzie ukryć, wpadła do kredensu, gdzie właśnie chłopiec czyścił noże i widelce. Chwili nie tracąc, zrywa zeń ścierekę, którą miał u pasa, przypina ją emisariuszowi, daje mu w ręce noże i widelce, chłopca zaś na schody wypycha. Gdy w pół godziny Zajęca przetrząsnawszy kilkanaście sal i pokojów, wszedł nareszcie do kredensu, chłopiec tamże siedzący także miał już ręce brudne i twarz tak powa-

laną, że o jego zawodzie ani wątpił. Wkrótce też komisja z huzarami odjechała w jedną stronę, emisariusz zaś w drugą.

Z początku Czarnecką trapiła obawa, by jej kiedy mąż nie zdradził; wszakże po niej jakim czasie uspokoiła się i pod tym względem. Zajęca nie tylko nie okazywał żeby ją znał, i podczas rewizji nigdy do niej nie mówił, lecz nawet jej wzroku unikał. Może na dnie duszy tego człowieka tliła choć mała isierka wstydu, która mu wyrzucała, że małżonkowie tak różną odgrywali rolę...

Pan Zagórski odkąd usłyszał, że Czarnecka nie jest wolną, wprawdzie przestał myśleć o małżeństwie, lecz równocześnie nie przestał starać się o jej względy. Natura ludzka zawsze jest jednakowa; skoro nie mógł być jej mężem, pragnął choć zostać jej pocieszycielem. Wszakże i to go zawiodło. Czarnecka była dlań grzeczną, upsejną, lecz i koniec na tem. Nie pomogły ani westchnienia, ani przysięgi, ani wasy codzien węgierską pomadą smarowane. Czarnecka została jaką była, kobietą łucziwą, godną ogólnego szacunku. Gniewało to pana Zagórskiego, nawet martwiło; ilekroć zaś zobaczył cel swoich westchnień i pocisków, miał minę kota, który ujrzawszy za szybą kawał smacznej słoniny, udaje obojętnego, jakby nie miał apetytu.

Pewnego dnia w lipcu śpał był niezdolny, z ludzi kto mógł siedział w domu, w polu rzadko kogo się widziało, siana bowiem dawno już były zebrane, żniwa zaś dotąd nie zaczęte.

Z lasu, który rozciągał się za owym gajem sosnowym, gdzie to przed laty mała Stasia przestraszyła się brzydkiego żebraka, wyszedł jakiś mężczyzna niepokazny, z mieszczańską ubraną, i w koło się oglądawszy, wstąpił na ścieżkę, która obok gaju do Granowa prowadziła. Podróżny miał węzełek na plecach, zresztą nic w nim nie uderzało.

Nieopodal pałacu spotkał wieśniaka.

— Tu mieszka pan Granowski? — zapytał.

— Tu — wieśniak odpowiedział.

Podróżny wszedł śmiało na dziedziniec, ztamtąd do pałacu. Pierwszą osobą, którą w sieniach spotkał, był pan Za-

górski. Spojrzeli na siebie, i poznali się, choć się przedtem nigdy nie widzieli. Podróżny odgadł, że pan Zagórski należy do ludzi, którym można zaufać; pan Zagórski domyślił się w nim emisariusza. Coś z sobą poszeptali i poszli na górę. Po drodze z domowników nikt ich nie spotkał.

Wielkie było zdziwienie Szymka, pokojowca pana Granowskiego, gdy wszedłszy do gabinetu dziedzica, prócz niego i pana Zagórskiego, zobaczył trzecią osobę, której jeszcze przed kwadrans tam nie było, i której w Granowie dotąd nie widział. Chłopak był ciekawy, to też jednym wejściem ogarnął nieznanego.

Był to mężczyzna w sile wieku, łysy, wzrostu miernego, twarzy łagodnej i otwartej, którą zdobiły oczy spokojne, choć pełne wyrazu, i piękne wąsy. Jeszcze bardziej, niż obecność tego gościa, zdziwił Szymka rozkaz pana Granowskiego, żeby się natychmiast wynosił. Chłopak wyszedł, lecz przy drzwiach się zatrzymał, i do nich ucho przyłożył; dopiero gdy się przekonał, że panowie tak cicho rozmawiają, iż nie sposób ich usłyszeć, wpuścił oko w dziurkę od klucza.

I Szymek widział; że nieznamy słuchaczom coś tłumaczył, że im pokazywał jakieś papiery, które wyjął z małej torebki, że ich o coś prosił i jakby zaklinał.

Szymek zrobił minę wieloznaczącą, na palcach wymknął się do przedpokoju, ztamtąd przez schody do ogrodu. Biegł żywo, a chyłkiem, jakby się obawiał, żeby go kto nie zobaczył. Stanąwszy przed niskim murem, którym ogród był otoczony, jednym susem przesadził go na drugą stronę i cwałem pobiegł do chaty wieśniaczej, która jak stracona placówka sama jedna na końcu wsi stała.

W kilka minut Szymek wracał tą samą drogą do pałacu, z chatki zaś wyszedł wieśniak i krokiem przyspieszonym dążył ku drodze która do miasta prowadziła.

Właśnie wieczór zapadał.

## XII.

W gabinecie pana Granowskiego rozmowa po wieczery dalej się toczyła. Gość tajemniczy mówił tak pięknie, tak

śladko, tak porywająco, że panowie Granowski i Zagórski słuchali go z uwagą natężoną, i rzadko który ośmielił mu się kiedy przerwać.

— Przedewszystkiem musimy pamiętać o tym ludzie — mówił z wzrastającym zapałem — w nim bowiem przyszłość nasza! Czemże szlachta w porównaniu z tą masą pracującą, która oburącz ziemi się trzymając, jest zawsze gotowa życie dla niej poświęcić? To kropla w morzu! A nie zapominajcie, obywatele, że mamy nieprzyjaciół potężnych, licznych i zawziętych, których kropla nie zaleje! Jeśli lud jak jeden mąż nie stanie wraz z nami, zadania nie spełnimy!

— Dlaczego by nie miał stanąć, pysenku? — przerwał pan Granowski. — Z chłopem nie taka znów trudna sprawa jak się to może niejednemu zdaje. Dam gardło, że z mojej wsi wszyscy wyjdą.

— Jesteś tego pewny, obywatelu?

— Przedewszystkiem muszę cię prosić, pysenku, żebyś mnie nie tytułował obywatelem. To dobre może dla innych, mnie jednak trąci to jakobinizmem... Ja pana nie pytałem o nazwisko, w terażniejszych bowiem czasach, pysenku, byłoby to niegrzecznością, przekonawszy się jednak z rozmowy, żeś szlachcic, ufam ci jak bratu, i dlatego mów mi jak chcesz djable, czarcie, bracie, tylko nie obywatelu, pysenku, bo tego nie cierpię!

Nieznamy łagodnie się uśmiechnął.

— Więc sądzisz panie bracie — zapytał — że twoi wieśniacy pójdą za tobą?

— Spodziewam się, pysenku! Z każdej wsi odkomenduję młodych i zdrowych, każę wbić kosy na drzewce, i marsz, marsz, pysenku!

— A jeśli komendy nie usłuchają?

— Nie usłuchają? — głośno powtórzył i jak burak poczerwieniał. — Dałbym ja im wtedy, pysenku!

— Cóżbyś im dał, panie bracie?

— Po sto nahajów!

Zapanowało milczenie. Nieznajomy z westchnieniem

głową zwiesił. Gdy potem wspomniał coś o miłości ludu, pan Granowski, który dotąd się nie uspokoił, znowu przerwał:

— Dajmy puseńku, pokój tym andromom! Miłość i braterstwo to rzeczy arcypiękne, lecz dla nas, nie dla chamów. Zaczynaj no, puseńku, bydlu prawie o miłości, zobaczysz czy zrozumie. Chłop jeszcze bydlę, on słucha tylko rozkazu, ilekroć zaś rozkaz nie pomaga, niewątpliwie, puseńku, pomoże nahaj! Już ja ich znam, i wiem jak ich oceniać!

— Ale gdyby i tak było, panie bracie, to czyżemy nie powinni starać się ich podźwignąć i ku nam podnieść? Wszak temu nie zaprzeczysz, panie bracie, że wieśniak jest także stworzony na podobieństwo boskie, i w rodzinie, która się ojczyzną nazywa, jest nam poniekąd bratem.

— Przypuszczam, puseńku, że tak jest w istocie, lecz to jeszcze nie znaczy, bym go miał uważać za równego. Wszak i w rodzinie są różnice. Braci starszych smarkacze zawsze słuchają, a ilekroć zaczynają się zuchwalić, starsi biorą ich za uszy, i na ławkę, puseńku! Taki jest już porządek na świecie.

Pan Granowski wychowany w dawnych tradycjach, mówi jak czuł i wierzył. Nie znaczyło to jednak, żeby dla poddanych był nadto srogi; przeciwnie, niejednokrotnie okazywał im nawet wiele serca, wszelako był nieubłagany, jeśli który z nich zuchwalił się wobec niego. A właśnie dziś rano zaszedł w Granowie wypadek świadczący o wielkiej zuchwałości niektórych chłopów. Ludzie dworscy, złapawszy w hreczce kilkanaście szluk bydła, chcieli je zająć, chłopci jednak usiłovali temu przeszkodzić. Wszczęła się bójka, której kres położył dopiero mandatarjusz, zastępca pana Zagórskiego, gdy zagrożonym przybiegł na pomoc z resztą służby dworskiej i swymi policjantami.

Pan Granowski usłyszawszy co się stało, pospieszył na sędziówkę, aby być obecnym przy przesłuchaniu uwięzionych. Gdy mandatarjusz zaczął protokół spisywać, jeden z chłopów rzekł zuchwał, że spalenie dworskiej hreczki nie jest zbrodnią, ponieważ pan komisarz mówił im raz w cyrkule, że

chłopi odbiorą panom kiedyś wszystkie grunta, bo one dawniej były chłopskie nie pańskie.

Po tych słowach pan Granowski porwał się z kanapy i dał znak sędziemu. W kilka minut na podwórzu słychać było głośnie jęki. Każdy z uwięzionych, a było ich dziesięciu, za zuchwałosc swego towarzysza, otrzymał ojcowską admonicję, której ślady latały po powietrzu w kształcie lasek połamanych, poczem wszyscy poszli do aresztu. O protokole mowy więcej nie było.

Pan Granowski chcąc swemu gościowi wykazać, jak niebezpiecznie jest chłopstwu folgować, opowiedział mu ten fakt świeży. Emisarjusz nie dał się i tem przekonać. Przeciwnie, jakby nowy duch w niego wstąpił, zaczął jeszcze z większym niż dotąd zapałem, prawie z namaszczeniem, mówić o niedoli tego ludu, pozbawionego światła i dobrobytu, i o wielkiem posłannictwie szlachty, która dla celu wyższego, powinna wyrzec się największego swego przywileju, i lud usamowolnić. Widząc, że pan Granowski chce mu znowu przerwać, nie dopuścił go tym razem do głosu, i mówił coraz podniosłej, jak prorok starożytny, którego głos wstrząsał wnętrzościami całego narodu. Gospodarz pod czarem słów jego, siedział jak automat, i wpatrując się w szlachetne rysy swego gościa, myślał w duchu: — Kto wie, czy ten człowiek niema słuszności! — Pan Zagórski ust nie otworzył; ten bowiem już dawno był przekonany.

Nieznamy nie przestał tak prędko. Wyczerpawszy obszerny swój przedmiot, i uderzywszy w najszlachetniejsze struny w sercach swoich słuchaczy, zakończył temi słowy:

— Bóg zrobił naszą ojczyznę męczennicą narodów, która pokutuje nie tylko za swoje lecz i za obcych ludów grzechy! Jaką atoli byłaby ta pokuta, byśmy w samolubstwie zaślepieni, nie chcieli wyrzec się nawet takich rzeczy, z którymi sam Chrystus walczył? Czyż nie głosił on równości wszystkich, czyż nie poszedł na krzyż dla wszystkich? I nie zapominajmy, że im głębiej będziemy brnęli w materializm, im uporzyciwiej będziemy się trzymali poddaństwa ludu, tem trudniej przyjdzie nam ojczyznę odzyskać, bo dla jej zbawienia

nie potrafimy się poświęcić. Patrzcie bracia, oto przed wami stoi szlachcic, który miał także poddanych, dziś atoli zrozumiawszy swój obowiązek, oddał im wolność i sam o kiju kraj przebiega, i drugich zaklina, by to samo uczynili, boć tylko na tej drodze odzyskamy ojczyznę. Nie surowością lud zwyciężymy, lecz sercem!

Gdy przestał, pan Granowski nie odpowiedział, jeno mu rękę w milczeniu uściśnął. To samo zrobił pan Zagórski.

— A teraz jeśli łaska, panie bracie — gość słodko poprosił — raczcie mi wskazać mój pokój... Dostyc się utrudziłem, z konieczności musiałem zrobić pieszo mil kilka, świtem zaś trzeba dalej wyruszyć! Zdaje mi się, że już dość późno.

Gospodarz powstał, raz jeszcze w milczeniu uściśnął dłoń gościowi i powierzył go opiece pana Zagórskiego. Sam ręce w tył założywszy, rozpoczął przechadzkę od drzwi do okna, które na ogród wychodziło.

Trudno było odgadnąć co myślał. Na twarzy był poważny, chód jego był spokojny, w ogóle wyglądał jak człowiek w duchu skupiony. Otworzył okno. Na dworze było ciepło lecz ciemno, w ogrodzie panowała cisza uroczysta. Stał długo i wzrok wlepiwszy w czarną lip koronę, dumiał. Dopiero zbudził go przy drzwiach głos pana Zagórskiego.

— Czy jaśnie pan jeszcze co rozkaże? Nasz pan gość już śpi.

Szybko się odwrócił.

— Dobrze, pysenku, żeś przyszedł. Idź acan na sędziówkę i przynieś mi klucze od aresztów. Sędziemu powiedz, żeby był cicho!

Dan Zagórski udał się gdzie mu rozkazano i w pół godziny wrócił z kluczami. Dziedzica zastał na dawnym miejscu. Gdy mu klucze oddał, pan Granowski wziął je i sędziego pożegnał niemem głowy skinieniem. Pan Zagórski odszedł do swego pokoju. Po stracie dekretu i Wiatrowie, mieszkał on stale w pałacu.

Tymczasem pan Granowski podumawszy jakiś czas przy oknie, wziął kapelus, i jak mógł najciszej, prawie na pal-

cach, wyszedł z pałacu. Widocznie lękał się, żeby go kto nie spotkał i nie domyślił się gdzie i po co idzie.

Minał dziedziniec, bramę sam sobie otworzył, dotąd bowiem nie była na klucz zamknięta, tylko na rygle żelazne, poczem szybko udał się na sędziówkę. Zbudziwszy policjanta który spał przy aresztach, dał mu klucze z rozkazem, żeby drzwi pootwierał i więźniów wypuścił. Gdy ci ze snu zbudzeni na dwór wybiegli, i na widok dziedzica kornie głowy schylili, ten gromko przemówił:

— Chociaż wielka wasza wina, przebaczam wam chamy! bo teraz będzie miłość i braterstwo! Pamiętajcie jednak chamy, żebyście, jak was będę potrzebował, wszyscy stanęli bo inaczej!...

Nie dokończył. Wczas się zaciął, rękę, którą groźnie podniósł do góry, spuścił, i odwróciwszy się, odszedł do domu. Chłopi także odeszli, tyle tylko zrozumiawszy, że ich dziedzic na wolność puścił. Policjant został pod aresztami z gębą szeroko rozdziawioną.

Gdy pan Granowski do pałacu wracał, kilka razy stawał i nadsłuchiwał, zdawało mu się bowiem, że słyszy tentent koni. Wszakże po chwili zrobiło się znowu cicho i on szedł dalej sądząc, że mu się przysłyszało. Dopiero gdy był w bramie, tentent zrobił się wyraźniejszy.

— Słyszysz co, Grzegorzu? — zapytał stróża, który mu otwierał.

— Słyszę, jaśnie panie... Ktoś jedzie.

— A jak ci się zdaje, kto to być może?

— Zaraz, jaśnie panie, jeno lepiej posłucham. — Grzegorz przykląkł i ucho do ziemi przyłożył. — Oho! to huzary... Widać, jaśnie panie, znowu przyjeżdżają z wizytą.

— Tak jest, to huzary... słyszałem nawet brzęk pałaszy. Zamykaj bramę, Grzegorzu, i nikogo nie wpuszczaj, choćby ci śmiercią grozili! Jak chcą, niech ją przemocą wysadzają.

— Dobrze, jaśnie panie, dobrze... zjedzą wpierw djabła rogatego, nim ją wysadzą.

Grzegorz rygle zasunął i wszedł do małego domku, który stał przy bramie; dziedzic zaś pośpieszył do pałacu,

gdzie natychmiast ostatnie światła pogasły. Nawet w oknie Czarneckiej, która zazwyczaj do późna szyła, ciemno się zrobiło.

Starego Grzegorza słuch nie zawiódł. Droga jechali w rzeczy samej huzarzy. Było ich pół szwadronu, pod dowództwem rotmistrza. Za nimi toczyły się trzy wozy. Na pierwszym siedział Zajac obok komisarza cyrkularnego, na dwóch drugich dwunastu landdragonów.

Gdy czoło kolumny zbliżyło się do bramy pałacowej, wszyscy stanęli. Wtedy komisarz i Zajac z wozu zeskokczywszy pod bramę podeszli. Zajac począł próbować.

— Zamknięta! — rzekł cicho.

— Trzeba zadzwonić! — komisarz odpowiedział.

— Gotowi nie otworzyć.

— To ją wysadzimy!

— Wątpię panie komisarzu, czy to będzie dobry sposób... Jak się pobudzą, gotów ptaszek z klatki wylecieć i ani go zobaczymy.

— Więc aby to nie nastąpiło, trzeba mur otoczyć... Przecie mamy dość ludzi.

— Prawda, lecz czy pan komisarz przypomina sobie, że w roku zeszłym zrobiliśmy tak samo, a jednak uciekł nam jakiś kandydat od szubienicy. Gdybyśmy mogli ustawić jednego żołnierza obok drugiego, rzecz inna.

— Mają broń nabitą.

— I wtedy mieli; a przecie uciekł. Skoczył z muru, a że noc była ciemna, zupełnie jak teraz, więc mimo iż za nim strzelali, po dziś dzień przepadł.

— Cóż zatem radzisz uczynić, panie kancelisto?

— Jabym myślał, że najlepiej będzie, jeśli mur otoczywszy, przeczekamy do rana. Teraz spią wszyscy, więc się o niczem nie dowiedzą, rano zaś przetrzaśniemy nie tylko pałac i ogród, lecz także stajnie i wozownie, które tam stoją na boku. Nawet gdyby nam uciekał, łatwo go w dzień zobaczymy i prędko dopędzimy.

Komisarz osądził, że rada kancelisty była trafną. Już to w sprawach policyjnych Zajac był w cyrkule wyrocznią, to też ilekroć powiedział, że tam lub owdzie trzeba zrobić rewizję, sam starosta nie byłby mu się odważył sprzeciwić, co nawet wyglądało, jakby się go lękał...

Cicho, ostrożnie, podtrzymując pałasze, aby nie dzwoniły, zaciągnęli huzarzy wyznaczone im posterunki, landsdragoni zaś przez mur przelazszy, usadowili się naprzeciwko drzwi i okien pałacu. Komisarz i kancelista usiedli na kamieniu przed bramą i do swego towarzystwa rotmistrza zapraszali, ten atoli z konia zsiadłszy, poszedł pieszo ku sosnowemu gajowi na pagórku.

Noc latnia nie trwa długo; we dwie godziny zaczęło świtać. Gdy pierwszy promień słońca o szyby pałacu uderzył, Zajac zadzwonił u bramy. Nikt nie otwierał. Wtedy żołnierze najbliżej stojący, poczęli bić w bramę rękojęściami pałaszów, a gdy i to nie pomogło, komisarz łamaną polszczyzną krzyknął:

— Otwórzcie! Wzywam w imię prawa!

W pałacu na pierwszym piętrze okno się otworzyło, i w niem ukazała się głowa pana Granowskiego.

— Co to za hałas, puseńku? Kto się tam dobywa? — zawołał.

Komisarz powtórzył wezwanie.

— Otwórz Grzegorzu, otwórz! Wszak to niegrzecznie, puseńku, kazać czekać za bramą tak zacnym gościom. Otwórz!

Grzegorz wyszedł z domku i otworzył. Komisarz, Zajac i kilku huzarów wbiegło na dziedziniec; na samym końcu rotmistrz postępował.

Właśnie gdy pod kolumnadą stanęli, zjawił się pan Zagórski.

— Róbcie co chcecie — przemówił z roztargnieniem — tylko proszę panów, żebyście się cicho i przyzwoicie zachowywali, gdyż Jego Ekscellencja mógłby stąd wynieść bardzo złe wrażenie.

— Jaka Ekscellencja? — zapytali równocześnie komisarz i kancelista.

— To panowie nie wiecie, że dziś u nas nocował J. E. ksiądz arcybiskup siamski, Bianchini, który w charakterze legata papieskiego jedzie do Lwowa, aby ostatecznie uregulować stosunki kościoła unickiego?

Urzednicy po sobie spojrzeli.

— Niceśmy o tem nie słyszeli — rzekł komisarz.

— A kiedy przyjechał ksiądz arcybiskup? — Zając podchwycił.

— Wczoraj przywiózł go nam sam książę Lubomirski, a że się spieszy, więc zaraz odjeżdża. Właśnie idę, aby zaprzęgali.

— Czy z obcych nie ma nikogo więcej w pałacu? — komisarz zapytał, patrząc panu Zagórskiemu bystro w oczy.

Ten zamiast odpowiedzieć, w sposób dający wiele do myślenia ramionami ściągnął, głowę zaś zwiesił z rezygnacją.

Gdy odszedł ku stajniom, komisarz szepnął do kancelisty:

— Złapałem go nagle zapytaniem... nie miał odwagi zaprzeczyć... dostaniemy ptaszka!

Gdy to się dzieje na dworze, w pałacu życie się obudziło. Jakiś czas słychać było trzask drzwi, nawoływania, rozkazy, potem dały się słyszeć kroki na wschodach. Równocześnie przed kolumnadę zajechała karetą, ta sama, do której ongi starosta przemawiał. Na kozle siedział Jasiek po krakowsku ubrany, i wszystkich sił dobywał, żeby czwórkę utrzymać, która z miejsca rwała. W tyle karety trzymając się targańców, stało dwóch fagasów w strojach kozackich.

Pojawił się pan Granowski z głową odkrytą, w pełnym stroju polskim, mając po prawej ręce legata papieskiego. Legat był wzrostu miernego, pięknych rysów twarzy, z wyrazem łagodnym a uśmiechem słodkim. Na sobie miał fioletowy strój arcybiskupi, na szyi duży łańcuch złoty, na głowie małą czapkę także fioletową. Suknie i czapka były z najprzedniejszego jedwabiu. Pan Granowski rozmawiał z nim po francusku. Za nimi wyspał się dwór cały, z wyjątkiem Szymka, którego nie było między obecnymi.

Gdy gość dostojny stanął pod kolumnadą, pan Granowski przemówił po łacinie.

— Racz Wasza Ekszelencjo przed odjazdem pobłogosławić wiernych synów Stolicy Apostolskiej!

To powiedziawszy, przyklęknął na jedno kolano; za jego przykładem padli wszyscy na ziemię, między nimi także Czarnecka i Stasia. Był czas, że urzednicy nie wiedzieli co począć, gdy jednak rotmistrz, syn jakiegoś magnata węgierskiego, pierwszy ugiął kolano, musieli i oni wstąpić w jego ślady.

Legat z anielskim uśmiechem podniósł wzrok do nieba, i dwoma palcami prawej ręki zaczął żegnać głowy kornie schylone, przyczem mówił głośno:

— *Pax et benedictio Dei Omnipotentis descendat super vos et maneat semper!*

Gdy skończył, pan Granowski podnosząc się w rękę go ucałował; za nim dwór cały. I znowu rotmistrz zbliżył się by to samo uczynić, znowu komisarz i kancelista musieli pójść za jego przykładem.

Legat zatrzymał się jeszcze chwilę; ujrawszy bowiem landsdragonów i huzarów, chciał z daleka i ich pobłogosławić, poczem sam jeden wsiadł do karety. Pan Granowski, jakby młodzik jaki, wskoczył na kozieł i wzięwszy lejce z rąk Jaska, konie zaciął. W minutę karetą była za bramą.

Jeśli jaka wątpliwość mogła jeszcze bodaj na chwilę powstać w głowie kancelisty lub komisarza, musiała pierzchnąć na widok tego magnata, który na kozle siedział. Czy słyszał kto kiedy, żeby ten butny karmazyn, który ani przed gubernatorem, ani przed monarchą karku nie ugiął, aby on służył komu za stangreta? Niewątpliwie zatem musiał to być legat papieski, szlachta ponieważ polska, odkąd ojczyznę straciła, jedynego tylko Ojca świętego poczytuje za swego monarchę!

Tak myśleli urzednicy, gdy obsadziwszy wszystkie wyjścia pałacu, przystępowali do rewizji.





## XIII.

Pół dnia trwała najściślejsza rewizja. Nie było kąta gdzieby Zajac nie zajrzał, wszystko oglądał, każdą rzecz przetrząsał. Tym razem kazał nawet powyrzucać materace z łóżka Czarneckiej, i ściany starannie opukiwał, szukając w nich drzwi ukrytych. Wszelkie jednak starania okazały się bezskuteczne. Ani w pałacu, ani w zabudowaniach na dziedzińcu stojących, ani w ogrodzie, nie znalazł śladów podejrzanych.

Była atoli chwila, że uwierzył, iż ma emisariusza. Gdy z pierwszego piętra na dół schodził, usłyszał w murze jakby westchnienie. Uderzył pięścią, mur głucho odpowiedział.

— Co to jest? — zapytał pana Zagórskiego. — Tam jest komórka.

— Jest.

— Tam ktoś siedzi.

— Siedzi.

Kanceliście oczy błysły jakby chciał powiedzieć: nareszcie! i zawołał:

— Otwórz pan!

Pan Zagórski wyjął klucz z kieszeni i maskowane drzwi otworzył.

— A to co? — Zajac zapytał, ujrawszy przed sobą przestraszonego Szymka.

— Hultaj rozgniewał wczoraj jaśnie pana i ten kazał go tu zamknąć. Teraz wracaj nazad do kozy, bo jakby cię jaśnie pan zobaczył na wolności, dostałbyś dwadzieścia pięć oblewanych, a ja burę!

Kancelista zrobił minę, jakby Szymka chciał o coś pytać, pan Zagórski jednak łatwo mu w tem przeszkodził, wtrąciwszy bowiem chłopca nazad do komórki, zamknął za nim drzwi na dwa spusty. Kancelista poszedł dalej, usta do krwi przygryzając.

Gdy najskrzętniejsze poszukiwania skutku nie odniosły, zaczęto służbę badać. Lecz i to spełzło na niczem. Ten nic nie widział i nic nie słyszał; tamten widział tylko księdza arcybiskupa, ów odpowiadał niejasno, jakby był idjotą. Gdy

z kolei wszystkich przesłuchano, pan Zagórski, zwracając się do kancelisty, zapytał:

— Czy i Szymka mam przywołać?

Zajac spojrział na niego badawczo, i musiał coś dwuznacznego wyczytać, skoro odpowiedział z pewnem wahaniem:

— Ten niepotrzebny... przecie nie mógł nic widzieć, skoro siedział zamknięty...

Pan Zagórski pomyślał:

— Teraz przysięgnę, że Szymek był jego szpiegiem... Boi się by go nie zdradził i dlatego spotkania z nim unika.

W południe wszyscy odjechali nic nie wskórawszy. Komisarz i kancelista mieli miny kwaśne, landsdragoni zwiierzali się jeden przed drugim, co któremu udało się ściągnąć z kuchni pałacowej, huzarzy klnęli po węgiersku, że od dwunastu godzin w ustach nic nie mieli. Jeden rotmistrz był zadowolony. Ten przodem jadąc, nucił półgłosem wesołą piosenkę, i tylko wtedy, gdy jego wzrok padł na wóz z urzędnikami, piosenka zamierała mu na ustach, poczem zaczynał kłać jak prosty huzar.

Starosta usłyszawszy, że zamiast emisariusza spotkali legata papieskiego, wpadł na Zajacę z gniewem, wyrzucając mu, że złych ma szpiegów, chociaż na nich dosyć pieniędzy pobiera. Przy tej sposobności zapowiedział mu kategorycznie, że na przyszłość dopiero wtedy da mu asystencję, jeśli on, Zajac, złoży mu wpieryw niezbite dowody, iż jest na tropie bądź emisariusza, bądź spisku. Kancelista wysłuchał reprimendy i z długim nosem do domu odszedł.

Pan Westermann, jako urzędnik państwa katolickiego, bardzo się zmartwił, że nic nie wiedział o przejeździe przez jego obwód tak wielkiej osoby jak legat papieski. Wszak gdyby go był Wiedeń o tem uwiadomił, byłby wysłannika Stolicy apostolskiej przyjął chorągwiemi, strzałami i wojskową paradą. Albo więc u góry osądzono, że figurze tak małej jak starosta, minister nie potrzebował o tem donosić, bądź też legat, aby uniknąć owacyj, jechał incognito. Pani staroscina przychyliła się do zdania drugiego. Pan Westermann chcąc jednak pokazać tak Wiedniowi jak Lwowowi, że zawsze wie

co się w jego obwodzie dzieje, spisał niezwłocznie o przejeździe legata urzędowy *Bericht*, który z innymi ważnymi papierami odszedł do gubernium najbliższym wozem pocztowym.

Zając usiadłszy pod oknem w swoim pokoju, coś mruzczał, tarł czoło i stopą jednej nogi niespokojnie o podłogę uderzał. W oczach stała mu ciągle szlachetna postać legata, słyszał jego głos, czuł jeszcze ciepło tej ręki, której swemj ustami dotykał. Zajac miał oko dobre, i na jednym palcu tejże ręki widział nawet biskupi pierścień z relikwiami. Nie ulegało zatem wątpliwości, że legat był prawdziwy. A jednak, jednak, gdzieś tam w głębi duszy mówiło mu przecucie, że uroczyste to pożegnanie, którego rano był świadkiem, było tylko komedią, i że tak on, jak komisarz zostali z ręcznie w pole wyprowadzeni. Sama myśl, że toby prawdą być mogło, tak go przerażała, że ją odrzucał, i w duchu Boga prosił, żeby legat był prawdziwy. On przedewszystkiem bał się hańby, hańbą zaś byłoby dlań największą, jeśliby się dał oszukać.

Niedługo czekał na rozwiązanie tajemnicy. Z pierwszym zmrokiem wszedł do jego mieszkania Szymek.

— Znowu co nowego? — zawołał z krzesła się porwijąc. Ręczę, żeś przyniósł nowe kłamstwo, nowe oszustwo, żeby mi wydrzeć kilka cwancygierów!

— Niech mi pan komisarz da święty pokój... ja już i cwancygierów nie chcę, i takiej służby. Oj! wyspali ci mi, wyspali! Narachowałem tylko pięćdziesiąt, a potem dałem już pokój, bo bardzo bolało. Oj! ciężka to służba, djabło ciężka!

— Dobrze ci tak łotrze! to za moją krzywdę! Czemuś mnie oszukał, czemuś mi wczoraj w nocy Walka przysłał? Ja myślałem, że Bóg nie wie kogo złapię, tymczasem...

— Nie moja wina, panie komisarzu, żeś się pan tymczasem sam złapał. Oj! toż to was na durniów wykierowali.

— Co mówisz?!

— Ta co pan komisarz słyszy... Ja prawdę doniosłem, a co się potem stało, za to już nie odpowiadam... Dziedzic, pan Zagórski i ten podróżny, o którym przez Walka doniosłem, rozmawiali blisko do północy, potem dziedzic gdzieś

wyszedł, a gdy wrócił, kazał na gwałt wszystkie światła gasić. Myślałem, że spać się położę, tymczasem dopiero wtedy zaczęło się dobre chodzenie. Najpierw zbudził obcego, potem pana Zagórskiego, który zaraz Czarnecką sprowadził. Zasłoniwszy w gabinecie okna materacami i dywanami, zapalili świece i radzić zaczęli. Przyłożyłem ucho do dziurki od klucza, by lepiej słyszeć. Ten obcy chciał koniecznie, żeby mu przygotowali suknie księże, a gdy na to odpowiedzieli, że nie ma takich, Czarnecka rzekła: Jest tu kilka sukien jedwabnych po nieboszczce starej pani i cała sztuka materji fioletowej, z tego możemy zrobić cały ubiór biskupi:

— Niegodziwa! — Zajac przerwał.

— Wszyscy się tem bardzo ucieszyli, a jaśnie pan dał, że ma łańcuchy i pierścienie po swoich przodkach, którzy także byli biskupami. Zaczęło się szycie na gwałt; wszyscy pomagali, nawet ten mały bęben Czarneckiej nie chciał spać tylko szył. Ja słuchałem ciągle pode drzwiami, alem źle na tem wyszedł, bo jakoś nad ranem zdrzymnąłem się trochę. Dopiero mnie zbudził pan Zagórski, który chwyciwszy mnie za ucho krzyknął: „To ty łotrze szpiegujesz?... Ja już dawno się domyślałem, że to twoje sprawki!“ Ledwie to powiedział, tak mi dał w kark, że aż mi coś trzasło, i zaraz wpakował mnie do tej komórki, gdzie mnie pan komisarz widział...

— Cóż potem?

— Ta, źle było potem, panie komisarzu. Jak jaśnie pan wrócił do domu, kazał mi wyspać bez rachunku i jak psa wypędził. Ale wszystkiemu winien ten Zagórski, gdyby nie on, byłbym się postarzał w Granowie.

— Czy wtedy gdyś siedział zamknięty, nie słyszałeś czego, jakiej rozmowy?

— Rozmowy? Aha! prawda... gdy jaśnie pan wrócił, pan Zagórski powiedział mi na schodach, że ten arcybiskup zapomniał torebkę z ważnymi papierami, którą Czarnecka przy sobie ukryła... Na to jaśnie pan odrzekł: „Papiery odesłamy jeszcze dziś w nocy... Pojedzie w ślad za nim choćby do samego Paryża.“

— Z pewnością to słyszałeś? — Zajac zapytał.

— Z pewnością panie komisarzu.

— Jeszcze jedno... Powiedz mi jak wyglądał ten człowiek, którego przebrali? Walek nie umiał mi go opisać.

Gdy Szymek w krótkich słowach odmalował jego portret, Zajac rozpaczliwie ręce załamał.

— Boże! — jęknął — więc to Wiśniowski, Teofil Wiśniowski, z wszystkich najniebezpieczniejszy, i tak mi się wymknął! O! nie będę jadł, nie będę spał, a muszę go w moje ręce dostać! Klekaliśmy przed nim, całowali go po rękach, o! jaki wstyd!... Słuchaj Szymku, masz tu cwancygiera i idź do djabła... Ja mam coś pomyśleć, przygotować...

Chłopak wyszedł, kancelista zaś drugi raz ręce załamał, i na łóżko padając jęknął:

— Boże! więc to on był, on!

Nie długo leżał. Podniósł się, i na środku izby stanawszy, mówił do siebie:

— W tych papierach będzie coś ważnego, a więc trzeba je zdobyć... Czy żądać asystencji? Nie, dam pokój, starosta z pewnością by mi jej odmówił, bo był dziś zły jak djabeł. Zresztą jak to pięknie będzie, jeśli ja sam więcej dokażę, niż komisarz z pół szwadronem huzarów i tuzinem landsdragoonów. O! gdyby nie on, byłbym pomacał tego legata papieskiego, ale komisarz wytrzeszczył oczy jak baran i we wszystko uwierzył... A teraz w drogę komu czas!

Otworzył kufer, wyjął podwójną krucicę, z którą w drodze nigdy się nie rozłączał, podsypał prochu, przykręcił krzemienie i wyszedł na ulicę.

Przy rogatce spotkał wóz, jadący w stronę Granowa. Ponieważ noc szybko zapadała i na burzę się zanosilo, więc aby czasu nie marnować, zgodził chłopca, żeby podwiózł go pod sam pałac, zapłacił pół cwancygiera z góry, wsiadł na wóz, i chłop konie zaciął.

Jechali dość szybko, a za nimi warczał grzmot w oddali, i niekiedy jasna błyskawica rozdzierając chmur zwarta masę, oświetlała uspioną okolicę. Nie upłynęła godzina, a był

w Granowie. Zajac zeskoczywszy, stanął pod krzakiem w pobliżu bramy pałacowej, chłop zaś dalej pojechał.

Czekał długo, i ku bramie wzrok wyteżał, lecz nikt się nie pokazywał. Tymczasem burza zbliżyła się z grzmotami i deszczem. Już zaczynało go niepokoić, czy za późno nie przybył, gdy z bramy wózek wyjechał. Mimo ciemności, rozróżnił na nim dwie osoby: jedna powoziła, druga w głębi siedziała. Przeczucie powiedziało mu, że to ci, których wygląda.

Chociaż wskutek deszczu droga oślizgła, Zajac pobiegł szybko naprzód, i zatrzymał się dopiero w miejscu, gdzie po jednej stronie były gęste krzaki, po drugiej jezioro. Stanął pod krzakami i czekał. Gdy wózek nadjechał, skoczył na środek drogi, i krucicę wyciągając, krzyknął:

— Stój!

Ten co powoził, zamiast wezwania usłuchać, zaciął konie. Te rzuciwszy się gwałtownie naprzód, byłyby napastnika pewnie roztratowały, gdyby się był trochę na bok nie usunął. Lękając się, by mu się pewna zdobycz z rąk nie wymknęła, raz jeszcze zawołał:

— Stój! bo strzelam!

I to nie pomogło. Wóznica znowu konie zaciął.

Wtedy na panewce błysło, rozległ się huk i cisza zaległa. W świetle błyskawicy, która w tejże chwili widnokrąg rozjaśniła, Zajac ujrzał konie poplątane, na kozle nie było już nikogo, osoba zaś w głębi siedząca, na jeden bok się przechyliła.

Za zwinnością tygrysa rzucił się na wózek, i chwytając oburącz postać przechyloną, zawołał:

— Gdzie torba z papierami?

— Michale! to ty!... dokonałeś dzieła... Niech ci Bóg przebaczy! — usłyszał głos niewieści, cichy, konający.

Znowu błyskawica zaświeciła, i w jej blasku żółtawym poznał bladą twarz swojej żony. Syknął, jakby go wąż ukąsił, i zsunął się z wozu. Nie miał odwagi szukać papierów... Stanawszy na ziemi, ruszył cwałem do miasta, jakby go furje gnały piekielne.

Woznica, który cudem tylko kuli uniknął, lufa bowiem ku jego piersi była skierowana, schowawszy się po strzale w krzaki przydrożne, nie widząc teraz tego, który go na drodze zatrzymywał, wyszedł z ukrycia i do wózka się zbliżył.

— Co pani jest? — zapytał.

— Nic... nic... wracajcie do domu, Grzegorzu!

Grzegorz westchnął, przeżegnał się, wskoczył na koziołek i do bramy nawrócił. Za chwilę był na dziedzińcu.

Zbiegła się najpierw służba, potem pan Zagórski, w końcu sam dziedzic się pojawił. Już w łóżku leżał, lecz gdy mu powiedziano, że Czarnecka wróciła, ubrał się czemprowadzej i zbiegł na dół.

Wnieśli ją do pokoju gościnnego i na łóżku złożyli. Przeróżająco była blada, z piersi krew buchała. Mimo to torbę z papierami oburącz przytrzymywała i powierzyła ją dopiero panu Zagórskiemu, gdy ten przyszedł.

— Co się stało? Kto się tej zbrodni dopuścił? — zapytał dziedzic wpadając.

Konająca nic nie odrzekła; Grzegorz jednak odpowiedział:

— Zdaje mi się, że to któryś z tych, co tu dziś byli, bo jak błysnęło tom widział czapkę z orzełkiem, a po strzale wołał, żeby mu oddać jakieś papiery.

— Więc nowa zdrada! — pan Granowski krzyknął. — Ja ten dom w powietrze wysadzę!

Czarnecka otworzyła oczy dotąd przymknięte i na dziedzica spojrzała. Domyślił się, że chce mu coś powiedzieć.

— Nie lękaj się, puseńku — rzekł za rękę ją biorąc — będziesz zdrowa! Posłałem już po lekarza...

— Nie potrzeba... ja panie żyć nie będę... Chcę cię tylko o coś prosić, jasnie panie.

— Mów, mów, puseńku!

— Moja Stasia...

Chciała dalej mówić, lecz jej przeszkodził gwałtowny wybuch krwi, która się ustami rzuciła. Kilka kobiet dworskich, z oficyn sprowadzonych, usiłowało krew jej zatamować; ona odsunęła je ręką.

— Moja Stasia! — raz jeszcze szepnęła.

— Może ją tu sprowadzić, puseńku?

— Nie, jasnie panie, niech się nie przeraża, niech śpi. Ale błagam cię panie... nie opuszczaj sieroty!

To powiedziawszy chwyciła kuczowo rękę pana Granowskiego i do swoich ust ją przycisnęła. Potem z głuchym jękiem, po którym krew na nowo buchnęła, padła na poduszki.

Pan Granowski pochylił się nad nią i w czoło ją pocałował. Pan Zagórski ze łzami w oczach całował jej obie ręce.

Gdy pan Granowski głowę podniósł, Czarnecka już nie żyła. Wszyscy ukłękli, aby zmówić modlitwę za umarłych.

W kwadrans później, pan Zagórski pędził z torbą w ślad za legatem papieżkim.

#### XIV.

Tragiczna śmierć Czarneckiej na mieszkańcach pałacu granowskiego głębokie zrobiła wrażenie. Każdy ją cenił dla jej pracowitości i cnót cichych, każdy na jej grobie gorącą łzę wylał.

Z wszystkich jednak najgłębiej odczuł jej śmierć pan Zagórski. Po pogrzebie, na który wrócił, dopędziwszy szczęśliwie zaraz nazajutrz legata papieżkiego, zamknął się w swoim pokoju i cały dzień się nie pokazywał. Gdy potem wyszedł, był smutny, zadumany, osowiały. Odtąd rzadko się uśmiechał, w wesołym towarzystwie nigdy się nie pokazywał, najchętniej po ogrodzie lub polach sam jeden chodził i coś z sobą rozmawiał.

Gdy pewnego razu pan Granowski zrobił mu uwagę, że wygląda jak desperat i z tego powodu robi się nieznośnym, odrzekł:

— Prawda, jasnie panie, ja sam to czuję, że już do niczego... Trzeba będzie pomyśleć jak żyć dalej... Za jej życia mniemałem, że ją tylko lubiał, i przyznam się jasnie panu, że odkąd dowiedziałem się, że ma męża byłbym sobie z nią chętnie poromansował. Teraz atoli, gdy tak pocziwie skoń-

czyła, widzę, że ją kochał... i szczerze wyznaję, że nigdy innej tak nie kochał.

— Poczciwa była kobieta, bardzo poczciwa! — pan Granowski dodał — i samo chcąc zginęła. Gdybyś acan był pojechał, lub kto inny, jak tego pragnąłem, ręczę, że byłoby się inaczej skończyło. Zawsze to, pysesku, co mężczyzna to mężczyzna, każdy z nas łatwiej da sobie radę w największym niebezpieczeństwie. Gdzie tam niewiastom brać się do takich rzeczy!

— I ja się nie wahałem, chciałem wtedy jechać...

— Prawda, pysesku, ale przecie pamiętasz, co mnie do tego głównie skłoniło, żeby ją posłać. Naszego legata odwoziłem do księcia, ten zaś miał go pchnąć dalej pocztą szlachecką. Kto więc mógł mi zaręczyć, pysesku, że posłaniec nie będzie potrzebował jechać za nim aż do Paryża?... Gdym usłyszał, że Czarnecka umie po francusku, nie mogłem się dłużej namyślać, acan bowiem ze swoją niemiecczyną byłbyś utknął w połowie drogi. We Francji, pysesku, nie tak jak u nas, tu się nawet po polsku rozmówisz, lecz tam wszystko po francusku!

— Ktoby to był przypuścił, że i po francusku umiała! — pan Zagórski zauważył.

— Rzeczywiście, pysesku, to rzecz szczególna!... Widać, że pochodziła z dobrego domu, bo otrzymała wychowanie staranne. A jaka w niej była skromność, pysesku! Tyle lat mieszkała z nami pod jednym dachem, a nigdy się nie pochwalila swoją francuzczyzną. Szkoda kobiety, wielka szkoda!

Tu urwała się rozmowa. Toczyła się ona w ogrodzie na przechadzce. Po jakimś czasie pan Granowski zapytał:

— I nie udało się dotąd acanowi odszukać żadnego śladu jej męża?

— Najmniejszego.

— A papiery po niej nie zostały?

— Żadne. Nie było ani jej metryki, ani metryki dziecka. Myślałem, że znajdę choć list jaki, lecz i tego nie było. Własnoręcznie poprzetrząsałem wszystkie jej suknie, nigdzie

ani świstka. Widocznie chciała, żeby jej tajemnica zstąpiła z nią do grobu.

— Musiała być bardzo nieszczęśliwa!...

Tak rozmawiając, doszli do małej łączki świeżo skoszonoj, po której biegało dzieci kilkoro. Były to dzieci sług dworskich, czyściutko lecz skromnie ubrane; bawiły się w obręcze. Zabawa była ochocza lecz i cicha; dziedzie bowiem jedynie pod tym warunkiem pozwolił im się tu zbierać, że nie będą krzyków robiły i krzewów psuły. Kto wie jednak czy zabawa szłaby tak wzorowo, gdyby nie dziewczynka dziesięcioletnia, która swoje towarzyszkę często upominała, by się spokojnie zachowywały.

Mała ta nauczycielka miała na sobie czarną, żałobną sukienkę, z krótkimi rękawami, nad czołem w bujnych a złotych włosach czarną wstążkę, na szyi czarną tasiemkę z krzyżykiem. Twarz, szyja i ręce były śnieżnej białości.

Pan Granowski stanąwszy przy łące, przypatrywał się z zadowoleniem wesolej drużynie. Za lat młodszych, nie pragnął życia rodzinnego i dzieci nigdy mu na myśl nie przychodziły; dziś jednak było inaczej. Odkąd na głowie tu i ówdzie zaczęły pokazywać się siwe włosy, robiło mu się na sercu tęskno a w piersi duszno, i niekiedy zdawało się nawet, że go jakaś obawa ogarniała, której ani rozumiał, ani mógł się tak łatwo pozbyć. Wtedy w ogromnym swoim pałacu, mimo tłoku sług i licznych gości, czuł się osamotnionym, i nieraz wśród najweselszej zabawy nie mógł zdobyć się na uśmiech szczery.

Żyjąc ciągle gorączkowym życiem kraju, odbierając często tajne odezwy i przyjmując emisariuszów, nie miał czasu, a może i chęci zastanawiać się nad tym stanem; wszakże zdaje się, że byłby bez trudności zrozumiał i wytłumaczył swój smutek, gdyby o jego powody zapytał się był kiedy duszy swojej przy małych dzieciach. Wtedy byłaby mu powiedziała: Smutnyś, boś sam; bo zaciągnąwszy dług wobec tamtu na świat przychodząc, nie spłaciłeś go w równą rze; bo mając obowiązki względem ojczyzny, nie z Paryża należycie, gdyż krajowi nie zostawiasz

tując ród starożytny, dopuściłeś, żeby na tobie wygasł; bo jako człowiek mający prawo do szczęścia, dobrowolnie skazałeś się na nudną samotność; bo zamiast być drzewem urodzajnym, zostałeś suchą gałęzią, która dopiero wtedy pożytek przyniesie, gdy ją w ogień wrzucą i spalą!

Tak byłoby mu sumienie odpowiedziało, on jednak żadnych pytań mu nie zadawał, i tylko tyle wiedział, że na widok drobnych dzieci ogarniało go teraz zawsze jakieś rzewne uczucie.

— Stasiu! — zawołał.

Dziewczynka obróciła się jak wrzeciono.

— Chodź tu, pyseńku!

Dziecko rzuciło obręcz i szpadę i jak sarenka szybko do niego przybiegło. Chwyciwszy opiekuna za rękę ucałowała ją serdecznie, i swobodnie w oczy mu spojrzała. Śliczne to było dziecko, pełne życia i temperamentu, o liczkach rumianych i oczach jak niebo promiennych. Po stracie matki oczy te płakały dzień, drugi i trzeci, wszakże powoli smutek się ukoił, boć w latach dziecięcych wszystko prędko mija!...

Pan Granowski czoło jej pogładził.

— Jesteś trochę spocona... uważaj, pyseńku!

— Ja uważam, proszę jaśnie pana.

— Cóż to, znowu jaśnie pan? A nie mówiłem ci, pyseńku, że jestem twoim wujkiem, i że odtąd masz mnie tak nazywać? Jak mi raz jeszcze powiesz inaczej, zobaczysz, że doprawdy będę się gniewał!

— Przepraszam wujcia — odpowiedziała, znowu w rękę go całując.

— No, pamiętaj, a wieczorem przyjdź jak zwykle na lekcję historii.

Ktoby się był spodziewał, że pan Granowski zostanie nawet nauczycielem. A jednak tak było. Od kilku dni uczył Stasię historii Polski, którą wcale dobrze umiał, dziecko zaś miało pamięć i umysł tak rozwinięty, że do Jagiellonów już wszystkich królów. Ale Stasia uczyła się nie cka. My historii polskiej. Przed tygodniem przyjechała Własnoręcznie szeptem, rozumna i dystygowana, która

zaczęła jej udzielać wszelkich nauk. Odtąd Stasia mieszkała z nią razem. Przedtem inaczej było. Gdy po śmierci matki bała się siedzieć w dawnym mieszkaniu, pan Granowski trzymał ją po całych dniach w swoim pokoju, i bawił to opowiadaniem, to pokazywaniem obrazków w książkach. W nocy zaś odprowadzał ją sam do pokoju klucznicy, z którą spała. Raz zdarzyło się nawet, że gdy w godzinę po odprowadzeniu dziecka, gdzieś na korytarzu spotkał klucznicę, natychmiast poszedł do jej pokoju, zkąd wybiegł oburzony i zawołał:

— Niech mi aśka dziecka samego nie zostawia, bo będzie źle! Właśnie było odkryte, mogło się przeziębic... Pamiętaj aśka, żeby to było ostatni raz!...

Legat papieski, o którym pan Granowski dotąd nie wiedział, jak się właściwie nazywał, nie pokazał się więcej, ale mimo to stosunki jego z Granowem nie ustały. Jak tylko do Paryża przyjechał, przez pierwszego emisariusza, który ztamtąd do Galicji został przysłany, zgłosił się listownie. Pisał, że szczęśliwie dojechał, że torbę z papierami odebrał, że sprawa pomyślnie się rozwija, i godzina wybuchu niedaleka. Wraz z listem przysłał sporą paczkę broszur, odezw, proklamacyj, wydanych przez towarzystwa i komitety emigracyjne. Ten, co je przywiózł, nadmienił ze swej strony, że organizacja już rozpoczęta, i wkrótce przyjdzie do ogólnego powstania.

Usłyszawszy to pan Granowski, z radości ręce zatarł.

— Chwała Bogu, pyseńku! — rzekł, emisariusza za szyję obejmując — że już długo czekać nie będziemy. Zobaczą te pluchy niemieckie po czemu łokieć! Nalali nam dosyć sadła gorącego za skórę, teraz oddamy im z procentem. A nie zapominajcie tylko, pyseńku, o mnie... Przecie byłem porucznikiem w ułanach, więc i na wojnie coś się tam rozumiem.

Chociaż co do tego punktu emisariusz nie dał mu żadnego przyrzeczenia, tem się zastaniając, że nominacje nie do niego należą, mimo to musiał swoją rozmowę wiernie tam powtórzyć, gdzie o losach kraju stanowiono, skoro w trzy miesiące po jego bytności pan Granowski otrzymał z Paryża

nominację na naczelnika swego obwodu, podpisaną przez głównych kierowników ruchu rewolucyjnego.

Pochlebiało to naszemu przyjacielowi, zachęcając go jeszcze bardziej do agitacji, która według jego mniemania musiała być dobra i rozumna, skoro jej przewodcy o nim nie zapomnieli.

Pewnego dnia, nie przez umyślnego emisariusza, lecz za pośrednictwem jednego z dalszych sąsiadów, który w przygotowującym się ruchu miał także wybitniejszą rolę odegrać, pan Granowski otrzymał list następujący:

„Wielce szanowny Panie Bracie!

„Chwila stanowcza zbliża się szybkimi krokami. Naród nasz wspólny z innymi ludami Europy, które jęczą pod jarzmem despotyzmu, potarga kajdany, które go krwawią. Im bliższą atoli ta chwila, tem świętszy mamy obowiązek pamiętać o tych wszystkich, którzy zdolnościami i poświęceniem mogliby nam wielkie oddać usługi, gdyby tylko teraz byli wolni. Wiecie szanowny Panie Bracie, ilu dzielnych naszych braci jęczy w więzieniach austriackich, zwłaszcza w twierdzy Kufstein, w Tyrolu. Ponieważ obowiązek nakazuje nam wszelkich sił użyć, by ich ztamtąd uwolnić, przeto Wam, wielce Szanowny Panie Bracie, którego gorący patriotyzm jest nam dobrze znany, poruczymy to trudne lecz zarazem szlachetne przedsięwzięcie. Jak tylko okoliczności Wam pozwolą, choćby nawet nazajutrz po otrzymaniu niniejszego listu, zbierzecie ile się da gotówki i pojedziecie do Insbruku, gdzie się zgłosicie do adwokata S. Ten Wam powie co dalej czynić. Aby podejrzeń nie budzić, jedźcie sami bez wielkiego dworu. Dobre konie będą jednak potrzebne. Polecenie niniejsze wydaję w imieniu Centralizacji. Poruczam was i naszą sprawę Bożskiej opiece. Wasz brat — Legat papieski“.

U spodu znajdowała się data i pieczęć Centralizacji.

— Cóż ty na to, puseńku? — zapytał, pokazując list panu Zagórskiemu.

— Widać, że jaśnie pan ma ich całe zaufanie, skoro mu taką misję poruczają.

— I ja tak sędzę... Trzeba więc jechać, puseńku, tylko kłopot będzie z pieniędzmi. Właśnie wczoraj mówił mi ple-nipotent, że goni ostatekami... ale jakoś to już będzie! W naj-gorszym razie sprzedamy kawał lasu, lub który z gorszych fę-warków. Rzecz naturalna, puseńku, że takie zadanie będzie wymagało większej gotówki, ale niech będą spokojni! Już ja im z pewnością wszystkich uwolnię, a w razie potrzeby zabiorę nawet całą załogę.

— Niech jaśnie pan nie zapomina tylko o paszporcie, bez którego teraz za próg nie można się ruszyć.

— Prawda, puseńku, o paszport trzeba się zaraz jutro zacząć starać.

— Żeby jeno starosta nie robił jakich trudności — pan Zagórski zauważył.

— Dlaczego miałby robić trudności, puseńku?! Powiem mu żem chory na piersi i do Meran jadę. W razie potrzeby dam mu sto świadectw lekarskich.

— Dobra myśl, jaśnie panie... Wszakże gdyby to nie pomogło, i on podejrywał, w takim razie niech jaśnie pan przekupi tego Zajęca, który tu tyle razy przyjeżdżał na rewizję. Za dwa dukaty ten człowiek wszystko zrobi. A ma on wielkie wpływy w cyrkule!

— Dam mu nawet dziesięć, puseńku. Dobrze żeś mi to acan powiedział, jak do miasta pojedziemy, dam ci pieniądze dla tego łotrzyka.

— Ja jaśnie panie nie mogę się podjąć pośrednictwa.

— Czemu?

— Bo bym prędzej popsuł niż naprawił... My z panem Zajęcem jesteśmy na bakier, bom mu tam kiedyś flaszka głowę na bakier przekrzywił... Najlepiej będzie, jeśli Jaśnie pan weźmie z sobą arendarza. Żyd łatwiej do niego trafi.

— Niech i tak będzie, puseńku.

Pan Zagórski jakiś czas milczał, potem zaczął chrząkać, kaszleć, wreszcie tak przemówił:

— Jaśnie pan pojedzie do Kufsteinu, gdzie dla kraju będzie pracował, ja zaś w takim samym celu, postanowiłem udać się w inną stronę.

— W jaką, pysenku?

— Do Łowicza.

— A tam po co, pysenku?

— W Łowiczu, jak jaśnie panu wiadomo, jest seminarjum księży unickich.

— Wiem, pysenku, wiem! Biskup tamtejszy jest nawet m im dobrym przyjacielem, byliśmy razem u Jezuitów. Ale jak to dobrze, że mi się nie chciało uczyć tak jak jemu, bo kto wie, czy dziś nie musiałbym być także biskupem.

Pan Zagórski uśmiechnął się i tak dalej mówił:

— Jeśli pan dobrze sobie przypomina, to legat papieżki pierwszy, a po nim wszyscy emisariusze jedno i to samo powtarzali, mianowicie, że przygotowania do ruchu dla tego się opóźniają, że nie możemy liczyć na chłopca ruskiego.

— Przypominam sobie pysenku, lecz co to ma wspólnego z Łowiczem?

— Zaraz powiem... Jako człowiek, który radby sobie starość zabezpieczyć; jako samotnik, który coraz bardziej od ludzi stroni; przedewszystkiem zaś jako Polak, który dla ojczyzny chce się poświęcić, postanowiłem jechać do Łowicza i wstąpić do seminarjum.

— Aby zostać popem, pysenku? Czyś oszalał acan?

— A mnie się zdaje, jaśnie panie, że na tej drodze największe usługi oddam krajowi. Jako ksiądz ruski, będę w duchu polskim pracował między ludem, a może zostanę kapelanem w jakim pułku ruskim. Wtedy działalność moja byłaby jeszcze skuteczniejsza.

Tu zaczął pan Zagórski szczegółowo swój plan rozbiierać i tak zrećnie podnosił jego strony dodatnie, że w końcu pan Granowski nie mógł mu nie przyznać słuszności.

— Może to i nie zła myśl, pysenku, ale zastanów się nad jedną rzeczą. Tu rewolucja za pasem, acan zaś dopiero za lat kilka księdzem zostaniesz. Będzie to musztarda po objedzie.

— O ile mnie się zdaje, jaśnie panie, do wybuchu nie przyjdzie jeszcze tak prędko, organizacja bowiem dotąd nieukończona... Ja zaś, jeśli mi jaśnie pan da list polecający do

księdza biskupa, za dwa lata mogę być księdzem. Przecie człowiek czegoś się tam uczył, więc nie będę potrzebował długo ślęczeć nad książkami... zresztą i po rusku trochę umiem, matka bowiem moja była rusinka, Terlecka. Ale choćby nawet powstanie w tym czasie wybuchło, to bez jednego żołnierza będzie tu wojna, ja zaś potem z pewnością więcej Rusinów na Polaków przerobię, niżbym Niemców na tamten świat wyekspedjował.

Ostatni argument był dla pana Granowskiego najważniejszy. Powstał i położywszy rękę na ramieniu pana Zagórskiego, rzekł:

— Skoro dla dobra kraju chcesz acan na starość nawet popem zostać, niech cię więc Bóg prowadzi, pysenku. List do biskupa dostaniesz, boś sobie acan zasłużył na najlepszą rekomendację. Widzę, że teraz sam zostanę, ale może nie długo, bo kto wie, pysenku, co nam jutro przyniesie!...

## XV.

— *Herein!* — zawołał starosta Westermann, na drzwi nie patrząc, do których ktoś zapukał. Tak był zajęty czytaniem aktów przed nim leżących, że nawet aie widział jak Zając do kancelarji wsunął się i przy drzwiach stanął. Postrzegł go dopiero, gdy ten chcąc uwagę starosty zwrócić na siebie, chrząknął raz i drugi.

Starosta głowę podniósł.

— A! to pan!... Czego chcesz panie kancelisto?

Zając cichutko, ledwie palcami podłogi się dotykając, naprzód postąpił i zatrzymał się dopiero przed stołem swego pryncypała. Od owej nocy pamiętnej, kiedy to cwałem do miasta wracał, prawie nic się nie zmienił. Chyba twarz jeszcze więcej mu pożółkła, i spojrzenie zrobiło się bardziej demoniczne. Schylił głowę pokornie, i udając że się uśmiecha, rzekł:

— Mam sprawę delikatną...

— Byle nie jakie nowe głupstwo!

— Ręczę, że to rzecz ważna.



— Pan zawsze ręczysz, a potem okazuje się, żeś głupi jak noga stołowa! Ja nigdy nie zapomnę historii z legatem papieżkim. Całowaliście go po rękach i przed nim klękali. a to był Teofil Wiśniowski, tak jest, sprawiedliwy Wiśniowski! I gdyby się choć na tem było skończyło! Tymczasem ja piszę o wszystkim do gubernjum, lecz zamiast pochwały, we dwa tygodnie dostaję nosa na sążeń długiego. I kto temu winien, jeśli nie pan!

Starosta już niejednokrotnie takie wymówki robił kanceliście. Z początku Zajac zastawiał się komisarzem, z którym był wówczas w Granowie, na niego całą odpowiedzialność zwalając; gdy atoli nie pomagało, postanowił odpowiadać biernem milczeniem. Tak samo i teraz postąpił. Starosta gniewał się, wykrzykiwał, on zaś stał milczący, z głową schyloną, niewluny, jakby trzech nie umiał zliczyć. I w końcu zwyciężył przełożonego. Starosta ulżywszy swemu sercu, zapytał już znacznie spokojniej:

— Więc mów pan z czem przychodzisz?

— Granowski żądał dziś pasportu do Tyrolu.

— I dostał go.

— Mnie się zdaje, że twierdzenie jego, jakoby dla zdrowia potrzebował kilka miesięcy w Meran spędzić, było zmyślone...

— Mnie się tak samo zdawało, i dla tego nie chciałem mu wydać pasportu, pan jednak jeszcze dziś rano tak gorąco za nim przemawiałeś, że musiałem ustąpić. Teraz przychodzisz z czemś zupełnie nowem... Panie kancelisto, co to ma znaczyć?

Zajac uśmiechnął się ironicznie i tak odpowiedział:

— Nie dać pasportu to nie wielka sztuka, ale dać i niebezpiecznego rewolucjonistę złapać na gorącym uczynku, oto piękne zadanie!

— Więc pan sądzisz?...

— Że Granowski nie bez powodu jedzie do Tyrolu. Przecie pan starosta wie, że ta i jest Kufstein, dokąd wysoki rząd kazał wywieźć tak niebezpiecznych rewolucjonistów, jak: Zaliwski, Zaboklicki, Słotwiński, Borkowski i inni.

Kancelista rozmyślnie urwał w tem miejscu. Starosta, którego zajęcie wzrastało, zapytał:

— Co więcej?

— Z wszystkich stron szpiegi nam donoszą — Zajac ciągnął — że dzień wybuchu zbliża się... Jeśli to prawda — a że tak jest, o tem wątpić nie możemy — więc czy da się to pogodzić ze zdrowym rozumem, aby taki polski patrijota, jak Granowski, który jedynie dlatego jeszcze w twierdzy nie siedzi, żeśmy go dotąd nie złapali na gorącym uczynku, aby taki człowiek, powtarzam, w przededniu rewolucji wyjeżdżał aż do Meran li dla zdrowia?... On ma inne plany...

— Jakie plany mógłby mieć? — starosta przerwał.

— Albo na granicy chce się porozumieć z rewolucjonistami, którzy z Francji przyjadą, lub też do Kufsteinu wstąpi... W każdym razie wizyta jego w tem miejscu nie byłaby bez celu...

Starosta nie mógł w duchu nie przyznać, że przypuszczenia kancelisty mogły być uzasadnione. Nagła podróż pana Granowskiego wydawała się i jemu od początku podejrzaną.

— Może być, że masz pan rację — rzekł — aby więc sparaliżować jego złe zamiary, wysłę zaraz sztafetę do Wiednia. Niech ztamtąd za nim wysłę ajenta.

Zajac westchnął.

— W taki sposób drudzy będą zbierali owoce naszej pracy. My im pieczeń wyszukamy i pokażemy, a oni ją tylko zjedzą. Za to dostaną jeszcze nagrodę, ordery.

Słowa te niemile starostę dotknęły.

— Co pan więc myślisz? — krótko zapytał.

— Jabym mniemał, że w ślad za Granowskim pan starosta powinien wysłać człowieka zaufanego, któryby go z oka nie spuszczał. Jeśli będzie połów, niech pan starosta z niego korzysta.

— Myśl nie zła... Ale kogo by tu wysłać? Nie łatwa to sprawa znaleźć człowieka odpowiedniego.

— Ja pojadę.

— Pan?

— Tak jest, ja.

— A przecie Granowski zna pana osobiście, więc łatwo będzie się mógł ciebie ustrzedz.

Zajac z lekceważeniem ręką machnął:

— Że się nie ustrzeże, za to gardłem ręczę... Zresztą, potrafię się tak przebrać, że mnie sam pan starosta nie pozna?

— Doprawdy? Radbym to widzieć. A teraz bądź zdrów panie kancelisto, i przyjdź do mnie wieczorem. Ja tymczasem pomyślę... Bardzo być może, że coś zrobimy.

Starosta nie mógł dać Zajacowi stanowczej odpowiedzi, wpiersz się żony nie poradziwszy. W sprawach wielkiej wagi pani Emma była męża wyrocznią. Tak się i teraz stało. Przy obiedzie opowiedział jej wszystko szczegółowo, i dopiero gdy ona kancelisty plan pochwaliła, on także nań się zgodził.

Wieczorem starosta siedział jak według zwyczaju w aktach zatopiony, gdy do kancelarii wsunął się żydek. Stał przy drzwiach i staroście, który mu się przypatrywał, kilkakrotnie ukłonił się jarmułą do ziemi. Starostę wielce to zgniewało. Umiejąc szanować wysoki swój urząd, nie pozwalał by do niego ktokolwiek wchodził bez anonsowania, tem mniej żydzi, których nie cierpiał. Gniewnym ruchem ręki zadzwonił na woźnego.

— Czego ten parch tu chce! — zawołał.

— To pan kancelista Zajac — odpowiedział woźny.

Starosta nie wierzył swoim oczom. Powstał, zbliżył się do Zajaca i z ciekawością ze wszystkich stron go oglądał. Coś doń przemówił. Kancelista odpowiedział głosem tak zmienionym i takim żargonem, że pan Westermann nie mógł wstrzymać się od okrzyku zadowolenia:

— Ależ doskonale! Świetnie! Teraz widzę, że pana nie pozna... Zaraz ci dam assygnatę do kasy. Bądź zdrów panie kancelisto i jedź z Bogiem.

Zajac wyszedł uradowany.

Nazajutrz rano, na gościńcu krakowskim widziano poczwórny kolosę pana Granowskiego, za którą chłopak stajenny prowadził drugą czwórkę. Konie przez wzgląd na daleką drogę

szły wolnym kłusem. O jakie pół mili za kolosą toczył się wózek jednokonny, na którym żyd siedzący „boruchy“ odmawiał.

Pan Granowski był zamyślony. Cokolwiek bądź, zadanie, które mu powierzono, nie należało do łatwych. Stokroć chętniej byłby baterję zdobywał, niż puszczał się na przedsięwzięcie, wymagające nie tyle odwagi ile przezorności. Znając siebie, wiedział, że mu łatwiej o zuchwałość, niż o krew zimną. Dopóki godzina odjazdu nie była jeszcze wyznaczoną, zdawało mu się, że wszystko pójdzie jak z płatka, ale odkąd w zamkniętej kolosie znalazł się sam na sam, głęboko się zadumał.

Krom tego, wyjazd z domu był dlań połączony z wielką przykrością. W ostatnich czasach rzadko z Granowa wyjeżdżał, i zawsze do kilku dni wracał do domu; przeciwnie teraz wybrał się w drogę, która w najlepszym razie miała trwać przeszło miesiąc, na przypadek zaś zbiegu nieprzyjaznych okoliczności, mogła się niezmiernie przeciągnąć. I mniejszy byłby jego smutek, gdyby dom opuszczając, tak samo jak dawniej nie zostawiał był w nim nikogo, po kim by tęsknił. Teraz atoli nie mógł tego powiedzieć. Do małej Stasi przywiązał się jak do dziecka własnego, ona też była tym magnesem, który go do domu ciągnął, ona tem wspomnieniem, które w nim tęsknotę budziło.

W miarę jak kolosa toczyła się coraz dalej, pan Granowski powoli z smutku się otrząsał, a gdy do Krakowa dojechał, już tylko o tem myślał, co dla dobra kraju wkrótce miał spełnić.

W Krakowie wypoczął ledwie dzień, we Wiedniu dwie doby. Wreszcie zmęczony stanął w Insbrucku, gdzie niezwłocznie zgłosił się do adwokata S.

Ten przyjął go otwartymi rękami jak dobrego znajomego. Był to człowiek wolnomyślny, należący do rewolucyjnego stronnictwa niemieckiego, które, pracując nad złamaniem tyranji u siebie, zostawało w ciągłych stosunkach z obozami rewolucyjnymi innych krajów, a więc i z Centralizacją polskiej emigracji. Powiedziawszy panu Granowskiemu, że w samym Kufsteinie znajdzie ludzi we wszystko wtajemniczonych, któ-

rzy go pouczą, w jaki sposób będzie mógł najłatwiej uwolnić polskich więźniów, dał mu do nich listy, i prosił, żeby Innsbruck coprędzej opuścił, dłuższy bowiem jego pobyt w tem mieście mógłby nań zwrócić uwagę policji, która właśnie podówczas była bardzo czujną.

— W Kufsteinie — kończył adwokat — dowódcą twierdzy jest pułkownik, człowiek gładki i trochę hulaka, który lubi wesołe towarzystwo. Z nim trzeba się będzie poznać. Gdy pan tam już będziesz, aby tem łatwiej odwrócić od siebie podejrzenie, powiedz mu otwarcie, żeś przyjechał więźniów odwiedzić. Co dalej czynić wypadnie, to panu powiedzą nasi przyjaciele.

Pan Granowski Niemca pożegnawszy, jeszcze tego samego dnia do Kufsteinu odjechał. Wsiadając do karety, widział wprawdzie, że jakiś jegomość z dużemi bokobrodami z hotelu wyszedłszy, bacznie mu się przypatrywał, lecz to go bynajmniej nie uderzyło. Gdyby więcej był przezornym i choć trochę podejrzliwym, to w ciągu swojej podróży z Krakowa do Wiednia byłby nieraz zauważył żydka galicyjskiego, który jadąc to wózkiem, to bryką, to dyliżansem, stawał zawsze w tym samym co on zajeździe, i raz wdał się nawet w rozmowę z jego służbą. Dopiero we Wiedniu żydek zniknął, za to gdy pan Granowski wyruszył gościńcem, do Tyrolu prowadzącym, w ślad za nim jechał jakiś Niemiec z dużemi bokobrodami i szkatułką pod pachą, w której miał próbki różnych towarów. Był to więc komiwojażer, wysłany przez jakąś fabrykę wiedeńską, celem zawiązania stosunków na prowincji.

Na dolinę, przez którą rwący Inn płynie, wieczór już zapadł, i tylko szczyty gór tyrolskich jaśniały jeszcze żółtawym blaskiem słońca zachodzącego, gdy kolasa polskiego magnata zatrzymała się tuż przy strażnicy, stojącej przed urzędem kamiennym. Przed strażnicą widać było kilku grenadierów, w ogromnych czapkach niedźwiedziach zwanych „bermicami“. Wkrótce pojawił się sierżant i o pasport zapytał. Gdy go pan Granowski wręczył, porównał rysopis z twarzą podróżnego, potem żołnierze z wszystkich stron ogładnęli i obmacali kolosę, ażali w sobie czego podejrzanego nie zawiera,

239.

w końcu, po opłaceniu myta, pozwolono mu do miasta wjechać.

W kilka minut nasz przyjaciel wysiadł w pierwszym hotelu, podziwiany przez gawieź niemiecką. Zbiegła się ona ze wszystkich stron, aby zobaczyć *einen polnischen Grafen*, który miał z sobą czterech ludzi i ośm koni. Dla miasteczka, liczącego niespełna 2.000 mieszkańców, przyjazd takiej osobistości był czemś tak niezwykłym, że w pół godziny wszyscy o tem wiedzieli. Nie dziw też, że nim nasz przyjaciel miał czas rozpakować się i zjeść kolację, już go odwiedził i dał mu się poznać jeden z tych, do których adwokat S. wręczył mu był listy polecające. Pan Granowski wnioskował ztąd, że organizacja musi być wzorowa, skoro wszyscy o sobie wiedzą i za ręce się trzymają.

Nasz przyjaciel zajął w hotelu na pierwszym piętrze trzy pokoje. Dziwnym zbiegiem okoliczności, ów komiwojażer z gęstemi bokobrodami, który za nim aż tu zajechał, otrzymał także na pierwszym piętrze mały pokój przytykający do jego apartamentu.

Gdy na drugi dzień pan Granowski, wstawszy wczesnie i rozmówiwszy się sekretnie z tymi, którzy mieli mu być pomocni, wyszedł do miasta, dziwnie smutne ogarnęło go uczucie. Okolica była prześliczna, słońce lipcowe jasno świeciło, na niebie szafirowem nie było jednej chmurki, a wśród tej okolicy, w blasku tego słońca, na tle tego nieba, rysowała się w górze nad miasteczkiem twierdza, mająca w środku wieżę ogromną z kamienia ciosowego, na której szczycie było więzienie stanu. Tam jęczeli ci, których czcił jak bohaterów, tam jęczał jego przyjaciel, pan Konstanty Słotwiński.

Pan Granowski stał długo, wpatrując się w twierdzę, do której wstępowało się po olbrzymich schodach kamiennych, mających przeszło dwieście stopni; potem westchnął, i łzę obtarłszy, która mu się gwałtem do ocz cisnęła, poszedł do kościoła, aby Bogu podziękować, że go szczęśliwie tu przyprowadził i prosić go o błogosławieństwo na przyszłość.

## XVI.

Nierównie lepiej zaczęło się wszystko panu Granowskiemu układać, niż się spodziewał. Do trzech dni poznał dowódcę twierdzy, wesołego pułkownika, i odrazu zjednął sobie jego sympatję. Pułkownik pochodził z mieszczan, ale do szlachty miał słabość, i wielce mu pochlebiało, jeżeli jaki *Graf* lub *Ritter von* poczytywał go za równego sobie. Nasz przyjaciel uprzedzony o tem przez tych, którzy jego krokami kierowali, pierwszego zaraz dnia chwycił pułkownika za seree, wśród rozmowy bowiem zaczął mu mówić *Herr Kolega, Lieber Freund* i tym podobnie. Gdy stanął z nim na stopie poufałej, nadmienił mu raz niby odniechcenia, że radby pewnego więźnia zobaczyć. Pułkownik odpowiedział, że to niemożliwe, ponieważ sprzeciwia się instrukcji. Nasz przyjaciel nie dał atoli za wygrane i nazajutrz wrócił do tego przedmiotu. Gdy i tym razem odmowną odpowiedź otrzymał, dał dwa dni pokój i dopiero trzeciego dnia po kilku butelkach szampana, znowu coś o tem nadmienił. Tym razem pułkownik nie był już tak uparty jak dawniej.

— Możeby to się i dało zrobić — rzekł — lecz boję się panie hrabio, żeby nie przyszło do jakiej sceny... Ci ludzie gotowi płakać, desperować.

— Nie lękaj się niczego, kochany przyjacielu — pan Granowski odpowiedział. — My Polacy umiemy poświęcać się i cierpieć w cichości. Zresztą ten, dla którego głównie tu przyjechałem, pycseńku, należy do ludzi tak dzielnych, że obadwa możemy na niego liczyć.

— Któryż to?

— Słotwiński.

— Masz rację, panie hrabio, to dzielny człowiek! Czy dałbyś pan wiarę, że on ze swojej celi zrobił sobie obserwatorium astronomiczne, z kądem biegu gwiazd śledzi? To formalny uczony!

— Więc tem prędzej pycseńku, powinienbyś mi pozwolić odwiedzić biedaka, przecież wiesz, że im bardziej człowiek uczony, tem mniej niebezpieczny.

— No tak, panie hrabio, lecz boję się, żebyście panowie nie chcieli rozmawiać po polsku, a ja tego języka nie rozumiem.

— Pod tym względem możesz być spokojny, pycseńku. Daję ci słowo, że będę mówił tylko po niemiecku, chociaż przyznam ci się otwarcie, kochany pułkowniku, że już nieraz bałem się, żeby mi się tu na niemiecczyźnie język nie złamał.

— Jeżeli mi słowo dajesz kochany hrabio, w takim razie sam cię zaprowadzę do celi Słotwińskiego, innym zaś więźniom każę zebrać się na korytarzu, żebyś ich choć przechodząc zobaczył. Ja przecie nie jestem wrogiem ludzkości, lecz moja instrukcja jest niemiłosierna. Nieraz chciałoby się coś zrobić dla tych biedaków, człowiek jednak boi się podejrzeń, denuncjacji... Przyjdź pan za godzinę do mej kancelarii.

Powyższa rozmowa toczyła się w hotelu po objedzie. Gdy pułkownik odszedł, nasz przyjaciel z gorączkowym niepokojem przeczekał godzinę i z uderzeniem piętej udał się za nim do twierdzy.

Serce w piersi młotem mu biło... A więc wkrótce miał przyjaciela zobaczyć!...

Wszedł po schodach i minawszy cytadelę, znalazł się u stóp tej wieży z kamienia, na której szczycie byli więźniowie zamknięci. U jej spodu znajdował się arsenał z wielkim składem amunicji. Pułkownik, który tu czekał, wziął go pod ramię. Zaczęli na górę wstępować. Po drodze pułkownik mówił:

— Przykro mi kochany hrabio, że przyjaciela swego nie zastaniesz tak jak byś się może tego spodziewał, lecz nie moja w tem wina. Jeden z poprzedników moich był bardzo dobry, nawet słaby, i za jego to bytności więźniowie mieli wszelkie ugi. Zdjął im kajdany, pozwolił nosić własne suknie, co dzień na parę godzin wolno im było schodzić się na wspólną rozmowę, czytali książki, gazety, grywali w karty, słowem było im jak w niebie... Ale Polacy, kochany hrabio, są zawsze lekkomyślni. Ponieważ było im dobrze, więc zapragnęli jeszcze większej wolności i zaczęli robić przygotowania do ucieczki. Kierownikiem był smarkacz, nazywa się Roliń-

ski, leży on właśnie chory i kto wie czy wyjdzie... Otóż ten człowiek wszystko już był przygotował, rzecz się jednak wydała, i odtąd nierównie im gorzej.

— Gdybyś jednak chciał, kochany pułkowniku, mógłbyś dla nich przecie coś uczynić.

— Kochany hrabio, ja tu nic nie mogę... Nie tylko dali mi surową instrukcję i kazali ślepo jej się trzymać, lecz w dodatku przysyłają mi jeszcze z Insbruku generała na inspekcję. Wpada najczęściej, gdy się go najmniej spodziewam, i niechy zobaczyć coś takiego, co się przepisom sprzeciwia, mógłbym pójść na pensję.

Tak rozmawiając, weszli na szczyt wieży. Znajdowali się na obszernym kurytarzu, na którym był odwach dla warty. W okrag wieży widać było kilkanaście drzwi żelaznych; prowadziły one do tyłuż cel więziennych.

Pułkownik kazał dozorcę przywołać. Po chwili klucz zgrzytnął, dozorca otworzył drzwi najprzód jedno, potem drugie, i pan Granowski ujrzał się w izdebce, mającej sześć kroków długości, a cztery szerokości, którą skąpo oświetlało okienko silnemi kratami opatrzone, i w dodatku od dołu koszem zasłonięte,

Przed stołem, na którym otwarta książka leżała, stał więzień, twarzą do okna odwrócony. Miał na sobie strój aresztancki, na rękach i nogach ciężkie kajdany. Włosy opadały mu na ramiona, długa broda robiła go podobnym do modlącego się pustelnika. Chociaż słyszał, że ktoś wszedł do celi, nie odwrócił się... śnać miał czas przywyknąć do częstych odwiedzin. Uczynił to dopiero wtedy, gdy pułkownik głośno przemówił:

— *Herr von Slotwiński*, przyprowadzam panu przyjaciela.

Więzień pojrzał, o krok się cofnął, jakby swoim oczom nie wierzył, a potem z brzękiem podniósł ręce do góry, i padł w rozwarłe ramiona pana Granowskiego.

Chwilę tak stali, słowa ze wzruszenia nie mogąc przemówić. Dopiero pan Granowski, zapomniawszy o danem przyrzeczeniu — rzekł pierwszy po polsku:

— Przecie cię widzę, drogi Kostusiu!

— Po niemiecku, panie hrabio, po niemiecku! — przerwał mu pułkownik.

— Przepraszam cię, panie pułkowniku — po niemiecku odpowiedział — ale wzruszenie pamięć mi odebrało. Nie dziw się pan, ja tak go kocham, a nie widzieliśmy się lat tyle! Ot siądźmy na twoim tapczanie i pogawędźmy trochę.

Usiedli, jeden drugiego wziął za rękę, poczem zaczęła się rozmowa dla pułkownika obojętna, lecz rozkoszna dla więźnia, który prócz swoich towarzyszków niedoli, od lat już tylu żadnego z rodaków nie widział. Pan Granowski przywoził mu wiadomości od dzieci, z którymi skomunikował się przed odjazdem, i o ile to się dało, w słowach na pozór obojętnych, których istotne jednak znaczenie więzień łatwo odgadywał skreślił mu obraz teraźniejszych stosunków w kraju.

Pan Slotwiński opowiedział mu nawzajem, że przez okno swojej celi uczy się astronomji, i że otrzymując do czytania książki tylko religijne, tak się przejął ich duchem, że zębem odłamanym z rogowego widelca, napisał lub raczej wycisnął na marginesie Ewangelji poemat religijny o 21 pieśniach p. t.: „Zbawienie świata.“ Prócz tego ułożył kilkaset sonetów, które w ten sam sposób spisał. Pan Granowski chciał to zobaczyć; przyjaciel podał mu książkę na stole leżącą. Wprawdzie na marginesie widział znaczki głębokie, były one atoli tak drobne, że mimo wzroku dobrego, nie mógł ich gołym okiem odczytać.

— Przekonaj się przyjacielu — rzekł pan Slotwiński — czego to w samotności człowieka może się nauczyć... Nie tylko ducha swego religijnie nastroi i do Boga podniesie, lecz nawet wzrok swój poprawi, by łatwiej mógł prawdę dojrzeć i zrozumieć...

Gdy pułkownik dał znak ręką, że czas skończyć rozmowę, więzień oko badawcze wlepił w swego przyjaciela, jakby go chciał spytać:

— Powiedz mi prawdę, po coś właściwie tu przyjechał?

Pan Granowski starał mu się odpowiedzieć nie tyle wzrokiem, co ręki uściśnieniem. Musiał go więzień zrozumieć,

skoro gorzko się uśmiechnął i głową potrząsł załośnie. Wszak pamiętał, jak się skończyły zabiegi Rolińskiego i wiedział, jak teraz są strzeżeni!

Pożegnali się długim uściskiem i łzami gorącymi.

Podczas gdy przyjaciele rozmawiali, pułkownik szepnął dozorczy, żeby innym więźniom kazał zebrać się na korytarzu.

Gdy pan Granowski wyszedł z celi, ujrzał ich szereg. Wszyscy mieli brody i włosy długie, każdy był blady, i każdego oczy z głębokich jam wyzierały jak gasnące węgle z popiołu. Na ich widok, nasz przyjaciel zawahał się, nie śmiejąc naprzód postąpić. Potrzebował chwilę odpoczynku.

— Mogę z nimi pomówić? — zapytał pułkownika.

— Nie wolno! — odpowiedział.

Zastosował się do zakazu, i mijając nieszczęśliwych, w milczeniu dłonie im ścisnął. Oni poznawszy w nim z twarzy Polaka, dotykali się skwapliwie jego ręki, poczytując ten uścisk za osłodę teraźniejszej niedoli, i zapowiedź lepszej przyszłości...

Po kwadransie pan Granowski siedział w pokoju pułkownika. Rozmowa im nie szła; obadwa byli wzruszeni. Prócz tego nasz przyjaciel potrzebował odpocząć. Wrażenia ostatniej godziny tak były potężne, że czuł się osłabionym jak po gorączce i o własnych siłach nie byłby teraz zaszedł do hotelu. Pułkownik widząc to, kazał przynieść butelkę węgryna.

Przy złotym tokaju, powoli nawiązała się rozmowa, i pan Granowski siły odzyskiwał. Wkrótce też powstał, żeby odejść. Właśnie gdy się żegnał, wszedł doktor więzienny. Pułkownik ku niemu postąpił. Doktor coś mu cicho zaraportował. Nie musiało to być nic przyjemnego, skoro pułkownik skrzywiwszy się, rzekł:

— Otóż nowy kłopot!

— Może przeszkadzam? — zauważył pan Granowski.

— Boże chroń, kochany hrabio! Właśnie dowiaduję się, że więzień Roliński jest umierający, i przed śmiercią chciałby koniecznie pożegnać się ze swymi kolegami.

— Przecie mu tego nie odmówisz panie pułkowniku?

— Nie chciałbym... Czy sądzisz konsyliarzu, że on w razie samej umrze?

— Do rana niewątpliwie.

W takim razie trudna rada... trzeba być przecie człowiekiem! Powiedz doktorze oficerowi dyżurnemu, aby więźniów kazał zaprowadzić do celi Rolińskiego... ja tam zaraz sam przyjdę. — A obróciwszy się do swego gościa dodał: — Jeżeli pan hrabia sobie tego życzy, może pójść ze mną.

Pan Granowski przyjął zaproszenie i poszedł z pułkownikiem.

W celi oświetlonej kopącym kagankiem, było zebranych więźniów kilkunastu. Stali przed tapczanem, na którym leżał umierający. Był to Roliński Adolf, człowiek jeszcze młody, powierchowności ujmującej, ale taki żółty, taki wyschnięty, i taki zbolący, że sam jego widok grozą przejmował. Zanim mówić zaczął, wzrokiem gorącym powiódł dokoła, zatrzymał go na każdej twarzy, i wtedy zdawało się, jakby wewnętrzna trwoga miotany, niewiedział co począć. Wreszcie dobył się ostatek, i wsparłszy się na łokciu, tak przemówił:

— Godziny moje policzone, wkrótce tam pójde, z kądem jeszcze żaden człowiek nie powrócił... chciałem wypowiadać się przed księdzem, ale po niemiecku nie umiem, tu zaś nie ma polskiego kapłana... Zaprosiłem więc was, byście byli świadkami mojej spowiedzi i dali mi rozgrzeszenie. Błagam was! zaklinam! nie odmawiajcie umierającemu tej ostatniej pociechy, bo choć ciężkie były jego grzechy, jednak nie mniejszą była i pokuta! O! jak okropnie cierpiałem, gdyście się odemnie odwracali, gdy na słowa moje nie dawaliście odpowiedzi, gdy w waszym wzroku czytałem pogardę! O! bracia! jam już za życia przeszedł piekło całe!

Wysilony umilkł, poczem taka cisza zapanowała, że wyraźnie słycać było mierzony chód sztyldwacha na korytarzu. Prócz więźniów, pułkownika, lekarza i pana Granowskiego, w celi znajdowało się jeszcze kilku oficerów i dozorca.

— Po nieszczęśliwej wyprawie pana pułkownika Zaliwskiego, którego właśnie widzę przed sobą, zostałem pojmany i osadzony we Lwowie u Karmelitów... Konsyliarz Wittmann

stał się tam przyczyną mojej zguby... Wybadawszy, że najbardziej lękam się, by mnie nie wydano, zaczął mi tem grozić, jeślibym trwając w oporze nie chciał wyjawić moich współników, gdy przeciwnie, obiecywał mi wolność, jeśli wszystko powiem.

O Boże! jak mnie opanował ten szatan, z jaką nikczemnością demoralizował moją duszę młodą, z jaką przewrotnością zatrąwał mój umysł niedoświadczony! Udając mego przyjaciela, zapraszał mnie do swego biura na herbatę i tam proponował, bym mu pomógł odkryć konspirację w Galicji i wydał moich współników. Nierozważny, nieprzewidując smutnych następstw, przyjąłem propozycję tego potwora, który nietylko, że mnie tu wtrącił, lecz co stokroś gorsze, zabił mnie moralnie! Odtąd zostałem jego ślepem narzędziem.... Nietylko wyznałem com widział lub słyszał, lecz i to, czegom bynajmniej nie wiedział. Tym sposobem skompromitowałem wiele osób całkiem niewinnych, pograżając ich rodziny w łzach rozpacz! O! jak straszne jest wspomnienie, że się tak haniebnie wywdzięczył Modzelewskiemu, który niegdyś w swoim domu przyjął mnie gościnnie i jak syna własnego we wszystkie potrzeby zaopatrzył! O nim to zeznałem najfałszywiej, że do związków tajnych należał, że we wsi jego znajdują się zakopane działa i broń po Dwernickim i tym podobne baśnie! Po tem oskarżeniu spadła na jego dom zgraja siepaków, niewinnego więziono, a wraz z nim i innych obywateli. Gdy po niejakiem czasie obudziło się we mnie sumienie, i chciałem zeznać do protokołu, że naczelnicy kryminalnego sądu, Wittman i Pressen, wymogli na mnie prawdziwe denuncjacje, nie tylko nie uczyniono zadość mojej prośbie, lecz za karę skazano mnie jeszcze na chłostę! Mimo to prawda wyszła na jaw niewinni musieli być wypuszczeni... Wtedy Wittmann wściekłym gniewem uniesiony przysiągł mi zgubę... Wkrótce też jako oszczercę zasądzono mię na dziesięć lat twierdzy i przywieziono tu właśnie, bym patrzył na męczarnie tych, których zdradziłem! Straszna była moja zbrodnia, ale zważcie, bracia, że gdy mnie wtrącono do więzienia lwowskiego, miałem ledwie ośmnaście lat! Wittmann zaś był mistrzem w opanowywaniu młodych umysłów!

Oto spowiedź moja. Uczyniłem ją głośno, byście wszyscy wiedzieli, że nie byłem grzesznikiem zatwardziałym, lecz raczej dzieckiem zbłąkanem, które zasługuje na waszą litość i przebaczenie! O, przebaczcie mi bracia, podajcie mi rękę, a skonam spokojnie!

Z temi słowy obie ręce ku więźniom wyciągnął. Zaliwski zbliżył się pierwszy i powiedział uroczyście:

— Bracie myśmy ci już dawno przebaczyli! — w czołgo pocałował.

Kolejno wszyscy to uczynili; na końcu pan Granowski. Przez cały ten czas konający okrywał ich ręce pocałunkami gorącymi, a gdy ostatni odstąpił, wznosił ramiona i oczy do nieba, a najwyższa radość na jego twarzy zajaśniała, i padając na twarde posłanie jęknął:

— Boże! przyjm duszę moją, bom już spokojny!

## XVII.

Pan Granowski codziennie po kilka razy odwiedzał dowódcę twierdzy, zaprzyjaźnił się z innymi oficerami, wieczorem zaś naradzał się w swoim pokoju z jednym lub drugim spiskowym. Ci ludzie, acz Niemcy, byli sprawie całą duszą oddani, to też gorąco pragnęli, by uwolnienie więźniów jak najprędzej nastąpiło. O ile można było wnioskować, godzina oswobodzenia szybko się zbliżała. Spiskowi wzięwszy rzecz całą na siebie, ręczyli za skutek. Pan Granowski dawał tylko pieniądze i utrzymywał stosunki z dowódcą twierdzy. Wszakże wiedział, że się na tem nie skończy, i że w chwili stanowczej trzeba będzie więcej uczynić. Nie lękał się jednak niczego, gdyż oddawna był na wszystko przygotowany.

Komiwojażer, który go do Kufsteinu odprowadził i stanął z nim w jednym hotelu, dotąd tyle miał zajęcia tak w mieście jak w okolicy, że jeszcze się nie wybierał w dalszą drogę. Gdy go raz właściciel hotelu zapytał, czy długo zabawi, odpowiedział, że nie wie.

Wspomnieliśmy już dawniej, że pokój jego na pierwszym piętrze, przytykał do apartamentu pana Granowskiego. W jednej ścianie był starożytny piec kaflowy, ogrzewający naraz

dwa pokoje, jego i sypialnię zasiada. Zaraz pierwszego wieczoru, komiwojażer wszedłszy do swego mieszkania, począł w niem wszystko uważnie oglądać, i potężnemu piecowi, którego powierzchnia była na niebiesko emaliowana, długo się przypatrywał. O ile się zdawało, piec był dawniej z sieni ogrzewany, wszakże ostatniemi czasy dodano mu drzwiczki, które znajdowały się właśnie w pokoju komiwojażera. Ten zapaliwszy świecę woskową, drzwiczki otworzył, potem przykleknął, świecę w piec wetknął i coś badać zaczął... Nazajutrz dzień cały w domu przesiedział i nie wpuścił nawet służącego, gdy ten przyszedł pokój zamiatać, tem się zasłaniając, że tak wiele ma do pisania, iż boi się, by mu służący nie przeszkodził. Dopiero drugiego dnia wieczorem dał klucz odźwiernemu, z poleceniem, żeby w jego pokoju porządek zrobiono. Odtąd po dniach całych nie był w domu, i wracał dopiero późnym wieczorem. Zazwyczaj i pan Granowski przychodził o tej porze. Raz czy dwa zdarzyło się nawet, że się na schodach spotkali. Grzeczny Niemczyk prędko się w bok usuwał, magnat zaś polski zbyt wiele miał na głowie, by na taką figurę zwracał uwagę.

W godzinę po pogrzebie Rolińskiego, który nazajutrz po jego śmierci odbył się późnym wieczorem, pan Granowski wszedł do hotelu. Nie długo potem zjawili się obaj spiskowi. Tuż za nimi przybiegł i komiwojażer, i jakby lękał się spóźnić, ewałem po schodach popędził. Wszedłszy do pokoju, zamknął drzwi na klucz, zapalił świecę, i przykleknawszy obok pieca, zaczął coś robić. W kilka minut wyjął tyle kaffi obok drzwiczek, że zrobił się otwór obszerny, przez który wygodnie mógł wleźć do środka. Postawiwszy świecę na stole, zrzucił buty i surdut, poczem jak kot cicho i zręcznie wsunął się do pieca.

Gdyby pan Granowski i jego goście, którzy właśnie nieopodal tego pieca z drugiej strony siedzieli, przeczuwali byli jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, to kto wie czy nie byliby starnie pieca obejrzeni; a wtedy tuż przy ścianie byliby dostrzegli niewielką szparę, ostrem narzędziem zrobioną, przy której siedząc w piecu komiwojażer ciekawe ucho trzymał.

Tymczasem w sypialni pana Granowskiego toczyła się ważna rozmowa:

— Powiedziecie mi nareszcie panowie, kiedy to się skończy. Ja tu, pysenku, siedzę jak na węglach rozżarzonych. Wreszcie nuda mnie zabije!

— Właśnie przyszliśmy dziś obadwa do pana — jeden ze spiskowych odpowiedział — aby ostatecznie wszystko ułożyć. Jutro wieczór skończymy.

— Chwała Bogu, pysenku! Pamiętajcie tylko, żeby to jutro nie było za tydzień, bo jak Boga kocham, gotówem tu zwarjować, a wtedy jeszcze kłopot ze mną mieć będziecie.

— Jutro niewątpliwie... Teraz przystąpmy do omówienia całego planu. Jutro rano wyślesz pan pod pierwszym lepszym pozorem karetę z końmi i swymi ludźmi na drugą stronę rzeki, do miasteczka P..., skąd już bardzo blisko do granicy cesarskiej. Na obiad zaprosisz pan tu do siebie pułkownika i kilku oficerów, po obiedzie zaś odprowadzisz ich do twierdzy.

— Aż dotąd wszystko pójdzie gładko — przerwał pan Granowski — ale co dalej pysenku?

— Znalazłszy się raz w kancelaryi pułkownika, proponujesz mu partję wista.

— Bardzo chętnie, pysenku, pułkownik gra w wista doskonałe.

— Prócz tego poprosisz go pan, aby pozwolił przyjść wszystkim oficerom, z którymi radbyś się pożegnać.

— I to rzecz łatwa, pysenku.

— Gdy wista grać zaczniecie, powiesz pan do ucha służącemu pułkownika, żeby poszedł do hotelu i na pański rachunek przyniósł kosz szampana.

— Ależ pułkownik, pysenku, gotów to wziąć za obrazę... Dałbym ja temu, ktoby mnie w moim domu chciał częstować.

— U nas inne zwyczaje, więc się tem nie obrazi... Gdy służący tu przyjdzie, ja sam wręcę mu szampana. Szampan będzie dwojaki, ze złotą i srebrną etykietą. Z tego ze złotą nalewaj pan kieliszki pułkownika i oficerów, z tego ze srebrną pij sam... Po trzecim kieliszku żaden z nich nie wstanie. Rę-



czę że się prędzej nie obudzi niż za dwanaście godzin. Tymczasem pan ze swymi rodakami będziesz dawno w Bawaryi.

— Ale jakim to się cudem stanie puseńku?

— Dozorca więzień jest przekupiony, tak samo sierżant, który będzie wartę zaciągał i kilku żołnierzy. Wogóle ta druga część zadania niech pana nic nie obchodzi, bo ona do nas należy. Pan masz tylko o to się starać, żeby najpóźniej o pół do ósmej towarzysze twoi wypili choć dwie butelki szampana. Z uderzeniem ósmej więźniowie będą wolni, nawet rozkuci... Wtedy pan z nimi z twierdzy wyjdiesz, strażę was przepuszczą i pójdiesz nad rzekę ku łazienkom. Tam będzie łódź czekała, na drugiej zaś stronie dwa wozy, którymi pojedziecie do P... Ztamtał w pół godziny będziesz pan z nimi w Bawaryi.

— Jak widzę puseńku, wszystko gładko pójdzie... Jesteście pewni tych ludzi?

— Najpewniejsi!... każdy z nich dostał już zaliczkę, resztę zaś jutro odbierze. Na dalsze wydatki będziemy jednak potrzebowali jeszcze pięćset dukatów.

— To bagatela puseńku! Wprawdzie mam już wszystkiego tylko tysiąc, ale połowa powinna by mi wystarczyć... Ich odeszłem do Francji, sam zaś, jakby się nic nie stało, wrócić do domu. A choćby mi nawet brakło pieniędzy, to przebóg, puseńku, Granowski nie zginie!

Narada na tem się nie skończyła. Nasz przyjaciel miał jeszcze nie o jedno zapytać, i wiele rzeczy kazał sobie kilka razy powtórzyć, by ich przypadkiem nie zapomniał. Północ już była gdy spiskowi z hotelu wychodzili.

Dopiero gdy za nimi drzwi się zamknęły, komiwojażer wysunął się z pieca, kafele starannie na dawnym miejscu poukładał, i ręce z zadowoleniem zatarłszy, spać się położył.

Cały dzień następny pan Granowski był jak w gorączce. Po odesłaniu ludzi i koni ujrzał się sam jeden, jak rozbitek na morzu. O z jaką radością chciałby teraz być w domu i słuchać Stasi szczebiotu. Ale kość była już rzucona, więc o odwrocie ani nie pomyślał. Człowiek jego miary mógł zginać, lecz musiał wytrwać. Jeżeli był niespokojny, to li dla tego, że uczuł się nie w swojej roli. Innego powodu nie było.

Poszedł do kościoła, całą godzinę modlił się gorąco, i wzięwszy Boga na pomoc, przystąpił do wykonania powierzonego mu planu.

Początek poszedł jak po maśle. Pułkownik przyjął zaproszenie na obiad, i zjawił się z wszystkimi oficerami krom jednego, który w twierdzy został na służbie. Obiad był dobry, *Johannisberger* oryginalny, przy końcu każdy z uczestników wypił butelkę szampana. Humory były świetne. Po obiedzie pan Granowski odprowadził swoich gości do twierdzy, gdzie wiścik się rozpoczął. Aż póty wszystko szło dobrze. Dopiero gdy miał powiedzieć służącemu, żeby do hotelu poszedł po szampana, zawahał się i serce zaczęło mu bić gwałtownie. Popatrzył na zegarek: było pół do siódmej. Zostawała więc ledwie godzina. Przeczekał pięć minut, drugi raz spojrzął na chłopca, który stał przy drzwiach jak struna wyprostowany, i drugi raz odwaga go opuściła... Czekał znowu pięć minut, lecz tym razem już sam sobie dał słowo, że się więcej nie będzie wahał. Gdy piąta minuta minęła, skinął na służącego i rozkaz do ucha mu szepnął. Chłopak wyszedł, on zaś wyjął chustkę, żeby sobie z czoła zimny pot obetrzeć.

Odtąd nic nie widział, nic nie słyszał. Wprawdzie grał dalej machinalnie kartami rzucając, ale jego partner kilka razy aż na krześle podskoczył, przeciwnicy zaś żartując sobie z jego nieuwagi, liczyli na dobry połów. Przytomność odzyskał dopiero po powrocie służącego. Gdy kosz z szampanem zobaczył, powiedział sobie, że strzał to ostatni, więc i mierzyć trzeba celnie. Kazał tedy odkorkować trzy butelki, dwie złote, jedną srebrną; z pierwszych nalał gospodarzowi i jego gościom, z drugiej sobie. Wprawdzie pułkownik zrobił mu za to grzeczną wymówkę, że w jego domu przyjmuje go własnym szampanem, nasz przyjaciel jednak nie zwróciwszy na to uwagi, powstał i rzekł:

— Piję ten toast za zdrowie szanownego gospodarza. Niech żyje, puseńku!

— *Hoh! es lebe!* — przytomni powtórzyli, trącąc się kieliszkami.

Pułkownik wypił, ale gdy kieliszek na stole stawiał, zmarszczył brew i na drzwi spojrzął. Zdawało się, jakby nadłuchiwał. Naszemu przyjacielowi zrobiło się zimno. Dreszcz śmiertelny przebiegł go od stóp do głowy,

Wtem na dole daje się słyszeć wielka wrzawa, potem krzyki:

— Zdrada! Szpieg!

Pułkownik i oficerowie rzucają się do pałaszów, które w kącie stały odpięte, pan Granowski wstaje także, lecz ani wie co począć.

Pułkownik wybiega pierwszy, za nim inni. Wkrótce dowiedzieli się, jaki był powód tej wrzawy.

Przed kwadransem niespełna, jakiś człowiek obcy chciał koniecznie wejść do twierdzy, aby z pułkownikiem pomówić. Gdy sierżant w bramie stojący odpowiedział że to niemożliwe, ów nieznajomy począł mu coś pleść o niebezpieczeństwie, załódze grożącym, co atoli sierżanta tak usposobiło, że zamiast ostrzeżenia słuchać, wziął za kołnierz natrętnika, aby go ze schodów zrzucić. Wypadek chciał, że sierżant tak nieszczęśliwie go chwycił, iż w ręce nie tylko pół kołnierza mu zostało, lecz także jedna część bokobrodów. Wtedy nieznajomy krzyknął: Zdrada! sierżant zaś domyślając się jakiego ptaszka złowił, zawołał: Szpieg! Nadbiegli żołnierze, zrobił się hałas ogromny, cała twierdza wrzawą się napełniła. Niedługo trwało, a zjawił się sam pułkownik, za nim oficerowie, na końcu pan Granowski. Ten mimo, iż czuł, że stało się nieszczęście, i że jemu samemu wielkie grozi niebezpieczeństwo, nie myślał o ucieczce.. Zginę! powiedział sobie — a nie zhańbię się pyseńku! I bardzo być może, że byłby się zgubił, gdyby nie dozorca więzień, który otarłszy się o jego ramię, cicho jęknął:

— Plan odkryty... idź pan natychmiast, bo inaczej wszyscy zginiemy!

Zrozumiał znaczenie tych słów fatalnych. Mógł sobie poświęcić, ale nie innych... Postąpił tedy kilka kroków naprzód, a widząc że go nikt nie zatrzymuje, poszedł dalej. Wkrótce ujrzał się nad brzegiem rzeki, gdzie spiskowi czekali. Związłymi słowami opowiedział im co się stało:

— Któs nas zdradził! — równocześnie zawołali. — Teraz jedź pan do P..., ztamtąd do Bawarii, aby ślad za sobą zgubić. Gdy pana nie będzie, my tu łatwiej rzecz zatrzymamy:

Podezas gdy nasz przyjaciel na wozie niemieckim do P... jedzie, pułkownik, który dotąd nie zauważył jego oddalenia, bada nieznanego.

— Więc jak się nazywasz? — pytał.

— Michał Zajac.

— Czemu się trudnisz, z kąd pochodzisz?

— Jestem kancelistą cyrkularnym z Galicji.

— A tu co robisz?

Zajac opowiedział rzecz całą od początku do końca, i nieomieszkał dodać, że na górze znajduje się kilka butelek szampana ze złotymi szyjkami, który ma tę własność, że usypia.

Pułkownik miał umysł jasny; prędko też pojął, że tak musiało być w istocie, ale że równocześnie był człowiekiem honorowym i dbał o swoją reputację, więc postanowił tej sprawie inny nadać kierunek. Jako oficer nie chciał ścigać tego, z którym nie jedną wypił butelkę, i od którego nie jednego wygrał dukata, a jako dowódzca twierdzy, bał się przyznać do nieostrożności, za to bowiem byłaby go surowa kara spotkała. Wiedząc, że zeznania takiego ajenta, jeśli równocześnie dowodami nie zostaną poparte, nie będą miały wielkiego znaczenia, postanowił nie z siebie, lecz z niego zrobić ofiarę.

— Wszystko, coś tu powiedział — przemówił surowo — jest kłamstwem! W twierdzy, jak widzisz, spokój panuje, z więzienia nikt nie wyszedł, cała zatem twoja opowieść jest bajką, na to ułożoną, by własne zamiary osłonić. Gdybyś był urzędnikiem, jak powiadasz, a nie obcym szpiegiem, który chciał zdjąć plan tej twierdzy, to byłbyś przyszedł w uniformie, nie zaś przebrany za komiwojażera, i do tego z przygotowaniem bokobrodami. Tak jest, ty jesteś szpiegiem, i jako taki będziesz traktowany. Dalej, weźcie go! Kajdany na ręce i nogi i do sztokhauzu!

Napróżno Zajac protestował, napróżno kłął duszę i ciało, że prawdę zeznał. Pułkownik nie słyszał go, bo odszedł, żołnierze zaś nie słuchali, gdyż mieli coś ważniejszego do czynienia. Założywszy mu kajdany, odprowadzili go do sztokhauzu, gdzie o chlebie i wodzie miał długie dwa tygodnie przesiedzieć.

Pułkownik przyszedłszy do swego mieszkania, otworzył okno, i własną ręką wyrzucił szampana ze złotymi szyjkami. Butelki padając na skałę z takiej wysokości, rozsypały się na atomy. Potem wyszedł na korytarz, sam zmienił wszystkie stráže, obejrzał bramy na dole, i dopiero gdy się upewnił, że żadne nie grozi niebezpieczeństwo, spać się położył.

Czternastego dnia Zajac wyszedł z więzienia wychudzony, i otrzymawszy anioła opiekuńczego w postaci żołnierza, ruszył pieszo, tak zwanym „szupasem“, na Wiedeń do Galicji. Tak szedł od wsi do wsi, z głową schyloną, złorzecząc losowi, który z niego tak okropnie sobie zadrwił. Aż do Wiednia doszedł pieszo. Dopiero tu, gdy go w policji przesłuchano, odzyskał wolność i dostał pieniądze na dalszą podróż. Rzecz cała oparła się aż o księcia Metternicha i ten wprawdzie kazał dowódcy twierdzy śledztwo wytoczyć, lecz ponieważ pułkownik bronił się wybornie, i żadnych przeciw niemu nie było dowodów, krom zeznań kancelisty, więc na tem się tylko skończyło, że go z Kufsteinu do Insbruku przeniesiono.

Pan Granowski dawno już w domu siedział, gdy Michał Zajac z długim nosem wjeżdżał do miasta obwodowego, by staroście opowiedzieć, co go w dalekich krajach spotkało.

### XVIII.

Pan Granowski ciągle był w złym humorze. Był pewny, że więźniów uwolni i ojczyźnie się przysłuży, tymczasem stracił kilka tygodni, pieniędzy wydał bez rachunku, zmęczył się odgrywaniem roli dwuznacznej, tak niezgodnej z jego charakterem, i wszystko spezłło na niczem. Wprawdzie wrócił cało i teraz w domu nikt go nie turbuje, on jednak byłby wolał znieść największe przykrości, byle koniec był inny.

I przyjechawszy, aby sobie ulżyć, nie miał nawet przed kim się poskarżyć. Pan Zagórski siedział w Łowiczu i tylko raz pisał, że wstąpił do seminarjum; między sąsiadami, chociaż wszyscy w jego domu bywali, nie miał ani jednego, przed którymby się zwierzał ze swych tajemnic i zgryzot; Stasia była za młoda. Jedynym jeszcze, z którym chętnie mówił o rzeczach ważniejszych, był przeor OO. Reformatów. Ten atoli miał znowu tę wadę, że zdanie jego było zawsze chwiejne. Mimo to, pan Granowski po powrocie z Kufsteinu częściej niż dawniej do swego domu go sprowadzał, a raz czy dwa nawet zdarzyło się, że sam do niego zjeżdżał na pogadankę.

Ponieważ towarzystwo przeora nie mogło mu wystarczyć, więc aby czas czemś zabić koniecznie, zaczął teraz namiętnie polować. Niedgdyś dawał do roku kilka wielkich polowań, na które zjeżdżali się do niego znajomi o mil kilkadziesiąt; teraz wychodził najczęściej do kniei z kilkoma tylko ludźmi, by, jak twierdził, mieć więcej ruchu i swobody, a mniej niż dawniej subjeckji.

Późna już była jesień i śnieg wisiał w powietrzu, gdy pewnego dnia wyjechał do kniei z ogarami. Leśniczy z gajowymi obtropili olbrzymiego odyńca, który od dwóch lat wymykał się myśliwym to zwinnością, to zuchwałością. Raz nawet pociął był niebezpiecznie i potratował jakiegoś ekonomę z okolicy, który z dziedzicem swoim przyjechał do Granowa na polowanie. Ubić takiego filuta było rzeczą arcyponętną, to też pan Granowski wybrał się na łowy z wielkiem zadowoleniem.

Ledwie do lasu przyszedł, psy odyńca ruszyły. Szczekanie ogarów było dla jego ucha muzyką tak przyjemną, że ledwie pierwsze głosy usłyszał, sam jeden puścił się w głąb kniei.

Wkrótce doszedł do miejsca, gdzie odyniec kły ostrząc, psom się odcinał. Strzelił. W tejże chwili wszystkie psy zwierza przysiadły. Odyniec, mimo iż padł po strzale, porwał się na równe nogi, potężnym łba uderzeniem rozplątał trzy ogary i jednego z nich tak w powietrze wyrzucił, że aż jego wną-

trżności gałęzi się czepiały, w końcu rozpedziwszy resztę napastników, puścił się kłusem w głąb parowu.

Pan Granowski chciał jeszcze raz strzelić, lecz mu spaliło na panewce. Wtedy trzymając w jednej ręce strzelbę, w drugiej kordelas, pobiegł w ślad za odyniecem, który drogę za sobą czerwoną znaczył posoką. Teren był nierówny, miejscami było ślisko, odyniec zaś mimo, iż z początku szedł wolno, teraz jakby wśród biegu nowych sił nabierał, pędził dobrym kłusem, obszczekiwany z wszystkich stron przez ogary, których głosy, acz w rozmiarach znacznie powiększonych, przypominały hałaśliwą żab muzykę.

Pan Granowski tak się już zmęczył i spociał, że prawie kroku nie mógł dalej postąpić. Wtedy, aby nie ustać, odrzucił najpierw strzelbę, potem zdjął kozuszek i to w lesie zostawił. Nie zważając na wiatr zimny, który od północy pociągał, biegł coraz szybciej, póki nie przyszedł do miejsca, gdzie odyniec wysilony siedział wśród psów zgrai gotując się na śmierć niechybną, która mu wskutek upływu krwi groziła.

Skoczyć mu na grzbiet i wbić kordelas po rękojesie w jego bok lewy, było dziełem jednej chwili. Odyniec zważył się jak kłoda, jego pogromca wstał jak tryumfator.

Świetnie powiodły się łowy, lecz ich następstwa nie bardzo były przyjemne. Pan Granowski przeziębivszy się w lesie, był od dnia tego ciągle nie swój. Z początku myślał, że dostanie zapalenia płuc, tymczasem zamiast klucia i silnej gorączki, dostał tylko bólu głowy, łamania w kościach i zupełnie stracił apetyt. Stasia błagała go na kolanach, żeby posłał po lekarza, an jednak z uśmiechem jej odpowiedział:

— Daj, pycenku, pokój lekarzom!... Każdy z Granowskich lubi umierać śmiercią naturalną.

Dziewczę niezrozumiawszy ironji, prosiła księdza przeora, żeby on użył swego wpływu, lecz i to nie pomogło. Pan Granowski powiedział, że lekarza nie wezwie i dotrzymał przyrzeczenia. Alboż człowiek, jak on, mógłby pić mikstury, leżeć ciągle w łóżku i słuchać cudzej woli? On mógł umrzeć, lecz do ostatka musiał pozostać sobą, musiał zachować swoją wolność i niezawisłość.

Po tygodniu tak mu się pogorszyło, że chcąc nie chcąc do łóżka się położył. Być atoli może, że nie sama tylko choroba tak go z nóg zwała. W tym czasie miał zgryzot bez miary. Kilka nowych rewizyj na dom mu spadło, dwóch najlepszych służących do wojska mu zabrali, a co jeszcze ważniejsze, wszystkie prawie majątki rząd ponownie wziął w sekwestr za podatki. Położenie było fatalne, odtąd bowiem mogło mu braknąć na najzbędniejsze potrzeby. Jakkolwiek nasz przyjaciel nie należał do ludzi zbyt przezornych, przecie się domyślał, że to prześladowanie musi być karą za jego wycieczkę do Kufsteinu. Że go tam śledził i zdradził ten sam Zajac, którego starosta Westermann używał do wszelakich posług, o tem donieśli mu jego znajomi z Kufsteinu. Cóż więc było łatwiejszego, jak przypuścić, że starosta nie złapawszy go na gorącym uczynku, mścił się teraz na nim w ten sposób?

Pewnego wieczora, kazał Stasi, która na krok od jego łóżka nie odstępowała, wziąć arkusz białego papieru i pióro, poczem podyktował jej co następuje:

„Do Wysokiego c. k. Ministerjum spraw  
wewnętrznych

w Wiedniu!

„Świętej pamięci cesarz austriacki, Franciszek I. zapisał w testamentie ludom swoim miłość swoją — *amorem meum populis meis*. Chociaż należę do narodu, który według wiekami uświęconych i przez wszystkie państwa uznawanych ustaw, miał prawo sam sobie swego pana obierać, chociaż ani ja, ani mój naród nie obieraliśmy ś. p. cesarza Franciszka I naszym panem, mimo to nie da się zaprzeczyć, że ś. p. cesarz za takiego sam się uważał, wypełniał bowiem czynności, będące wypływem władzy monarszej, jako to: ściągał podatki, brał rekruta i kogo chciał wsadzał do kozy. Nie ulega też wątpliwości, że ś. p. cesarz Franciszek I., który wbrew nawet mojej woli, poczytywał mnie za swego poddanego, ustanawiając powyższy legat, chciał także i mnie odpowiednią jego częścią obdzielić. Uznając szlachetny zamiar cesarza, który wie-

dział, jak drapieżną zgrają jest biurokracja austriacka, zwłaszcza w Galicji, i który tym czynem pragnął ludy w skład monarchji wchodzić, zabezpieczyć przed tą drapieżnością, przyjąłem ten legat, i z całym spokojem a cierpliwie, blisko lat 16 wyglądałem jego uiszczenia. Niestety! dziś się przekonuję, że czekałem daremnie. Zamiast się ze mną obliczyć i jako z legatarjuszem cesarza odpowiednio obchodzić, rząd wiedeński nie tylko o tym legacie nic nie chciał wiedzieć, lecz co nierównie gorsze, krzywdził mię ciągle w sposoby najrozmaitsze. Spis tych krzywd znajduje się na oddzielnym arkuszu.

„Stojąc dziś nad grobem, chcę sobie zasłużyć na łaskę i miłosierdzie Boże, co najłatwiej osiągnę, jeżeli wrogom moim przebaczę krzywdy i urazy, dłużnikom zaś długi daruję. Oświadczam tedy i równocześnie proszę, iżby Wysokie c. k. Ministerjum raczyło przyjąć do wiadomości, że aby ulżyć i tak przeciążonemu sumieniu rządu austriackiego, zrzekam się niniejszem w mojem i moich spadkobierców imieniu, wszelkich praw, przysługujących mi z tytułu legatu, który dla mnie w swoim testamencie ś. p. cesarz Franciszek I. ustanowił.“

W Granowie dnia 24 listopada 184\* r.

*Stanisław Granowski,*  
pan na Granowie.

— A teraz, pycenku — przemówił chory — weź drugi arkusz, na którym nasze krzywdy spisujemy.

— Spiesz się tylko moje dziecko, bo kto wie, czy to nie ostatnia moja godzina.

Stasia łzami oblana, nie myśląc tyle o legacie, którego nie rozumiała, ile o tem, że jej wujaszek przepowiada sobie śmierć rychłą, wzięła nowy arkusz papieru i dalej pisała, często sobie oczy obcierając. Gdy długi spis krzywd skończyła, pan Granowski uważnie go odczytał i rzekł:

— Teraz, pycenku, starannie to zapieczętujesz, i dziś jeszcze przez umyślnego na pocztę odesłesz.

Stasia wyszła do gabinetu żeby rozkaz spełnić, przy łożu zaś chorego został ks. przeor, który właśnie przyjechał go odwiedzić.

Po wysłaniu dokumentów do Wiednia, pan Granowski jakby odżył. Wstał z łóżka, mówił, że czuje się znacznie lepiej, nawet apetyt odzyskał. Był to jednak tylko silniejszy blask lampy która gaśnie. W kilka dni znowu mu się pogorszyło, potem przyszło osłabienie, tak, że ani ręką, ani nogą nie mógł ruszyć, w końcu ogarnęła go gorączka.

Stasia widząc, że teraz na niej wszystko spoczywa, posłała po plenipotentą i lekarzy. Pierwszy został w pałacu, drudzy robili co mogli, ale choremu nie się nie polepszyło. Jeżeli kiedy na chwilę przytomność odzyskał, to chyba na to, żeby wkrótce zapaść w gorączkę tem gwałtowniejszą. Wido-czną było rzeczą, że śmierć się zbliżała.

Podczas gdy to się dzieje w Granowie, w urzędzie cyrkularnym wielka zmiana nastąpiła. Zajac zginął, i nikt nie wiedział, gdzie się podział. Nikt, prócz starosty. Ten po powrocie jego z Kufsteinu, nie mógł na sobie przenieść, by mu nie wypowiedzieć gorzkiej prawdy.

— Wysoki rząd potrzebuje gorliwych urzędników — rzekł — ale między gorliwością a działaniem podstępem, zachodzi pewna różnica... Dlatego to, panie kancelisto, nie ci się nie udaje. Bóg, to tylko błogosławi, co jest uczciwe. Gdybyś pan zamiast przebierać się i iść do twierdzy, sprawdził był wczas policję, lub pułkownika uprzedził o niebezpieczeństwie, wtedy byłbyś postąpił jak człowiek honorowy, gdy tymczasem to, coś zrobił, było nizekzemnością. W ogóle widzę, panie Zajac, że z ciebie pożytku mieć nie będę... Pan nie masz szczęścia. Ileż to razy robiłeś w okolicy rewizje, a czyż kogo złapał lub co znalazł? A jednak wiemy, że coraz częściej kręcą się tu emisariusze, że w każdym domu pełno pism rewolucyjnych. Widzisz pan, mimo iż jesteś więcej ajentem policyjnym, niż urzędnikiem, dotąd nic nie zrobiłeś, a skompromitowałeś mnie już nie raz, każde bowiem niepowodzenie, jest hańbą dla rządu.

Tu starosta urwał, i wpatrując się w kancelistę, czekał, żeby on co powiedział. Zajac stał jednak z głową schyloną i ani ust nie otworzył.

— Muszę ci otwarcie powiedzieć, panie kancelisto — starosta znowu przemówił — że ja pana nie chcę mieć dłużej w moim starostwie. Masz pan przeciw temu co do zarzucenia?

— Ja sam widzę, panie starosto — Zając odrzekł — że tu nic mi się nie wie dzie. Trzeba gdzie indziej szukać szczęścia.

— Cóż więc myślisz uczynić?

— Pragnę wrócić do policji.

— Dobra myśl! To najlepsze dla pana... Będziesz w ciągłym ruchu, codzień na świeżym tropie, i wtedy znajdziesz się w swoim żywiole.

— Jeszcze dziś wniosę podanie do gubernjum. Będę tylko prosił pana starostę o specjalną rekomendację do dyrektora lwowskiej policji, pana Sacher-Masocha.

— Co do tego, możesz pan być spokojny. Jako agent policyjny będziesz niezrównany, śmiało też mogę panu dyrektorowi polecić, bo wiem, że będzie z ciebie zadowolony.

Nazajutrz po tej rozmowie, podanie Zająca, wraz z orzeczeniem starosty, odeszło do Lwowa, w tydzień zaś powołano go do tamtejszej policji. Rzecz cała odbyła się tak szybko i cicho, że prócz starosty nikt o tem nie wiedział. Zając odjeżdżając, prosił pana Westermanna o tajemnicę, także dla tego, że spodziewał się, iż tem lepiej będzie w stolicy nową rolę odgrywał, im mniej osób będzie wiedziało gdzie się znajduje.

W dziesięć dni po jego odjeździe, starosta otrzymał sztafetą z Wiednia papier zapieczętowany. W kopercie znajdowała się rezygnacja pana Granowskiego z legatu po cesarzu Franciszku I. z następującym własnoręcznym dopiskiem ministra spraw wewnętrznych:

„Starosta uda się niezwłocznie z lekarzem cyrkularnym do Granowa i przekona się, ażali podpisany Stanisław Granowski jest obłąkany. W razie, jeżeli ten człowiek cierpi na pomieszanie zmysłów, starosta odeszle go natychmiast pod eskortą do Lwowa, gdzie będzie osadzony w zakładzie dla obłąkanych. Na przypadek zaś, jeśliby się okazało, że niniejszy

dokument spisał z całą świadomością zawartego w nim czynu karygodnego, będzie niezwłocznie osadzony w areszcie na rok jeden. W areszcie należy go jednak traktować stosownie do jego stanowiska.

Starosta nie lubił pana Granowskiego i niejednokrotnie chciał mu dokuczyć; ale że jako człowiek miał pewne wyobrażenie o honorze, więc byłby teraz wiele ofiarował, żeby pan minister komu innemu poruczył był tę misję. Cokolwiekby miał on stanąć przed człowiekiem, którego obwód cały poczytywał za moralnego swego naczelnika; lecz jakąż rolę miał wobec niego odgrywać, on, ten wielki mąż stanu, i z ramienia rządu kierownik cyrkułu, który marzył o najwyższych dostojenstwach, nawet o tece ministerjalnej! Nie byłaż to rola podrzędna, prawie ubliżająca? A jeśliby pan Granowski uniósł się i chciał go znieważyć? Choćby go za to potem do więzienia wtrącili, nicby mu to nie szkodziło, i do końca życia zostałby wielkim panem, a w oczach narodu męczennikiem; gdy przeciwnie, on, starosta, raz hańbą okryty, już by się nigdy w opinji nie dźwignął.

Gdy obawy swoje przed żoną wynurzył, ta odrzekła:

— Kochany mężu, ja ciebie całkiem nie rozumiem. Od tak dawna jesteś w Galicji, a dotąd tego kraju nie poznałeś... Czy słyszałeś kiedy, żeby jaki szlachcic zapomniał o gościnności i kogo w swoim domu znieważył? Chociaż to ludzie zachwali, wiedzą oni jednak jak się zachowywać, i dotąd nawet ci, którzy na prostą rewizję przyjeżdżają, są przez nich szanowani.

— Ty masz zawsze rację, najdroższa Emmo, ale mimo to ofiarowałbym dziś chętnie pensję całomiesięczną, byłem do Granowa nie potrzebował jechać.

— Na to ja ci już nie poradzę... Rozkaz ministra jest tak stanowczy, że mu się nie można sprzeciwić.

— A gdybym odpowiedział, że zachorowałem?

— Kłamstwo gotowoby się wydać, a wtedy...

Nie dokończyła, mąż bowiem czapkę chwyciwszy, wybiegł do kancelarji. Z tamąd posłał zaraz po lekarza cyrkularnego, z którym po upływie godziny wyjechał do Granowa.

Na kozle siedział pisarz z aktami pod pachą. W tyle na wózku jechali landsdragoni,

Ciemno już było, gdy landara komisję wioząca wtoczyła się przez bramę na dziedziniec pałacowy. W koło cisza panowała, tylko przez okno otwarte na pierwszym piętrze, dolatywał głośny płacz niewieści. W powietrzu czuć było zapach kadzidła.

— Co to jest? — zapytał starosta służącego, który stał pod kolumnadą.

— Nasz pan umarł.

— Jaki pan?

— Pan Granowski.

— Granowski? — powtórzyli równocześnie starosta i lekarz.

— A tak, nasz dziedzic i dobrodziej, pan Stanisław Granowski — służący potwierdził. Lekarzy mieliśmy tu aż z Krakowa, jeszcze ich dwóch zostało, a jednak żaden nie pomógł. Kilka tygodni męczyło się panisko, a dziś zrana skończył.

— Jeszcze rano umarł, a nikt z was do cyrkułu o tem nie doniósł!...

— Proszę pana starosty, to nie moja rzecz... Książd przeor był przy śmierci nieboszczyka i teraz wszystkim się zajmuje.

Starosta postął chwilę, potem skinąwszy ręką na swoich towarzyszy, poszedł z nimi na górę.

Na pierwszym piętrze, w tej samej sali, gdzie „piekło“ wisiało, a obity czarnym kirem od góry do dołu, stał na środku katafalk wśród tysiąca świec płonących. Na nim leżał ostatni pan na Granowie. Twarz jego była żółta, lecz spokojna, rysy zrobiły się bardziej ostre, ich wyraz był surowy.

Na stopniach katafalku przeor z drugim zakonnikiem, klęcząc, monotonicznie modlitwy śpiewali; dziady w niebieskich płaszczach, z czerwonymi na piersiach krzyżami, wtórowali im głosem ochryplym; służba na palcach chodząc, zносиła z ciepłarni krzewy w wazonach, by salę odpowiednio ustroić.

Przez drzwi poboczne wsunęła się w czarnej sukience Stasia, niosąc w chusteczce czarne kokardy. Twarz miała łzami

zalaną, włosy rozpuszczone. Wstąpiła po stopniach i ucałowawszy nieboszczyka w obie ręce, zaczęła w koło obchodzić i kokardy do płonących świec przywiązywać. Była to ostatnia usługa, oddana przez sierotę temu, który umarł jak sierota!

Starosta ukorzył się przed majestatem śmierci; ugiął kolano i zmówił pacierz za duszę nieboszczyka. Za jego przykładem poszli lekarz i pisarz. Potem starosta pomówił z przeorem, a odstąpiwszy od niego, rzekł do lekarza:

— Zechciej pan śmierć skonstatować.

Lekarz wstąpił po stopniach, przyłożył ucho najpierw do serca, potem do ust nieboszczyka, w końcu palcami podniósł mu powiekę u jednego oka. Jakiś czas uważnie się przypatrywał i napowrót ją zasunął.

— I cóż? — zapytał starosta.

— *Gestorben!* — odpowiedział lekarz lakonicznie.

— Kiedy tak, więc spiszemy krótki protokół i odjeżdżamy.

Przeszli do pokoju przyległego i po spisaniu protokołu zaraz odjechali.

Dobrze już było po północy, gdy przeor zmęczony odszedł do pokoju gościnnego. Przedtem już Stasię służebne odprowadziły. Biedne dziecko chciało koniecznie czuwać do rana przy drogich zwłokach, wszakże natura od niej silniejsza, zamknęła jej powieki, i Stasia usnęła na stopniach katafalku.

Przy ciele został tylko jeden z zakonników, zmieniali się oni co trzy godziny, i kilku dziadów. — Służba siedziała w przedpokoju.

Im dalej posuwała się wskazówka na zegarze, w rogu sali stojącym, tem cichszym robił się głos zakonnika. W końcu umilkł zupełnie, i sędziwy pater, podłożywszy sobie pięść pod głowę, zaczął chrapać.

— Już zasnął — przemówił najstarszy między dziadami. — Ciekawym czy daleko do rana?

— Jeszcze cztery godziny, odpowiedział najmłodszy, na zegar wpierw spojrzawszy.

— Oj! tak mi coś markotno w żołądku — trzeci się odezwał. — Całą noc każą modlić się i śpiewać i gorzały nie dadzą... Niech wszyscy djabli porwą tych fagasów!

— Niech ich szlag trafi! — drugi potwierdził.

— Żeby to psiarstwo raz jeszcze wyzdychało! — trzeci uzupełnił. — O sobie to myślą, a o nas nie mogą. Przecie jak człowiek siedzi przy porządnym nieboszczyku, to powinien to zapamiętać.

— Pewnie! pewnie!

Na chwilę wszyscy umilkli. Potem najmłodszy szepnął:

— Wiecie co, najlepiej będzie, jeżeli sobie „straszaka“ zagramy. Do rana daleko, pop aż chrapie, w przedpokoju cicho... trzeba czas zabić.

— A karty masz?

— Mam... ja bez nich nigdy nie chodzę.

— I ja mam — głos drugi potwierdził.

Usiedli w głowach katafalku kolanami do siebie, każdy wyjął po kilka dudków i grać zaczęli. Z początku zabawa szła spokojnie; wkrótce jednak najstarszy tak się roznamiętnił, że już dość głośno swoją niechęć objawiał. Na szczęście zakonnik spał jak zabity, z przedpokoju także chrapanie dolatywało.

Właśnie gdy najstarszy z gniewem ostatniego dudka postawił, usłyszał głos za sobą:

— Przy kim szczęście, pseyńku?

Odwraca głowę i z przerażeniem widzi w górze świecące oczy pana Granowskiego.

— Jezus! Marja! Józef! — jęknął i jak długi padł na ziemię.

Reszta dziadów nie usiłowała nawet przekonać się co się stało. Domyśliwszy się czegoś okropnego, każdy wydał okrzyk przerażenia i twarzą runął do podłogi.

Zakonnik zbudził się, a skierowawszy na katafalk oczy na pół jeszcze sennie, i widząc że nieboszczyk rusza się, rzucił się w drzwi od przedpokoju, wołając:

— Umarli wstają!

Na ten głos służba zrywa się i każdy krzyjąc gdzie może ucieka. Wszczyzna się hałas, zamęt, rwetes, jakby na

sądzie ostatecznym; w pałacu wszystko się budzi. Nawet Stasia, którą w ubraniu zostawiono na sofce w gabinecie, zrywa się i najbliższe drzwi otwiera.

Przed sobą widzi pana Granowskiego.

— Pseyńku, zaprowadź mnie do mego łóżka — rzekł wyraźnie.

Dziewczę, które śpiąc zapomniało, że jej wujaszek umarł jeszcze rano, i nie zdając sobie sprawy z tego, co się w koło niej dzieje, wzięło go za rękę i do sypialni zaprowadziło.

Tymczasem krzyki zbudziły przeora i krakowskich lekarzy, którzy dopiero nazajutrz mieli odjechać. Ci prędko się domyśliwszy, że pan Granowski dołąca całą leżał w śnie letargicznym, niezwłocznie pobiegli do jego pokoju, a za nimi przeszedł przeor, trochę drżący i bardzo blady.

## XIX.

Zamieszanie, które noc całą trwało w pałacu, zanim wszyscy dowiedzieli się i zrozumieli, że sen letargiczny bynajmniej nie jest śmiercią i w ciężkich chorobach często się wydarza, rozpoczęło się dnia następnego na całą okolicę.

Sąsiedzi, którzy wybierali się na pogrzeb, spieszyli teraz tłumnie do Granowa, aby odwiedzić z martwych powstałego. Nie wszyscy atoli dostali się aż do sypialni pana Granowskiego. Lekarze bojąc się, by się choremu nie pogorszyło, nie wpuszczali doń prawie nikogo; ledwie pan Mateusz i jeszcze dwóch innych dotarli do samego nieboszczyka, pan Granowski bowiem głos ich usłyszawszy, sam kazał ich wpuścić.

Ci, którzy z niczem odjechali, zaczęli coraz potworniejsze wieści rozsiewać i mniej więcej wszyscy w tem się zgadzali, że pan na Granowie w rzeczy samej umarł, a tylko służba i klasztor, w celach, których dotąd zbadać nie można, umyślnie rozpuszczają pogłoskę o jego cudownem zmartwychpowstaniu.

Podczas gdy oni takie baśnie plotą, chory wzmocniony napojami, które mu lekarze przyrządzili, mówił panu Mateuszowi:



— Jakem zeszytniał pysenku, i jak mi się oczy zamknęły, tak już potem mało co czułem, ale za to wszystko słyszałem.

— Wszystko słyszałeś mociumpanie?

— Wszystko pysenku, jak teraz... Zawsze to miło do wiedzieć się za życia, bo przecie ja żyłem pysenku, ktoby nas najbardziej żałował po śmierci... Książd przeor coś tam trochę wzdycha, służba same łotry, jedna Stasia pysenku szczerze do mnie przywiązana. Dobre dziecko, już ja o niej nie zapomnę! Ale co mnie najbardziej rozgniewało, to te dziady... I ta istota śmiała przeklinać i grać w karty przy mojem cie! Przedtem nie mogłem ani ruszyć się, ani przemówić, dopiero pysenku jak mnie to dziadostwo oburzyło, zaraz do nich zagadałem. Tożto im piotra napędziłem! Nie zapomnę do końca życia. Dobrze także wyszedł starosta, teraz gotów przypuszczać, że ja umyślnie umarłego udawałem. Tym Niemcom pysenku wszystko się w głowie mieści... Ale ciekawym po co on tu przyjeżdżał, czego chciał?

Pan Granowski był bliskim prawdy, zarzucając starości taką podejrzliwość! W pierwszej chwili pan Westerman w rzeczy samej zapytywał się w duchu, ażali to nie nowy figiel pana Granowskiego, dopiero się nad tem bliżej zastanowił, odrzucił tę myśl jako błędną. Wszak w godzinę po odebraniu rozkazu ministerjalnego, wyjechał z lekarzem do Granowa, pan Granowski zaś, według równobrzmiących zeznań służby i przeora, umarł był jeszcze tego samego dnia rano. Gdy prócz tego lekarz upewnił go, że sen letargiczny jest przypadłością dość zwyczajną, a tak trudną do odróżnienia właściwej śmierci, że tysiące już ludzi w letargu do grobu złożono, przestał się tem więcej niepokoić, i całą uwagę swoją w inną stronę skierował.

Oto wypadek chciał, że po powrocie z Granowa, spisał własnoręcznie urzędowy *Bericht*, aby takowy wysłać do dnia poczta. Tak się też stało. Gdy tegoż dnia w południe, przyszła wiadomość o tem co w Granowie zaszło, relacji nie można już było nawrócić.

Zakłopotany starosta pobiegł do żony.

— Ta wysłuchawszy, o co rzecz się rozchodzi, rzekła z właściwą sobie flegmą:

— Trudna rada, mój drogi, trzeba prawdę napisać.

— *Ich bin derselben Meinung*, ale mnie nie idzie o prawdę, tylko o rozporządzenie ministra, który kazał go wsadzić bądź do kozy, bądź do Pijarów. Mamże to teraz uczynić?

— Mnie się zdaje, *lieber Fritz*, że rozkaz ministra jest święty. Trzeba tylko poczekać aż wyzdrowieje.

— Nie zaprzeczam *theuerste Emma*, lecz czy mogę areztować człowieka, który nie żyje?

— Nie żyje?

— Tak jest... *officielle lebt er nicht mehr!* W protokole napisaliśmy, że umarł i ten protokół odszedł do Wiednia. Teraz zatem mogę tylko donieść, że odżył i zapytać co mam dalej czynić. *Es darf kein Formfehler gemacht werden!*

Pani staroscina nie mogła tym razem mężowi słuszności nie przyznać. Wiedząc jakie znaczenie ma forma w świecie biurokratycznym, musiała pochwalić starostę, że tak skrupulatnie jej się trzymał, i w dowód zupełnego swego uznania, pocałowała go w obadwa policzki.

Mąż poszedł pisać nowy *Bericht*.

Widocznie sen letargiczny był przełomem w chorobie, bo od tego dnia pan Granowski z każdą godziną czuł się lepiej i do tygodnia wstał z łóżka. Lekarze, którzy przy nim byli do końca, powiedzieli mu na odjeździe, że jeżeli chce się radykalnie wyleczyć, powinien oderwać się od wszystkiego, co go drażni i gniewa, i na kilka tygodni udać się bądź za granicę, bądź do większego miasta, gdzie może nadal zostać pod dozorem zdolnych lekarzy.

Nasz przyjaciel chętnie na to przystał, i złożywszy zarząd domu w ręce Stasi i jej nauczycielki, wyjechał do Lwowa. Co do zagranicy, do tej nigdy nie tęsknił, ziemię bowiem oczystą prznosił nad inne, teraz zaś i dla tego jeszcze nie byłby kraju opuścił, że tętno społeczeństwa coraz silniej zaczynało uderzać. Już podczas jego rekonwalescencji, zjawił się był nowy emisariusz, i zostawił mu mnóstwo papierów,

prosząc by je koniecznie do Lwowa wysłał. Teraz mógł to najlepiej sam uczynić.

Przyjechawszy do Lwowa, odwiedził kogo należało, oddał papiery, i najął sobie mieszkanie, w którym urządził się wygodnie i dostatnio, chociaż bez zbytku. Był pewny, że żyć będzie spokojnie, tymczasem raz zjawia się u niego ten sam Zajac, którego widywał w Granowie, w towarzystwie czterech policjantów, i wzywa go w imię prawa, żeby szedł za nim.

— Dokąd? — krzyknął pan Granowski.

— Do... do więzienia — wyjąkał Zajac.

— Do więzienia? A za co, jeśli wiedzieć wolno?

— Tego nie wiem...

— Nie wiesz acan? Na więzienie każdy Polak jest zawsze przygotowany, ale nim go wezmą, powinni mu puseńku wpiersz powiedzieć, co mu zarzucają. Więc acan sam nie wiesz, czym zawiniłem, a chciałbyś mnie zabrać z sobą?... Radzę ci puseńku, wynoś się pókiś zdrów, bo inaczej gotówes co oberwać.

To powiedziawszy, chwycił za flintę, która obok łóżka stała. Zajac mimo asystencji uznał za stosowne wynieść się czempredzej.

Pan Granowski myślał, że się na tem skończyło, tymczasem gdy wieczorem obok teatru przechodził, opadło go kilku drabów, i zanim mógł się zorientować co się z nim dzieje, już go związali jak barana i przemocą wtłoczyli do krytego wozu, który skacząc po kamieniach galopem odjechał.

Wkrótce usłyszał trzask najpiersz otwierającej się, następnie zamykającej bramy, potem w jakiejś kancelarji wypróżniono mu kieszenie i spisano z nim protokół, w którym żadnego nie wziął udziału; na pytania bowiem sam nie odpowiadał, tylko Zajac go w tem wyręczał, w końcu oznajmiono mu, że za znieważenie rządu, odsiedzi rok ścisłego aresztu, obostrzonego za opór władzy stawiany, dwudniowym postem w każdym tygodniu.

— Czyś acan skończył? — zapytał wyniośle urzędnika, który mu to mówił.

— Skończyłem.

— W takim razie prowadźcie mnie do więzienia!

Odprowadzili go do celi malutkiej i ciemnej, dozorca świecąc latarką, pokazał mu gdzie tapczan stoi, i powiedziawszy: dobranoc! wyszedł i drzwi za sobą na klucz zamknął.

Pan Granowski rzucił się na tapczan nierozebrany i zasnął twardo snem sprawiedliwego.

Nazajutrz rano wszedł dozorca. Minę miał dosyć zakłopotaną i pokorną.

— Czego acan chcesz? — zapytał go więzień.

— Chciałem oznajmić, że jeźliby jaśnie pan życzył sobie co zamówić, naprzykład dobry wikt, to ja bym chętnie pośredniczył?

— Jaktó, puseńku, więc ja mam być inaczej uważany, niż inni?

— Jaśnie pan został skazany na areszt, nie na więzienie, więc ani kajdan pan nie dostanie, ani więziennego wiktus jeść pan nie potrzebuje.

Pan Granowski z gniewu poczerwieniał.

— Tak? Więc ty myślisz puseńku, że ja gorszy od tamtych, którym żelazo w ciało się wpija i którzy z głodu puchną? O! nie puseńku, jam wart tyle, co i moi bracia, więc przynieś tu acan zaraz kajdany i wikt mi daj więzienny, bo ja innego nie przyjmę! Zresztą kiedyście mnie wbrew mojej woli zamknęli, to mnie teraz karmcie za swoje pieniądze. Nie małościę się mnie narozbijali, niech zatem choć tyle na was zarobię!

Nie nie pomogły przedstawienia dozorecy; pan Granowski nie chciał z nim dłużej mówić. Dozorca myślał, że taki pan wielki, którego od dziecka do wygod i zbytków przyzwyczajali, do dni kilku zdanie zmieni; tymczasem stało się inaczej. Pan Granowski wytrwał, i nie tylko jadł jak prosty więzień, nie tylko pił wodę z glinianego dzbana i spał na twardym tapczanie, on własną ręką nawet kaźnię sobie zamiatał i sam w niej wszystkie robił porządki.

Po miesiącu prosił tylko o jaką książkę. Przysłano mu z biblioteki więziennnej książkę do modlenia. Odczytywał ją pilnie, od początku do końca, gdy skończył zaczynał znowu

od początku, a ilekroć wzrok znużywszy na bok ją odłożył, brał chleb czarny, którym się karmił, i lepił z niego różne przedmioty. Nigdy się nie uczył rysunków, o szycerstwie najmniejszego nie miał wyobrażenia, a jednak do tygodnia zrobił krzyżyk wcale piękny, w drugim tygodniu umieścił na nim rozpiętego Chrystusa, później ustawił po jednej stronie Matkę Zbawiciela, po drugiej św. Jana. Jednostajność otoczenia uczyła go pracy, samotność cierpliwości.

Ustawwszy krzyż pod oknem, przez które ledwie mały kawałek nieba widywał, modlił się przed nim codziennie rano i wieczór, prosząc Boga nie o szczęście dla siebie, lecz dla swojej ojczyzny, którą jak najprędzej chciał widzieć wolną od niemieckiej przemocy. Po modlitwie lepił teraz małą szkatułkę, którą po wierzchu ozdabiał różnymi kwiatami. I znowu w jego palcach chleb układał się misternie, a kwiaty mimo, iż bez barw, żywe wychodziły, czas dosyć prędko mu mijał, tylko na głowie coraz więcej siwych włosów przybywało.

Po kilku miesiącach spędzonych w ten sposób w więzieniu u Brygidek, wszedł do jego kaźni raz dozorca, prowadząc za sobą Stasię, i przeora OO. Reformatów. Stasia wszedłszy do nóg mu się rzuciła. Pan Granowski na ten widok o mało w głos się nie rozplakał. Musiał wyteńczyć wszystkie siły, by łązy połknąć, które gwałtem cisnęły mu się do oczu.

— Przecie odwiedziłaś mnie pysenku! — rzekł do piersi ją przyciskając. — Ksiądz przeor także łaskaw... A ja myślałem żeście już o mnie zapomnieli.

Zakonnik miał odpowiedź na ustach, lecz mu Stasia przeszkodziła.

— Wszak myśmy nie wiedzieli, gdzie się wujaszek obraca... dopiero przed tygodniem był pan Słotwiński, i ten nam powiedział.

— Kto? Słotwiński... Kostus?

— Tak jest, ten — przeor potwierdził. Ksiądz Metternich zlitowawszy się darował mu resztę kary.

— Chwała ci Boże! A gdzie on teraz mieszka pysenku?

— W Głębikowej.

— Wszak to niedaleko od Granowa! Jak mnie to cieszy pysenku!... Gdybym tak był wolny, zaraz bym do niego pojechał. Lecz te pluchy niemieckie wiedzą czem dokuczyć... jak jednego puszcza, to z pewnością zaraz drugiego zamkna... Ale co tam więcej słychać pysenku *ex publicis* — dodał ciszzej, do przeora się zwracając.

Przeor nie umiał mu nic nowego powiedzieć. W agitacji nie brał czynnego udziału, z emisariuszami wcale się nie znosił, czuł tylko, że w powietrzu coś wisiało.

— Mam nadzieję pysenku — pan Granowski mu przerwał — że jeszcze się zatrzymają, nim ja wyjdę... Potem się rozmówimy!... Teraz powiedz mi mała, jakim sposobem dostaliście się aż do mnie? Kto wam to ułatwił?

— My sami wujaszku... Ksiądz przeor był taki dobry, że mnie tu przywiózł razem z nauczycielką i zaprowadził do barona Kriega, który dał pozwolenie.

— Doprawdy pysenku? Zaiste, nie byłbym przypuścił, że i szwab może tam mieć coś pod piątem żebrem... Ktoby to był pomyślał pysenku!... Ale po kim ty w żałobie dziewczyno?

— Czyżbym mogła cieszyć się i nosić suknie kolorowe, gdy wujaszek w więzieniu? — odrzekła w rękę go całując.

Szczera ta odpowiedź tak go przejęła, że gdy się nad nią pochylił, żeby ją w czoło pocałować, łaża duża gorąca, spadła na jej złote warkocze. Stasia musiała ją uczuć, bo zasłoniwszy twarz rękoma, cicho płakać zaczęła.

Dozorca zatrzymawszy się na korytarzu, wcale nie wchodził, to też nasi przyjaciele ze sposobności sobie korzystając, rozmawiali swobodnie o wszystkim, co ich obchodziło. Z ust pana Granowskiego nie wyrwała się ani jedna skarga. Przeor tem to sobie tłumaczył, że takiemu panu nawet w więzieniu musi być dobrze; Stasia przeciwnie wpatrywała się uważnie w bladą twarz wujaszka, i przecucie kobiece mówiło jej, że chociaż się nie skarży, cierpi.

Gdy się rozłączali, pan Granowski wziął szkatułkę, która już była gotowa, i dając ją Stasi, rzekł:

— Weź to puseńku na pamiątkę!... Kiedyś, gdy już będziemy wolni i szczęśliwi, ta drobnostka przypomni nam chwilę dzisiejszą... A szanuj to, puseńku, bo wujaszek dla ciebie ją ulepił. Widzisz, w środku jest nawet twoja cyfra.

Stasia zaczęła jego ręce znowu całować i płakać.

## XXI.

Wszystko kończy się na świecie, skończył się zatem i areszt pana Granowskiego. Gdy dozorca przyszedł mu to oznajmić, prosząc, by za nim udał się do kancelarii dyrektora Brygidek, pan Granowski, który właśnie coś z chleba lepił, odrzekł:

— Jeśli chce się ze mną widzieć, puseńku, niech tutaj przyjdzie. Taka sama droga jemu do mnie, jak mnie do niego.

Zdziwił się dozorca niemało, i sądząc, że go więzień nie zrozumiał, raz i drugi powtórzył mu dobitnie, po co go właściwie do kancelarii zapraszał. Gdy i to nie pomogło, i pan Granowski nie dał więcej żadnej odpowiedzi, uznał za stosowne, odnieść się z tem do dyrektora.

Wkrótce pojawił się sam dyrektor w pełnym uniformie, z papierami w rękę, i odczytawszy więźniowi uroczyste, że od dziś jest wolny, wezwał go, by raczył wyjść z celi i udał się z nim do kancelarii, gdzie odbierze sobie pieniądze i inne przedmioty, zabrane mu w dniu aresztowania.

— Mój panie — odrzekł na to nasz przyjaciel — przyszliście do nas, w pierw nas nie zapytawszy, czy was chcemy; męczyliście mnie przez lat dwadzieścia kilka, chociaż do tego nie mieliście żadnego prawa; złapaliście mnie jak dzikiego zwierza na ulicy i bez sądu, bez wyroku, wtrąciliście mnie do tego oto więzienia; jeżeli tak postępujecie, mój panie, więc bez mego zezwolenia nie możecie mnie ztąd także wyprowadzać. Ja zaś dobrowolnie nie wyjdę, bo mi się tu bardzo podoba... Jeżeli wam się podoba, możecie użyć nowego gwałtu, bo wy to lubicie!

W poważnym musiał być nastroju, skoro gdy to mówił, ani raz nie użył swego ukochanego „puseńku“, — skończywszy zaś, jakby nawet odpowiedzi nie pragnął, odwrócił się od dyrektora. Ten, lubo podobny wypadek, odkąd był dyrektorem więzień, dotąd mu się nie wydarzył, powiedział sobie, że trzeba unikać skandalu, i kazawszy celę zamknąć, w zamyśleniu odszedł do swojej kancelarii.

Wieczorem jednak znowu się pojawił, i z rzadką u niego uprzejmością tak przemówił:

— Jakkolwiek bardzo nam przykro, że pan nie chce więzienia opuścić, zastosujemy się jednak do jego woli... Muszę atoli nadmienić, że do tej celi przyprowadzą zaraz innego więźnia, pan zaś dostaniesz celę daleko mniejszą i gorszą.

— Bardzo chętnie puseńku! Każdy z nas powinien być przygotowany na najsrozsze katusze!

— Skoro pan się zgadza, więc proszę za mną.

To powiedziawszy, wyszedł pierwszy. Pan Granowski wzięwszy pod pachę kilka drobiazgów, które miał w kaźni, udał się za dyrektorem.

Szli długo, mijając cały labirynt korytarzy, ganków i dziedzińców; to wstępowali po schodach, to na dół schodzili, w końcu znaleźli się przy drzwiach niewielkich, w które dyrektor klucz wetknął. Ciemności takie tu panowały, że pan Granowski nic przed sobą nie widział.

— Proszę do tej kaźni! — rzekł dyrektor drzwi otwierając.

Pan Granowski wszedł pierwszy. W tejże chwili drzwi się za nim zatrzasnęły. Nasz przyjaciel uczuł, że go świeże powietrze owiało. Ze zdziwieniem zaczął się rozglądać. W oddaleniu kilkudziesięciu kroków paliła się latarnia, w głębi rysował się kościół św. Anny, nad jego głową świeciło kilka gwiazd zbłąkanych.

Był na ulicy.

— Patrzcie się, co to za pluchy! — rzekł gorzko, głową potrząsając. — Nawet tu człowieka oszukują!

Postał jeszcze chwilę, rzucił okiem na te czarne mury,

w których rok przesiedział, potem krokiem wolnym udał się do swego mieszkania.

Tu zastał wszystko jak zostawił. Nawet służący, którego przed rokiem przyjął, chrapał w przedpokoju. Pełnomocnik dóbr pamiętał widać o wszystkim, bo i łóżko było rozebrane.

Więcej jednak niż to, zdziwił nazajutrz pana Granowskiego widok Stasi, która z nauczycielką i księdzem przeorem przysłała mu dzień dobry powiedzieć. Wiedząc, kiedy wyjdzie z więzienia, zjechali na ten dzień umyślnie z Granowa, by go już na krok nie odstępować.

Trzeciego dnia wrócili wszyscy do Granowa.

I znowu godziny mijały jak dawniej, znowu biegły dni, tygodnie, miesiące, a wskazówka posuwając się na zegarze świata, zbliżała się stale, acz powoli, do wielkiej chwili dziejowej.

Tymczasem Stasia z małego dziewczęcia wyrosła na dziewczę piękną, dobrą, czarującą. Wprawdzie lat miała dopiero szesnaście, lecz wzrostem i okrągłymi kształtami wyglądała już na ośmnaście. Prócz tego jej umysł był nad jej wiek rozwinięty. Widocznie tak na nią oddziaływało jej wczesne sieroctwo. Kobieta, o własnych siłach zostawiona, lękając się, by nie utonąła, robi się prędko praktyczną, i wtedy już trzeźwo na świat spogląda, kiedy mężczyzna, choćby nawet o dzie sięć lat od niej starszy, dopiero zaczyna marzyć o niebieskich migdałach. Stasia była też praktyczną, gospodarną, zapobiegliwą, i jej to głównie pan Granowski zawdzięczał, że podczas gdy w więzieniu siedział, w jego domu nietylko nic się nie popsuło, ale nawet wiele rzeczy zostało ulepszonych. Przedewszystkiem młoda gospośa zaprowadziła oszczędności, o których dawniej w pałacu nikt nie słyszał, a które z biegiem czasu okazały się bardzo dobre.

Nauczycielka ciągle jeszcze była w Granowie, a chociaż sama przyznawała, że jej uczennica niczego więcej od niej się nie nauczy, pan Granowski jednak trzymał ją nadal jako towarzyszkę Stasi, nie chciał bowiem, by panienska dorosła mieszkała sama jedna w domu, gdzie prócz służebnych, kobiet więcej nie było.

Stasia, w codziennych stosunkach z wujaszkiem, na włos się nie zmieniała. Ciągłe była jednakowa. Jak niegdyś całowała go po rękach, nieraz w uniesieniu rzucała mu się na szyję, wieczorami czytywała mu książki i gazety, słowem była kochającą wychowanicą, która za dobroć i opiekę umiała być wdzięczną.

Inaczej atoli zachowywał się sam pan Granowski. Ten dawniej, gdy dzieckiem była, uważał ją jak swoją córkę; odkąd jednak na dziewięć wyrosła, w słowach był oględniejszym, sam na sam nigdy z nią w pokoju nie zostawał, i patrzył na nią inaczej niż niegdyś. Stasia ani tej zmiany nie widziała, ani się domyślała jej powodu.

Pewnej niedzieli, jak według zwyczaju, przyjechał przeor. Pan Granowski rozmawiając z nim o tem i o owem, rzekł między innymi:

— Starzeję się, pysenku, grubo się starzeję... Pięćdziesiątka właśnie mija, na głowie połowa włosów siwych, a chociaż jeszcze prosto się trzymam, aby szwabki nie myślały, że się im poddał, czuję, że sił już nie wiele...

Urwał, a gdy przeor chciał protestować, ciągnął dalej:

— Już ja, pysenku, sam wiem najlepiej, ilem wart... Zresztą młodości nie żałuję, boć się przecie nie próżnowało, ale przyznam się ojcu, że się boję starości... Wy, w klasztorze, macie przynajmniej opiekę, jeden pamięta o drugim, a ja co? Zdany jestem na łaskę sług...

— A panna Stanisława? — przeor wtrącił.

— Panna Stanisława? — pan Granowski powtórzył, twarzą do okna się odwracając. — Prawda, że ona o mnie dba, jak córka... ale to dziewczę, dziś, jutro ktoś weźmie, a co wtedy? Wiesz co ojciec, chociaż wy wierzycie w celibat, jak w dogmat, ja ci powiem, pysenku, że celibat to wielkie głupstwo!... Żyłem w celibacie, a teraz nawet nie wiem, komu moją ziemię zostawię, jeśli mi jej za życia pluchy nie mieckie nie wydrą...

Powstał i przy oknie stanawszy zaczął na szybie wyębnić marsza Dąbrowskiego. W ogrodzie ujrzał Stasię. Zrywała kwiaty do wienca. Długo wpatrywał się w to piękne

zjawisko, potem twarz mu się zasepiła, westchnął i od okna odstąpił.

Od tego dnia często sam jeden przechadzał się po ciemnych alejach ogrodu, coś dumał, rozważał, jakby jakiś plan układał. Ilekroć Stasię samą zobaczył, zdawało się, że jej chciał coś powiedzieć, ledwie atoli usta otworzył, zaraz pierwsze słowo na nich mu zamierało i szedł dalej, odkładając swoje postanowienie do dnia następnego.

W tym czasie, Stasia także dziwnie posmutniała. Niedawno jeszcze rumiana twarzyczka powlokła się bladością, oczy przygasły, z ust krasa uciekła, wyglądała jakby ją co smuciło, lub nawet przerażało.

Pan Granowski zauważywszy tę zmianę, postanowił skorzystać ze sposobności.

— Moja Stasiu — rzekł pewnego popołudnia, gdy ją w ogrodzie znalazł na ławeczce samą siedzącą — ja widzę, żeś ty, puseńku, coś zamysłona, smutna...

— To się wujaszku tak zdaje — odpowiedziała, oczu nie podnosząc.

Spojrzał na nią bokiem i wąs sobie pogładził.

— Nie, puseńku, mnie się nie zdaje, ja wiem że tak jest w istocie... Ale ja ci się nie dziwię, puseńku!... Przecie każdy wiek ma swoje prawa, a serce, powiadają, prędzej lub później musi się obudzić... Zresztą tyś taka praktyczna, nie dałbym więc za to złamanego szeląga, że często myślisz o swojej przyszłości...

Stasia westchnęła.

— Widzisz, puseńku, że wzdychasz, a panna jak wzdycha, to my już wiemy co ona myśli. Krótko mówiąc, puseńku, ty byś się już za męża przeszła...

Pan Granowski nie był dyplomata i za prędko strzelił z działa największego kalibru. Stasia zarumieniła się jak wiśnia i twarzyczkę dłońmi sobie zasłoniła.

— Wstydzisz się puseńku, ale cóż ja temu winien, że tak jest... Ale nie myśl puseńku, że ja się za to gniewam na ciebie...

Podniosła na niego oczy, które w łzach jak w mgłę pływały, i ustami, na których zachwył się malował, zapytała:

— Więc się doprawdy nie gniewasz, wujaszku?

— Jaka ona śliczna! — w duchu powiedział i zaraz rzekł głośno: — Bynajmniej! puseńku... Przecie ci powiedziałem, że każdy wiek ma swoje prawa i wcale się nie dziwię, jeżeli młoda panienka chce wyjść za męża... Wszak pan Bóg na to stworzył kobietę, żeby była żoną i matką.

Stasia pochwyciła go za rękę i do gorących ust ją przycisnęła.

— Powoli puseńku, powoli, jeszcze nie masz za co dziękować... Wpierw musimy się porozumieć, abym wiedział, czy się we wszystkim zgodzimy. Jeżeli powiedziałem, że każda dziewczyna za męża wyjść powinna, to wcale jeszcze z tego nie wypływa, puseńku, bym każdy wybór za dobry uważał. Mąż, moje dziecię, to rzecz ważna, dobrze trzeba się w pierw zastanowić, nim się go wybierze.

— Ach! prawda, wujaszku!...

— Przedewszystkiem należy uważać, puseńku, żeby nie był jaki lekkoduch, furfant!

— I ja tego zdania, wujaszku!

— Żeby nie miał, puseńku, złych namiętności, ani grał, ani się upijał.

— Ach! takiego nie chcę widzieć na oczy, wujaszku!

— Aby nie był za młody, puseńku, młode bowiem piwo musi się wyburzyć.

— Za młodziaka, wujaszku, jabym nigdy nie wyszła!

— Trzeba także i o tem pamiętać, puseńku, że mąż powinien mieć utrzymanie dla żony... Nie darmo mówi przysłowie, że głodne małżeństwo nawet mucha pokłóci.

— A ja jestem innego zdania, wujaszku... Gdy majątku nie ma, trzeba pracować...

— Hm! tak... prawda..., ale bo widzisz, puseńku, nie każdy umie pracować...

— O! ja, wujaszku, pracowałabym od rana do ciemnej nocy!

— To bardzo pięknie, pycenku, i ja to w tobie umiem cenić...

Tu pan Granowski zaciął się, jakby nie wiedział co dalej powiedzieć. Raz i drugi wąż pogładził, ukosem spojrzął na Stasię, która uszczęśliwiona wpatrywała się weń jak w obraz, i dobrze to sobie wytłumaczywszy, uśmiechnął się, odchrząknął i dla ułatwienia sobie zadania, rzekł żartobliwie:

— No, i nie zaszkodziłoby pycenku, gdyby twemu przyszłemu było na imię Stanisław. Oszczędzilibyście na imieniach, a tyś praktyczna, pycenku!

Tak był uszczęśliwiony swoim dowcipem, że już chciał ją ująć w pól i ucałować, ona jednak mimowoli zapal jego ostudziła, mówiąc:

Kiedy on się wujaszku nie nazywa Stanisław...

— Nie?... A jak?

— Kazimierz, wujaszku.

— Ka... Kazimierz? — powtórzył pan Granowski machinalnie. Snać nie spodziewał się takiego wyznania, skoro ręką pociągnął po czole i oczach, jakby się chciał upewnić, że nie śpi; potem znowu zapytał:

— Kazimierz, powiadasz?

— Tak jest, wujaszku, Kazimierz Bielski, ten sam co Bursko dzierzawi... Nie pije, nie gra, o dziesięć lat odemnie starszy, przytem Polak dobry i matkę kocha, więc i mężem będzie wzorowym. Nie raz i nie dwa prosił mnie już o słowo, ale jam się wahała odpowiedzieć stanowczo, wpierv z wujaszkiem o tem nie pomówiwszy. Teraz jednak, kiedy wujcio sam zaczął, wyznaje, dla czego jestem smutną i często zapłakaną... On mnie kocha, i ja go Kocham, wujaszku!...

Mówiła prędko, jakby lękając się, żeby jakiego słowa nie zgubiła; pan Granowski przed siebie zapatrzony, niby słuchał, niby gdzieś daleko biegł myślami, bo przez cały ten czas tarł czoło i na Stasię ani spojrzął. Wtedy ona przestraszona, czy się wuj nie rozgniewał, do nóg mu się zsunęła i ręce wyciągając szepnęła:

— Drogi wuju! powiedziałałam prawdę, a ty mi przebac, jeżlim zawiniła!

Głos ten odbił się w głębi jego duszy. Spojrzął na nią łagodnie, na ustach pojawił się uśmiech słodki, choć może trochę bolesny i podnosząc ją z ziemi, rzekł:

— Zawiniłaś?... A czem, pycenku?... Czy tem, że masz serce i szukasz serca?... A wszak tak być powinno... A zresztą rozumnie postępujesz, że wolisz pana Bielskiego, niż jakiego starucha, któryby cię zanudził i życie ci zakwasił. Ty masz rozumek, pycenku! i wierz mi, na tem źle nie wyjdiesz... No, jeszcze o tem pogadamy, muszę przecie bliżej go poznać, i rozpatrzyć się w jego interesach... Bądź też pewna, że co będę mógł, uczynię dla was...

— O wuju! wuju! jakiś ty dobry! — przez łzy zawołała, za szyję go obejmując.

— No, no, pycenku, nie masz mi jeszcze za co dziękować... Tymczasem puść mnie, bo ktoś zajechał... Trzeba zobaczyć, kogo nam bogi przyniosły.

Pan Granowski odszedł do gościa, który właśnie przed pałacem wysiadł; Stasia zaś uradowana, pobiegła do swojej nauczycielki, by się z nią wesołą nowiną podzielić.

Pod kolumnadą, w czarnej rewerendzie a z głową odkrytą, na której widać było tonsurę jak talar dużą i białawą, stał ksiądz ruski i ręce zacierając wpatrywał się w pana Granowskiego, który od ogrodu nadchodził. Nasz przyjaciel idąc, przypatrywał się także gościowi, i już z daleka zdawało mu się, że jego twarz nie była mu obcą. Podejrzanie jeszcze się zwiększyło, gdy przed nim stanął. Nie mógł atoli przypomnieć sobie, ani kiedy, ani gdzie widział tego księdza.

— *Reverendissime!* — przemówił uprzejmie — raczy wejść do mojej chaty!

Gość nic na to nie odpowiedział, tylko uśmiechał się dalej trąc ręce. Pan Granowski wpatrzył mu się bystro w oczy:

— Jeżeli się nie mylę, pycenku — rzekł z naciskiem — to miałem już przyjemność znać gdzieś księdza dobrodzieja?

— I ja jaśnie pana! — gość odpowiedział kłaniając się pokornie.

— Zagórski! — krzyknął — jak mi Bóg miły, pysenku! to Zagórski!

— Tak jest, jaśnie panie, to on!

— W imię Ojca i Syna, pierwej byłbym się, pysenku, śmierci spodziewał, niż że acana tu zobaczę... Ale gdzie wasy, gdzie ta mina zawadjacka, którą pysenku, starostę straszyleć?

— Zostawszy sługą bożym, trzeba było porzucić wszystko co świeckie — gość odpowiedział.

— Jak mi Bóg miły, to on! — pan Granowski raz jeszcze powtórzył, i zapomniawszy o roli, jaką niegdyś sędzia w jego domu odgrywał, dodał, ramiona otwierając: — Chodź tu mój bracie, chodź! niech cię uściskam! Przecie obadwa dla kraju jednakowo pracujemy! A to mi się podoba, pysenku, żeś się przecie zgłosił!

Ks. Zagórski padł w objęcia karmazyna, który uściskał go z zapalem, jakby brata rodzonego.

Po chwili siedzieli obadwa w owej sali, gdzie „Piekło“ wisiało. Nasz przyjaciel bardzo był rad swemu gościowi. Nie tylko go ucieszył widok człowieka, którego przez lat kilka nie widział, a którego dawniej lubił i cenił; lecz co jeszcze większą sprawiało mu przyjemność, to obecność osobistości, od której spodziewał się dowiedzieć, co słyhać za kordonem. Po rozmowie ze Stasią wszelka rozrywka była mu też pożądaną, z duszy bowiem pragnął jak najprędzej to zapomnąć, czego już sam przed sobą zaczynał się wstydzić...

Gość atoli nie zaspokoił jego ciekawości. Opowiedziawszy w krótkich słowach swój pobyt w Łowiczu, nauki i wyświęcenie, rzekł następnie, że wprawdzie za kordonem wszyscy się czegoś spodziewają, lecz czynnej agitacji bynajmniej tam nie widać.

— Nie nie szkodzi, pysenku! — gospodarz mu przerwał — wpieryw musimy się tu uporać!

— I mnie się zdaje, że taką rolę wypadnie nam odegrać, — ks. Zagórski potwierdził. — Dlatego też lubo ks. biskup bardzo mnie zachęcał, bym tam został, wolałem tu przyjechać.

— Dobrześ ksiądz zrobił, doskonale, pysenku! Oni tam mają dość ludzi, a nam tu brak. Powiedz mi jednak, pysenku, co teraz myślisz uczynić? Nie spodziewam się przecie, żeby taki porządny człowiek jak ty, starał się o parochię, i potem jak prosty pop jadł tylko knysze, i o niczem więcej nie myślał.

— Zostałem księdzem, aby krajowi służyć — gość odpowiedział — więc też nie o sobie teraz myślę, tylko o nim... Ks. biskup dał mi list polecający do ks. metropolity, do którego zaraz jutro pojedę. Jeżeli plany moje ziszczą się, i zostanę kapelanem w jakim pułku ruskim, wtedy będę wiedział, co dalej czynić...

— Cudowny plan, pysenku! Wszak przed odjazdem ksiądz mi o nim wspominałeś, a teraz przekonywam się, żeś mu wiernym został. O! ja wierzę głęboko, że kraj, który ma takich synów, nigdy nie zginie! Jeszcze my się tych szwabów pozbędziemy, pysenku! Z tem wszystkiem nie myśl jednak księże, że cię jutro puszczą od siebie. Musisz choć kilka dni tu zabawić, bo trzeba ci wiedzieć, pysenku, że moja Stasia na śmierć się zakochała w Kazimierzu Bielskim, w tym, co to odemnie Bursko trzyma w dzierżawie... Chłopak porządny, pracowity, trudno jej bronić. Że zaś czasy są gorące, więc do trzech dni zrobimy zaręczyny, a do dwóch miesięcy będzie wesele. Skoro ksiądz nie możesz być na weselu, to bądź przynajmniej na zaręczynach! Wiesz księże, taką mi przyjemność sprawiłeś, żeś się gotów dziś nawet z tobą upić. A mam ci ja niemało do opowiadania, pysenku, bom tu nie próżnował i nie jadł jak ty knyszów. Hej! służba! — krzyknął na pokojowca, — przynieś dwie butelki węgryzna, i podaj nam fajki! Musimy się nagadać, nacieszyć, i jeśli jest jaka zgryzota, trzeba ją zalać!...

## XXI.

Chwila wielka a straszna, pełna krwi i grozy szybko się zbliżała.

Już od jesieni r. 1845 każdy wiedział w Galicji, że ogólne powstanie, z dawien dawna przez wersalską Centralizację przy-



gotowane, lada dzień wybuchnie. Wprawdzie nie umiano powiedzieć, kiedy to nastąpi, lecz że nastąpi, o tem nikt nie wątpił. Po rewolucyi Listopadowej i poronionej wyprawie Józefa Zaliwskiego, nowe powstanie stało się potrzebą. Patrjoci, którzy o niepodległej Polsce ciągle marzyli; ludzie gorętsi, którzy własnymi siłami chcieli ojczyznę z grobu dźwignąć; wreszcie pełni poświęcenia szaleńcy, którym się zdawało, że samą wolą i bezinteresownem uczuciem świat można przewrócić, a ludzkość na nowe drogi wprowadzić, bezwarunkowo potrzebowali powstania, jako tej konieczności nieubłaganej, bez której o szczęściu prawdziwym nie umieli nawet marzyć.

Centralizacja wersalska, przygotowująca wespół z rewolucjonistami innych krajów, ruch ogólnoeuropejski, którego celem było obalenie rządów absolutnych, opierających się bądź na arystokracji, bądź na zniechęconej jeszcze bardziej burżuazji, i marząca o uszczęśliwieniu narodów przez demokrację, nie czekała, aż spisek w innych krajach dojrzeje, lecz na własną rękę postanowiła przyspieszyć powstanie w ziemiach polskich, wywołując ruch najpierw w Galicji, by ztamtąd przemieść go do prowincyj ościennych.

Główni przywódcy ruchu, jak emisariusze: Edward Dembowski i Teofil Wiśniowski, głowa Centralizacji Heltzmann, wreszcie wódz naczelny przyszłych sił zbrojnych, Ludwik Mierosławski, zjechali się tajemnie do Galicji, aby tu co jeszcze należało przygotować, i plan wybuchu ostatecznie ułożyć. Policja austriacka, wiedząc o pobycie we Lwowie i Krakowie osobistości tak niebezpiecznych, uwijała się po wszystkich zakątkach, wszakże mimo skrzętnych poszukiwań żadnego nie złapała. Poczytując Dembowskiego i Wiśniowskiego między nimi za najmniejbezpieczniejszych, wyznaczyła za głowę każdego po 1000 guldenów nagrody, co na rozkaz rządu z wszystkich kazalnicy uroczysto ogłoszono.

Starosta Westermann nie próżnował także w swoim obwodzie. Cały cyrkuł nie myślał o niczem, tylko o łapaniu emisariuszów, którzy jednak wymykali mu się zawsze jak pi-skorze. Ilekroć tajni ajenci donieśli, że w tym lub owym

dworze znajduje się ktoś podejrzany, zaraz starosta wysyłał tamże urzędnika z huzarami; nim jednak rewizja na miejsce wskazane zjechała, już po emisariuszu miejsce zastygło.

Uwaga jego była przedewszystkiem na pałac w Granowie skierowaną, gdzie prawie co tydzień ktoś nowy się zjawiał. Wszakże mimo częstych i niespodziewanych rewizyj, dotąd nie udało mu się tamże nikogo złapać.

Pan Granowski po powrocie z więzienia, a bardziej jeszcze po wydaniu Stasi za pana Kazimierza Bielskiego, któremu wraz z wychowanicą oddał Bursko na własność, rozwinął czynność prawie gorączkową. Często z Granowa wyjeżdżał, jeszcze częściej naradzał się w swoim domu z osobami nieznanymi, które ledwie przyjechawszy, gubiły się gdzieś bez śladu.

Raz późnym wieczorem, zjechał do niego w towarzystwie drugiego jegomości, hr. Franciszek Wiesiołowski, który przez Centralizację był mianowany przyszłym wielkorządcą Galicji. Nasz przyjaciel znał dobrze pana Wiesiołowskiego, i już nie raz z nim konferował; nie widział atoli dotąd jego towarzysza, który z twarzy i ruchów wyglądał więcej na cudziemca, niż na Polaka. Dopiero gdy nieznamy zdjął perukę i bokobrody odpiął, pan Granowski, ku swemu zdumieniu poznał w nim dawnego Legata papieżkiego.

Na ten widok aż się przeżegnał i o krok cofnął.

— Prędzej byłbym się, pysenku, śmierci spodziewał, niż że jegomości u siebie zobaczę.

— Dziś, gdy chwila stanowcza niedaleka — pan Wiesiołowski przemówił — wszelkie tajemnice ustają. Gość twój, Stanisławie, to wielki patrjota, Teofil Wiśniowski.

Usłyszawszy to pan Granowski, z największą radością, która się na jego twarzy malowała, uściśnął emisariusza. Teofil Wiśniowski był przez całą szlachtę galicyjską osobistością kochaną i czezoną, poczytywano go bowiem za patrjotę bez skazy, za ideał. Rzadko kto znał go osobiście, ale nazwisko jego było na ustach wszystkich.

— Już wtedy domyślałem się, pysenku — nasz przyjaciel zawołał — że mój Legat, to człowiek niezwykajny... Jak

to on słicznie swoją rolę odegrał, jak szwabom zaimponował! Całowali go, pysenku, po rękach, jak prawdziwego arcybiskupa... Z tem wszystkiem jednak nie byłbym przypuścił, że to był aż sam pan Teofil!... O nazwisko nie pytałem, bo nie wypadało, teraz szczęśliwy jestem, że takiego męża w moim domu oglądam!

Raz jeszcze gościa uściskał, potem zasiadł z nimi do narady.

Wiśniowski, zapowiedziawszy na wstępie, że powstanie wybuchnie nieodwołalnie dnia 21 lutego, wręczył potem panu Granowskiemu spis osób w obwodzie zamieszkałych, a we wszystko wtajemniczonych, które miały stawić się na pierwsze jego wezwanie, zakończył zaś szczegółowem i dokładnem rozwinięciem planu, według którego pan Granowski miał działać. Gdy przestał, nasz przyjaciel przemówił:

— Wszystko mi się podoba, pysenku, tylko nie mogę zrozumieć, jakim sposobem uda nam się miasto zająć. Powiedziałeś kochany panie Teofilu, że dwustu sześćdziesięciu mamy sprzysiężonych, którzy w dniu oznaczonym zbiorą się pod moim lasem... To ładny zastęp, pysenku, ale rozważ, że w mieście jest szwadron huzarów i batalion piechoty, a słyszałem że starosta jeszcze więcej wojska ściąga... Jak to psiarstwo po domach się pochowa, doprawdy nie wiem, pysenku, jak ich wykurzymy ztamtąd.

— Nasze siły, bracie, to prawie nic! — Wiśniowski odpowiedział. — My tylko rozpoczniemy, aby dać dobry przykład... Resztę musi zrobić lud, dla niego bowiem jesteśmy gotowi wszystko uczynić...

— Więc sądzisz, pysenku, że chłopstwo z nami pójdzie?

— Ani wątpię o tem! Jak tylko uczciwie ich objaśnimy, że powstanie wywołałiśmy jedynie dla ich zbawienia, by im dać wolność i ziemię, chwili nie wątpię, że jak lawina za nami popłyną i wrogów naszych zaleją. Bóg ciemnych oświeci, a nam doda sił i wytrwałości!

Pan Granowski ręką machnął.

— Mówiłeś to już raz, pysenku — rzekł — ale ja trwam przy mojem. Cham chamem zostanie! Nie dałbys wiary, pa-

nie bracie, ile ja tu dla nich czyniłem po pierwszej twojej bytności, a jednak, pysenku, wszystko na nic! Chłop zawsze podejrzliwy, zawsze mu się zdaje, że tylko niemiec mu sprzyja, a my na jego zgubę czyhamy. Moje zdanie, pysenku, jakie było, takie zostanie... W dniu wybuchu odkomenderować z każdej wsi wszystkich zdolnych do broni, a który pójsę nie zechce, baty!

Po tych słowach nie tylko Wiśniowski, lecz i hr. Wiesiołowski z miejsca się porwał. Obadwa też starali się gospodarza przekonać, że jego zapatrywanie jest mylne, wieśniak bowiem jest z natury bardzo dobry, nawet szlachetny, a tylko wskutek bałamucenia przez cyrkuły, szlachcie nie ufa. Nie wątpili jednak, że nieufność zginie, jak skoro szlachta pierwsza rękę mu poda.

Nasz przyjaciel słuchał, głową kręcił, w końcu rzekł:

— Być może, panowie bracia, że macie słusność, ale ja, pysenku, dopóty nie uwierzę, dopóki się nie przekonam... Z tem wszystkiem możecie być pewni, że sprawy nie zepsuje, i na własną rękę nic takiego nie uczynię, coby się z waszemi przekonaniem nie zgadzało. Nawet od jutra, pysenku, jeszcze lepszym będę dla chamów, a czy to pomoże, zobaczymy!

Narada nie trwała już długo, goście bowiem rewizji się lękając, musieli dalej jechać. Hr. Wiesiołowski wrócił do domu.

Teofil Wiśniowski udał się w okolice Jordanowa.

Od dnia tego pan Granowski ani spał, ani jadł, tylko ciągle był na nogach. Odwiedzał sprzysiężonych, gromadził broń, przez zaufanych dowiadywał się co słycać w mieście i w cyrkule, przy drzwiach zamkniętych układał plan ataku. Im bliższym był termin powstania, tem bardziej zwiększała się jego gorączka. Według otrzymanej instrukcji, dopiero na 48 godzin przed samym wybuchem, powinien był uwiadomić spiskowych, gdzie i kiedy mają się zgromadzić. Wprawdzie w całym kraju mówiono o powstaniu jako o rzeczy niewątpiwej, i kierownicy sami wiadomość tę rozsiewali, wszakże nie czynili tego przez lekkomyślność, lecz w daleko sięgającym zamiarze. Oto chcieli oni wlaźce zdenerwować ciągłem niepoko-

jeniem, i zaskoczyć je właśnie wtedy, gdy rewolucji będą się najmniej spodziewały.

Na dziesięć dni przed 21 lutego, raz późną nocą wpadł do Granowa sam hr. Wiesiołowski.

— Niepomyślne wiadomości — rzekł. — Lwowska policja uwięziła wielu spiskowych, skutkiem czego w niektórych obwodach postanowiono rewolucję odroczyć!

— To bardzo źle, pysenku! A pan Teofil co na to?

— On jest zdania, by zamiast odroczyć wybuch, raczej go przyspieszyć. Nie mogąc w Jordanowie zacząć, udał się w okolice Narajowa, zkąd wyruszy na Brzeżany.

— Kiedy on takiego zdania, więc i my z nim, pysenku! Tylko ser dobry odkładany.

— I mnie się tak zdaje — pan Wiesiołowski odpowiedział. — W naszym obwodzie postanowiliśmy dlatego zacząć o kilka dni wcześniej, mianowicie ośmnastego lutego. Cóż ty na to Stanisławie?

— Najzupełniej się zgadzam! Jam już, pysenku, dawno gotów.

Stało więc na tem, że 18 powstanie wybuchnie.

Na dwa dni przed terminem, pan Granowski, uwiadomiwszy spiskowych, aby w nocy z 18 na 19 lutego zgromadzili się pod jego lasem na górze, sam oglądając wszystkie broń w pałacu, wydał rozkazy ostatnie, poczem pojechał do OO. Reformatów, aby u nich wypowiadać się i komunikować. Po spowiedzi miał naradę z przeorem. Ten po jego odjeździe wezwał do swojej celi dwóch braciszków i jedyne go nowicjusza, który był w klasztorze, i coś im długo opowiadał.

Podczas gdy spiskowi przygotowują się do działania, nasz przyjaciel chodzi pieszo po Granowie i stara się chłopów wybadać. Przed każdą większą zagrodą staje, a wywoławszy gospodarza, zaczyna z nim rozmowę o tem, co jest, a co być może, i dość wyraźnie daje mu do zrozumienia, że panowie chcą włóścian uszczęśliwić, a tylko rząd się temu sprzeciwia. Chłop kłania się pokornie i odpowiada: — Niech pan Bóg

temu dopomaga, kto chce dobrze! — i do chaty wraca, dzieciowemu w oczy nie spojrzawszy.

Mimo śnieżnej zawieruchy, która oczy zasypuje, pan Granowski dalej idzie, lecz wszędzie to samo go spotyka. Gdzieśniedzie zdawało mu się nawet, że chłopci przypatrywali mu się z niedowierzaniem, a jak tylko odszedł, zaczęli naradzać się za płotami.

Widoczne to niepowodzenie ani go zdziwiło, ani zasmuciło. Wszak oddawna powtarzał, że na chłopów liczyć nie można, a że z drugiej strony wierzył w świętość sprawy i poświęcenie spiskowych, więc ani wątpił o powodzeniu.

— Choć nie wielu nas będzie, pysenku — w duchu się pocieszał — damy szwabom radę. Trzeba tylko uderzyć niespodzianie a śmiało!

W nocy dnia 18 rozdał broń swojej służbie, która usłyszawszy o co rzecz idzie, przysięgła na krok go nie odstąpić, potem kazał wszystkim na wozy siadać i pod las jechać. Miejscowy mandatarzusz i jego policjanci należeli także do spiskowych. Razem z samego pałacu miało wyruszyć dwudziestu ludzi.

— Jaśnie panie — rzekł mandatarzusz przed odjazdem — obowiązek nakazuje mi wyznać, że między naszymi chłopami coś się dzieje.

— Cóż takiego?

— Bardzo nam są nieprzychylni.

— Jeżeli tylko tyle chciałeś mi acan powiedzieć, to niewiele. Że cham chamem, dawnom wiedział, pysenku!

— Wczoraj i przedwczoraj jeździli także do cyrkułu.

— Dam ja im i cyrkułowi! — gniewnie zawołał. — Teraz jednak jeszcze zawczasie o tem myśleć, pysenku! Siadaj acan i jedźmy!

Siedli i odjechali.

W miejscu zbornem pan Granowski stanął pierwszy z swoim orszakiem. Kazawszy wszystkim broń nabić i opatrzyć, przemówił do nich krótko a zwięzle, poczem usiadł na kłódzie, by na resztę poczekać.

W kwadrans przyszedł pieszo mąż Stasi, pan Bielski, z dwoma służącymi.

— Co tam słyhać, pysenku? — nasz przyjaciel zapytał.

Pan Bielski na bok go odprowadził.

— Żle — rzekł.

— Cóż takiego?

— W Bursku już wczoraj tak się chłopstwo odgrażało, że ja, bojąc się o Stasię, odesłałem ją do Lwowa. Z moich ludzi także mnie wielu odstąpiło... ledwie dwóch tu przyszło.

— Tak to chamom wierzyć! — mruknął, potem dodał: — Będzie, pysenku, co Bóg da, a my czynimy czego od nas obowiązek i honor wymagają!

Wrócili do powstańców.

Mimo zimna przejmującego i śniegu tumanów, które ich zasypywały, czekali cierpliwie, wzrok wyteżając, ażeby zobaczyć czy inni nadchodzą. W pół godziny przyszli wysłannicy OO. Reformatów; dwaj braciszki i jeden nowicjusz. Pan Granowski podał rękę każdemu i serdecznie ich uścisnął. Minęła godzina, nikogo nie było. Naszemu przyjacielowi zaczęło serce bić gwałtownie; jakieś przecucie złowrogie jego duszę ogarnęło. Druga godzina ubiegła, potem północ minęła, a nikogo nie było widać.

— Ciekawym, co się stać mogło — pan Bielski nieśmiało przemówił.

— Zapewne ich śniegi zatrzymały. Czekałmy jeszcze, pysenku!

— Ktoś idzie! Ktoś idzie! — odezwało się naraz kilka głosów.

Wkrótce zjawiał się człowiek bez broni, któremu ze zmęczenia w piersiach tchu zabrakło.

— — Co się stało? Gdzie inni? — z wszystkich stron go pytano.

— Wątpię, by kto więcej przyszedł — odrzekł — chłopci każdego łapią, wiążą i do cyrkułu odstawiają.

Powstańcy wysłuchali tych słów z najwyższym przerażeniem. Pan Granowski mimo, iż nie wątpił o prawdzie w nich

zawartej, postanowił jeszcze czekać. Gdy jednak do trzeciej rano nikt się więcej nie zjawił, wziął na bok pana Bielskiego i mandatarjusza i tak do nich przemówił:

— Chociaż mam tu władzę nieograniczoną, pragnę jednak waszej rady zasięgnąć. Powinno się było zebrać blisko trzystu, jest nas niespełna trzydziestu. Co więc robić?

Wszyscy na to się zgodzili, że w lesie należy broń zakopać i rozejść się cichaczem, aby w nikim podejrzenia nie obudzić.

— I jam tego zdania, pysenku! — potwierdził. — Gdy lepsza chwila nadejdzie, łatwiej się wszyscy zbierzemy. Teraz zakopać broń i do domu!

Uczyniono, jak uradzili, jedni rozeszli się po okolicy, drudzy, z panem Granowskim, udali się do jego pałacu. Między tymi znajdował się pan Bielski, mandatarjusz i jego policjanci. Nasz przyjaciel, jakby coś złego przeczuwając, tym ostatnim nie pozwolił pójść na sędziówkę, tylko kazał im spać w suterrenach.

Ponieważ już niedaleko było do rana, więc każdy do pałacu przyszedłszy, gdzie mógł rzucił się nierozebrany, aby choć godzinę spocząć po trudach nocy bezsennej.

Nie całkiem się jeszcze rozwidniło, gdy do sypialni pana Granowskiego wpadł mandatarjusz. Błady był jak chusta, a trząsał się jak w zimnicy.

— Jaśnie panie! — zawołał do łóżka przyskoczywszy.

Nasz przyjaciel, który także spał w ubraniu, zerwał się na równe nogi.

— Co się stało? — zapytał.

— Na podwórzu pełno chłopstwa wzburzonego! — sędzia wyjąkał.

— Chłopstwa? Chamów! — krzyknął takim głosem, że aż szyby zadzwoniły. — A oni tu czego chcą?

Sędzia ramiona ściagnał.

— Nie wiem, jaśnie panie... ale wszystkiego się obawiam.

— Kiedy się boisz, toś głupi acan! Zbierz policjantów i dworskich ludzi, i na dole czekaj na moje rozkazy. Ja ich

nauczę, puseńku, jak bez pozwolenia do mnie przychodzić! A to chamska zuchwałość! Idź acan i rób com kazał!

Sędzia odszedł, pan Granowski zaś przywołał pana Bielskiego, który spał w pokoju gościnnym, włożył konfederatkę na głowę i po schodach zeszedł na dół. Broni żadnej z sobą nie wziął.

Cały dziedziniec był nabity chłopstwem z Granowa i wiosek okolicznych. Chociaż byli bezbronni, z ich min wyzywających i spojrzeń zuchwałych łatwo było wywnioskować, że nie przyszli tu w zamiarach przyjaznych. Na głowach wszyscy mieli czapki, śmielsi zaś podswalali się pod samą kolumnadę pałacu. W tłumie, jakby w ulu pełnym, słychać było szmer głuchy, niewyraźny.

Zjawił się pan Granowski, jeszcze wyższy niż zwykle, dumny, poważny, spokojny. Spojrzał na tłum, który na jego widok jak fala zaczął się poruszać, i głosem donośnym zawołał:

— Chamy! Jak śmiecie stać tu w czapkach?!

Po tych słowach, jakby na komendę, wszyscy głowy odkryli. Prócz tego na przodzie stojący, z przerażeniem o kilka kroków w tył się cofnęli.

— Po coście tu przyszli? Czego chcecie? — zapytał jeszcze głośniej.

Cisza zaległa, jakby kto makiem posiał. Kilku na końcu stojących, wyniosło się chyłkiem za bramę. Nareszcie dał się jeden głos słyszeć.

— Nam powiedzieli, że się panowie buntują, więc za to trzeba ich do cyrkułu odstawić.

— Chodź tu Walek! — krzyknął do niego pan Granowski.

Chłop, który to powiedział, naprzód wystąpił, trwożliwie po za siebie spoglądając.

— Od kogoś to słyszał, mów?!

— Proszę jaśnie pana, mnie to powiedział Szymon.

— Szymon! chodź tu! A ty Walek stawaj na boku!

Walek słowa nie odpowiedziawszy w bok się usunął, gdzie sędzia stał z policjantami. Z kolei Szymon wystąpił.

— Kto ci mówił chamie, żeby panów do cyrkułu odstawić?

— Proszę jaśnie pana, mnie to mówił przysiężny.

— Na bok!... A ty przysiężny, tu!

Wyszedł z tłumu przysiężny w głowę się skrobiąc.

— Powiedz! Kto ci to mówił?

— Wójt, proszę jaśnie pana.

— Wójcie! chodź no tu ptaszku! A ty tymczasem, puseńku, stań sobie na boku! — Gdy przysiężny połączył się z Walkiem i Szymonem, a wójt pełen pokory stanął przed dziedzicem, ten surowo zapytał: — Powiedz mi, kto cię nadsłał na dwór twego pana? Powiedz prawdę, bo będzie źle, puseńku!

— To pan starosta, jaśnie panie... W cyrkule mówiono nam, że cesarz kazał panów wiązać i odstawiać. My tylko to robimy, co cyrkuł kazał.

— Dam ja tobie cyrkuł łotrze, dam ja ci starostę! Ja tu pan, ja tu sam cesarz! Więc wy się będziecie przeciw własnemu panu buntowali? Dam ja wam chamy! Panie sędzio! — dodał, do mandatarjusza się obróciwszy i na tych pokazując co na boku stali — za zuchwalstwo dasz im acan zaraz po dwadzieścia pięć, a jeźliby który z tych innych łotrów pisnął, dostanie pięćdziesiąt! A nie odchodzić! — dodał, postrzegłszy, że większość chce się wynieść za bramę, — niech każdy pa-trzy jaką karę buntownicy otrzymują, bo oni się zbuntowali przeciw swemu panu!

Tak ich przeraził, tak się zmieszali, że ani jeden głos protestu z żadnych ust się nie wyrwał.

Tymczasem policjanci w mgnieniu oka gdzieś ławkę znaleźli, poczem zaczął się sąd doraźny.

Pan Granowski przechadzał się ciągle pod kolumnadą, mierząc wzrokiem chłopów, z których w duchu każdy Bogu dziękował, że w tej chwili nie znajduje się na miejscu ani Szymona, ani przysiężnego, ani samego wójta.

Po spełnionym wyroku, dziedzic pozwolił, żeby wszyscy, którzy karę otrzymali, podziękowali mu za nią, w rękę go całując, poczem obróciwszy się do tłumu, tak przemówił:

— Teraz chamy do domu i do roboty! Pamiętajcie, że ja tu pan! Jeslibym zaś wyjechał, a tu potem co brakło, to wróciwszy kazałbym was wszystkich na suchej gałęzi powywieszać. Precz mi z oczu!

Jak dzieci rozkazu usłuchawszy, odeszli bez szemrania, i dopiero za bramą, gdzieś daleko we wsi, zaczęli czapki wkładać na głowy.

Pan Granowski obrócił się do pana Bielskiego.

— Żle, pysenku — rzekł półgłosem — ukorzyli się, lecz widziałem, jak byli rozjuszeni... gotowi wrócić... Każ pysenku, zaprząd do kolasy sześć koni. po trzy w poręcz... Ty i sędzia pojedziecie ze mną... Na koźle i w tyle po dwóch ludzi, wszyscy z bronią... Idź zaraz pysenku, aby późno nie było.

W pół godziny wyjechała kolasa, drogą najkrótszą do gościńca zdążając — a prawie równocześnie od strony przeciwnej ciągnęła czerniawa uzbrojona w kosy, widły i cepy. Nie byli to mieszkańcy Granowa, lecz Burska. Ci nie zastawszy w swoim dworze nikogo, zrabowali go i spalili, teraz zaś ciągnęli do Granowa, żeby tam zachęcać do pożogi i mordy.

## XXII.

W Galicji rozpacz.

Wczoraj jeszcze wszystkie oczy radością promieniały; na każdej twarzy była nadzieja; wszystkie usta zapowiadały zwycięstwo. Dziś w oczach smutek — na twarzach przerażenie — usta milczą, bo je ból ścisnął. Jak piękne sny śnili wczoraj, jak straszne dziś przebudzenie!

Wszelkie obliczenia zawiodły — powstanie nigdzie się nie udało. W Galicji zachodniej, chłopstwo rzuciwszy się najpierw na powstańców, potem na ludzi bezbronnych, wymordowało tysiące i porządek przywróciło: w Galicji zaś wschodniej, jedni z powodu strasznej burzy, która dni kilka szalała, nie mogli zdążyć do punktów zbornych, drudzy cofnęli się, wczas otrzymawszy rozkaz odwołujący powstanie, inni nakoniec, przekonawszy się w kilka godzin po rozpoczęciu działania, że powodzenie jest niemożliwe, rozpuścili swoje oddziały.

Teofil Wiśniowski, zgromadziwszy sześćdziesięciu ludzi pod Narajowem i wypędziwszy z tamtąd huzarów, znalazł się w przykrem położeniu. Z taką garstką nie mógł uderzyć na Brzeżany, ztamtąd zaś mógł każdej chwili nadejść silniejszy oddział wojska. Prócz tego już i do Narajowa doszły były głuche wieści o rzezi na Mazurach i odwołanem powstaniu. Wśród takich okoliczności należało coś innego przedsięwziąć.

Wiśniowski zebrawszy powstańców, ruszył z nimi do Błotni, zkąd postanowił dostać się do Pomorzan. W Błotni przed karczmą ujrzał włościan licznie zgromadzonych. Wielka myśl umysł mu rozjaśniła, otucha w duszę wstąpiła. A gdyby tak tych ludzi dla powstania pozyskać? Wtedy do kilku godzin mógłby mieć tysiące, wtedy śmiało poszedłby naprzód i zwyciężyłby pewnie!

Stał przed tłumem i otoczony wiernymi towarzyszami, zaczął przemawiać. Mówił z zapalem, z uniesieniem, przekonująco. Żywymi barwami odmalował im szczęście, jakie ich czeka, jeśli się Niemców pozbędą, przysiągł im na Boga i swoje sumienie, że powstanie ma na celu tylko szczęście ludu, w końcu wezwał ich uroczysto, by z nim się złączyli.

Chłopi wysłuchali, ten i ów ukłonił się nawet, w końcu odpowiedzieli:

— Niech Bóg temu daje, kto za dobrem ciągnie.

Ale żaden się nie ruszył, żaden nie uznał powstańców za swoich, żaden się z nimi nie złączył.

Wiśniowski spojrział na nich, westchnął i głowę zwiesił. Na pamięć nasunęły mu się słowa pana Granowskiego...

Wyszli z Błotni, do dni zaś kilku z oddziału powstańczego nawet ślad nie został.

Wkrótce po ataku na Narajów, zjechała tamże komisja cyrkularna, a wraz z nią Michał Zajac, którego policja lwowska wysłała, by pomógł wysledzić Wiśniowskiego i jego spółników. Zajac z największą radością o tem usłyszał. Dotąd nie zapomniał Legata papieskiego; dotąd nie wyrzekł się nadziei, że go złapie; dotąd nie przestał marzyć o nagrodzie na jego głowę wyznaczonej. Tysiąc guldenów, wszak to majątek dla

Michała Zająca! A on pieniędzy potrzebował, karty bowiem ciągle jeszcze były najmilszem jego zajęciem.

Gdy komisja przesłuchawszy świadków bez liku, spisał cały stos protokołów i uwięziwszy kilka osób podejrzanych, do Brzeżan wróciła, Zajac za żydka przebrany, puścił się drogą ku Błotni. Jak ogar zwierza tropiący, tak on pędził w ślad za Wiśniowskim, wypytyjąc o niego warty chłopskie, które po drogach stały, urzędników po małych miasteczkach, nawet żydów po karczmach.

Chociaż Wiśniowski, wiedząc jak jest śledzony, począwszy od Pomorzan, gdzie ostatnich powstańców rozpuścił, szedł dalej mało uczęszczanymi ścieżkami, trzymając się głównie brzegu stawisk i krawędzi lasów, mimo to Zajac tak dobrze go wietrzył, że ciągle był na tropie. Dopiero w pobliżu Brodów ślad zgubił zupełnie.

Gniew jego był bez granic. Już wierzył, że zwierzyne upoluje, tymczasem znowu mu się z rąk wymknęła. Lękając się, by pośpiechem tyle trudu nie zmarnował, na mil kilka dokoła Brodów przetrząsnął wszystkie wioski, i o chłodzie a głoście szukał dalej Wiśniowskiego. Lecz i wytrwałość nie pomogła. Ścigany przepadł jak kamień w wodę rzucony.

Złorzecząc losowi, przyjechał do Manajowa, wioski w pobliżu Podkamienia położonej, gdzie było kilku mniejszych właścicieli. Między nimi panowie Zamorski i Szczucki znani byli z gorącego patriotyzmu. Zajac wiedząc to, pod pozorem, że skupuje skórki zajęcze, ciągle bowiem był jeszcze za żyda przebrany, wkradł się do ich domów i wzrok wysilał a słuch wyteżał, ażali nie dojrzy lub nie usłyszy czegoś podejrzanego. I tu nic nie znalazł. Dziwnego atoli uczucia doznał w Manajowie. Nigdzie jeszcze nie zdarzyło mu się dotąd, żeby go tak na jednym miejscu coś zatrzymywało, i żeby mu głos wewnętrzny ciągle powtarzał: Tu szukaj! Aby sobie tedy nie mieć nic do wyrzucenia, przesiedział trzy dni w Manajowie i był nie tylko w dworach, lecz także w karczmie i u chłopów, których zrecznie wybadywał. Wszystko atoli na nic.

Zrozpaczony wrócił nareszcie do Lwowa.

Nie był jeszcze w połowie drogi, gdy jeden z chłopów manajowskich, daleko za wsią przez pole przechodził. W miejscu tem była ścieżka mało uczęszczana, a prowadząca obok opuszczonego pasieczyska. Tego dnia powietrze było suche, mroźne. Chłop podszedłszy pod pasieczysko, widzi ze zdziwieniem, że ze środka podnosi się dymek niebieskawy. Myszając, że to chłopcy przez psotę ogień tam podłożyli, wchodzi do środka.

W tejże chwili podnosi się ksiądz, który tam siedział i fajkę palił. Z łagodnym uśmiechem zbliża się do wieśniaka, i położywszy rękę na jego ramieniu, zaczyna mu opowiadać, że jest księdzem unickim z za kordonu, że prześladowany za wiarę przez rząd rosyjski, musiał schronić się do Galicji, gdzie między ludźmi zacnymi spodziewa się znaleźć schronienie i przytułek. Tak mówił pięknie, że chłopca do łez rozczulił, który odchodząc w rękę go pocałował.

Zaledwie atoli wyszedł z pasieczyska, stanął na ścieżce i chwilę pomyślawszy, prędko do wsi nawrócił. Po kilku minutach wszedł do swojej chaty.

— Wiesz co, Wasylu — rzekł do brata — w pasieczysku jest jakiś ksiądz.

— Ksiądz? — Wasyl zawołał — a on co tam robi?

Tu brat powtórzył mu wiernie całą swoją rozmowę z księdzem. Wasyl z niedowierzaniem głową pokręcił.

— Mnie się to jakoś nie podoba — rzekł.

— I mnie się nie podoba, dlatego do ciebie przyszedłem.

— Słyszałeś, jak wczoraj wypytywał się we wsi ten żydek rudy, czy tu gdzie nie ma jakiego nieznajomego, jakiego księdza?

— Słyszałem, słyszałem... Jakem go tam tylko zobaczył, zaraz mi to na myśl przyszło... Kto wie czy to nie ten sam buntownik, co to za niego chcą trzy tysiące cwancygierów zapłacić.

— Piękne pieniądze! — brat potwierdził.

— A gdyby to on był, tobyśmy dostali.

— Pewnie... i możnaby coś za to kupić.

Umilkli, jakby się namyślali co dalej czynić. Wreszcie Wasyl pierwszy przemówił:

— Wiesz co, weźmy sznury i chodźmy!

— Nie wiem czy nie będzie grzechu... zawsze to ksiądz, osoba poświęcana,

Wasyl nie miał takich skrupułów, bo w wojsku służył.

— Już ja ten grzech wezmę na siebie, tylko chodź!

Poszli, a w pół godziny wracali z księdzem skrzepowanym, który między nimi postępował cichy, łagodny, bez skargi, Wies, usłyszawszy co się stało, na drogę wyległa; wkrótce pojawił się i pan Zamorski, aby księdza z rąk chłopstwa uwolnić. Gdy mimo jego prośb i perswazji chłopci odmownie odpowiadali, pojechał natychmiast do Złoczowa, i tamtejszemu staroście, panu Andrzejowskiemu całą sprawę tak korzystnie dla uwięzionego przedstawił, że ten przyrzekł księdza zostawić na wolnej nodze i czekać, póki nie nadeszły papiery, mogące udowodnić tożsamość jego osoby. Pan Zamorski dał staroście słowo, że więźnia sam do cyrkułu przywiezie. Pan Andrzejowski wziął słowo i dał landsdragona, aby jego obecność chłopstwu zaimponowała. Pan Zamorski jedzie z landsdragonem, a spotkawszy na drodze chłopów, wiozących księdza powrozami skrzepowanego, rozkazuje im w imieniu starosty, żeby go niezwłocznie wypuścili i jemu oddali. Chłopci wahali się z początku, gdy jednak landsdragon rozkaz powtórzył, szemrząc więźnia uwolnili, lecz mimo to nie przestali go eskortować do samego Złoczowa.

Tu ksiądz oświadczywszy w cyrkułe, że się nazywa Benedykt Lewiński i z za kordonu pochodzi, otrzymał pozwolenie mieszkania w mieście i odprawiania mszy według rytuału unickiego.

Pao Zamorski, który wraz z sąsiadem swoim, Szczuckim, księdzu do pasieczyska ukradkiem pożywienie nosił, uradowany tak pomysłnym obrotem rzeczy, udał się do swoich sąsiadów, aby ich rady zasięgnąć, ksiądz zaś został w Złoczowie, czekając na papiery, którymi miał się legitymować.

W kilka dni po wypadku w Manajowie, prezydent lwowskiego sądu kryminalnego otrzymał od starosty złoczowskiego

zapytanie, czy między swymi urzędnikami ma kogo, coby znał i mógł rozpoznać Teofila Wiśniowskiego. Starosta pisał, że niedawno aresztowano księdza unickiego, którego on na wolnej stopie zostawił; dnia atoli poprzedniego, ktoś na mieście ujrzawszy owego księdza, prawdopodobnie przez nieostrożność zawołał, że to Wiśniowski. To obudziło w staroście podejrzenie, kazał więc księdza zakuć w kajdany i do więzienia wtrącić, teraz zaś czeka, aby mu do rozpoznania uwięzionego kogo ze Lwowa przysłano.

Prezydent uradowany tą wiadomością, zwołał natychmiast wszystkich swoich urzędników, lecz gdy usłyszał, że żaden z nich nie zna Wiśniowskiego, udał się sam do dyrektora policji, Sacher-Masocha.

Ten usłyszawszy o co się rozchodzi, aż w ręce klasnął.

— Mam tu takiego, mam, któremu Wiśniowski już raz z rąk się wymknął. Pamięta on go dobrze i z pewnością pozna!

Nie upłynęła godzina, a Michał Zajac pędził do Złoczowa ekstrapocztą.

Do kancelarji starosty wprowadzono więźnia. Na sobie miał jeszcze suknie księże, twarz jego była może trochę bledsza niż przed kilku dniami, lecz zawsze łagodna; oko spoglądało jak dawniej spokojnie, bez bojaźni.

Na jego widok Zajac uśmiechnął się szatańsko, i postąpiwszy kilka kroków naprzód, skłonił się głęboko, mówiąc ironicznie:

— Ściele się do stóp Jego Ekscelencji legata papieskiego.

Ksiądz spojrział na Zajacę i rzekł spokojnie:

— Nie znam tego człowieka.

Historja z legatem papieskim tak powszechnie była znana, że pan Andrzejowski nie żądał by mu ją opowiadano; to też obróciwszy się do Zajacę, zapytał:

— Więc to on... Wiśniowski?

— On! — brzmiała odpowiedź krótka, a straszna, jak zapadający wyrok śmierci.



Starosta kazał natychmiast wszystko przygotować, aby więźnia do Lwowa odstawić. Tymczasem Zajac pobiegł jeszcze do komisarza, u którego był protokół więźnia, żeby się dowiedzieć gdzie go złapano i wśród jakich okoliczności.

Czytał, a włosy z przerażenia stawały mu na głowie, krew zaś serce zalewała. Więc złapali go w Manajowie, w tym Manajowie, gdzie on go tak śledził i szukał, i gdzie tak dobre miał przecucie! Pamiętał owe pasieczysko w polu, raz nawet był tuż przy niem, lecz nie wstąpił, bo czyż mógł przypuścić, aby w miejscu nieosłoniętym, na zimno i wiatry narażonem, ukrywał się tak wielki rewolucjonista? O! Boże! on mógł go złapać, zemścić się za hańbę, wziąć 1000 guldenów i order otrzymać, a tymczasem wszystko go ominęło! I któż dokonał tak wielkiego dzieła, kto? Prosty chłop, nieumiejący ani czytać, ani pisać, niemający ani krzty sprytu policyjnego, którego ślepy przypadek tam zaprowadził!

Była chwila, że nadzieja duszę mu rozlaśniła. Kto wie, czy się chłop dowie o tem co teraz nastąpiło, i czy się zgłosi po nagrodę. Jeżeli nie, w takim razie nagrodę niewątpliwie otrzyma on, Zajac, bo przecież on najdłużej tropił Wiśniowskiego, i teraz on go poznał!

Piękne marzenia prędko się jednak rozwiały, zanim bowiem z więźniem do Lwowa wyruszył, już chłopci manajowscy uwiadomieni o tem co zaszło, przyjechali do Złoczowa, skąd starosta odesłał ich do Lwowa po nagrodę.

Na jednym wozie jechał Wiśniowski skutny i przez ośmiu żołnierzy strzeżony, na drugim Michał Zajac, na końcu chłopci. Ilekroć Zajac spojrział na więźnia, twarz wykrzywiała mu się boleśnie, z piersi wyrывało się westchnienie, do oczu prawie łyły się cisnęły. Tyle marzeń rozwianych — tyle nadziei zawiedzionych — przyszłość tak zwichnięta!

Gdy do Lwowa przyjechawszy oddał Wiśniowskiego prezydentowi sądu, sam zamknął się w swojej kancelarji i w nie noc całą przesiedział.

W strasznym stanie znajdowała się dusza tego człowieka. Za sobą widział przeszłość ciemną, przed sobą ani promyka nadziei...

Siadł przy stole i rozpaczliwie ręce nad głową załamał. Na pamięć nasuwały mu się lata pierwszej młodości, towarzysze szkolni, którzy go nienawidzili, gdyż pokryjomu oskarżał ich przed profesorami, pierwsze miłości wrażenia, i pierwsze z żoną spotkanie. Uśmiechnął się lubieżnie, i ręce na stół opuścił, aby swobodniej przypatrzeć się tej Kasi, która w szesnastej wiosnie jaśniała całą krasą młodości i wdzięków, gdy wtem zamiast dziewicy pięknej i szczęśliwej, ujrzał przed sobą twarz konającej...

Zatrząsł się cały, porwał się z krzesła, i przerażony pobiegł do okna, przez które wpadał słaby blask świecącej na ulicy latarni. Chwilę stał przy niem, słuchając dzwonka odzywającego się z wieży ratuszowej i odwagę zbierając, potem obrócił się powoli i badawczo spojrział do koła.

W kancelarji było ciemno, czarne szafy napełnione aktami, stały jak milczące sarkofagi, ciszę przerywały tylko myszy, ogryzające przy drzwiach szczątki papierów.

Zasztydził z własnego tchórzostwa, i w tył ręce założywszy, zaczął chodzić i dalej myśleć. Lecz niezbyt przyjemne musiały być te myśli, skoro często stawał, oburącz ścierał zimny pot z czoła, z przerażeniem poza siebie się oglądał, i przy drzwiach nadśluchiwał. Na korytarzu panowała także cisza uroczyista. którą niekiedy macił mierzony chód warty.

Szczególne rzeczy działy się teraz w duszy Michała Zajaca. On, który przez ciąg swego życia, ani raz jeden nie zapytał swego sumienia, ażali to, co czynił, było dobre lub złe, uczciwe lu zdrożne, szlachetne lub nieszlachetne, teraz jak surowy moralista, począł roztrząsać swoje czynności, a gdy głos wewnętrzny wołał: — „Tyś zbrodniarz! Tyś podły!“ — on na swoje usprawiedliwienie ciągle powtarzał:

— Tak postępować nakazywał mi obowiązek!

W tem tłumaczeniu nie musiał atoli znaleźć pociechy, bo chodząc po izbie rzucał się nerwowo, oburącz chwytając się za włosy, raz uderzył nawet o mur głową, jęczał i przeklinał, w końcu padł znowu na krzesło obok stołu i twarz sobie zasłonił.

Michał Zajac płakał...

Rano odzwierny nie mogąc go się dowołać, drzwi wysadził. Jakież atoli było jego przerażenie, gdy na oknie ujrzał wiszące zwłoki Zajaca! I musiał skończyć jak wielki filozof, na jego twarzy bowiem, miasto cierpienia, widać jeszcze było gerzką ironję.

Na stole leżała kartka białego papieru, na niej słowa:

„Umieram, bom się przekonał, że żyć nie warto. Jedni pracują ucziwie i wytrwale a nie nie mają; drugim los ślepy wszystko w ręce oddaje, Wartoż wśród takich okoliczności nadal się mozolić? Przekonawszy się, że ani zapobiegliwość, ani wierność zasadom, ani wytrwałość na drodze ucziwej nie pokonają przypadku, który sam jeden ludzi bądź wynosi, bądź poniża, ginę w przekonaniu, że i na drugim świecie nie spotkają mnie większe zawody od tych, których tyle na ziemi zaznałem! Nie żegnam nikogo, bo nikt tego odemnie nie żąda; o pacierz nie proszę, bobym go nie miał czem zapłacić; o trumnę nie błagam, bo i tak dać mi ją musicie!

*Michał Zajac.*“

### XXIII.

I znowu rok upłynął. Był lipiec.

Ulicą Halicką we Lwowie szedł pan Stanisław Granowski, prowadząc pod ramię panią Stanisławę Bielską. Oboje byli w żałobie. Szli do gmachu sądu kryminalnego.

Z wszystkich stron tłupy nadciągały — wszystkie kobiety były czarno ubrane.

Niedaleko sądu zatrzymali się nasi znajomi.

Tam na podwórzu znajdowało się wysokie rusztowanie, otoczone silnym oddziałem wojska. W koło panowała cisza uroczysta acz ponura, słyszałeś lot jaskółek, które w powietrzu bujały.

Niedługo trwało, a na rusztowanie wyprowadzono Teofila Wiśniowskiego. Ręce i nogi miał na krzyż skute ciężkimi kajdanami, z głowy reszta włosów mu spadła, twarz w więzieniu obrzękła, wąż gęsty usta ocieniał. Ale mimo iż

cierpienie malowało się na tej twarzy, nie przestała ona być łagodną, szlachetną, majestatyczną!

Na balkonie gmachu sądowego pojawił się urzędnik, i głosem donośnym odczytał skazanemu wyrok śmierci. Wysłuchał spokojnie, ani jeden nerw w twarzy mu nie drgnął, ani jedna skarga przez usta się nie wyrwała.

Kobiety zaczęły płakać...

— Cicho, puseńku, cicho! — szepnął pan Granowski, rękę towarzyszkii kureczowo do swej piersi przyciskając.

Sam niby był spokojny, i okiem przenikliwym wpatrywał się w stojącego na rusztowaniu, lecz twarz jego była przerażająco blada, i usta niekiedy drgały mu nerwowo.

Gdy urzędnik czytać przestał, Wiśniowski chciał przemówić. W tej chwili w bębny uderzono i jego słowa zginęły. Dopiero gdy z rusztowania schodził, zawołał tak głośno, że go daleko słyszano:

— Żegnam was, bracia!

Odszedł i drzwi więzienne znowu się za nim zamknęły.

— Chodźmy Stasiu! — szepnął pan Granowski.

Młoda kobieta nic nie odpowiedziała, tylko chustkę przy oczach trzymając, dała się prowadzić swemu opiekunowi. Wrócili do domu.

O! w ciągu tego roku jednego pan Granowski więcej przecierpiał, niż przedtem przez życie całe! Wszystkie swoje nadzieje widział zburzone, wszystkie marzenia rozwiane, na widnokregu jego przyszłości ani jedna gwiazda nie jaśniała. Powstanie, z którym łączył szczęście swojej ojczyzny, spełzło na niczem; krew ofiar tysiąca, wytoczona nożem bratobójczym, spłynęła bez pożytku; więzienia napełniły się po brzegi ludźmi różnego stanu i wieku — kędy spojrzal, żałoba — kędy postąpił, rozpacz! Nawet jego przyjaciel, pan Konstanty Słotwiński zginął w Głobikowej, przez rozjuszone chłopstwo zamordowany. Na to wrócił z Kufsteinu, żeby go własni zabili!

Wśród nieszczęść, które na kraj spadły, o sobie ani myślał. Co go obchodziło, że jego majątek był zrujnowany, skoro cała jego ojczyzna była także z wszystkiego odarta? Miałże myśleć o zabezpieczeniu sobie starości, skoro życie stało mu

się prawie ciężarem? I kto wie, czyby był całkiem nie zdziwaczał, gdyby nie Stasia, która bądź sama, bądź z mężem, często z Burska do Lwowa przyjeżdżała, by wujaszka odwiedzić. Przy niej jednej ożywał się i nabierał chęci do życia.

We Lwowie mieszkał już stale od roku poprzedniego. I nie tylko dlatego do Granowa nie wracał, że się bał tam zastać nową egzekucję; on teraz więcej niż kiedykolwiek potrzebował pociech religijnych, o które łatwiej mu było w mieście, wśród mnogich kościołów i licznego duchowieństwa. Prócz tego od roku bawił tu także ks. Zagórski, z którym codzień się widywał.

Dawny c. k. mandatarjusz i sędzia policyjny osiągnął czego żądał i został kapelanem wojskowym, ale nim jeszcze miał czas rozpocząć agitację, już powstanie wybuchło i zgasło. Odtąd roztropność nakazywała milczeć...

W dniu, w którym odczytano wyrok Teofilowi Wiśniewskiemu, pan Granowski siedział w swoim pokoju i przy drzwiach zamkniętych rozmawiał z ks. Zagórskim, który miał minę wielce zafrasowaną.

— Więc mów, pycenku — gospodarz po raz dziesiąty napierał — zrobi, czy nie?

— Radby, ale się boi...

— Czego tu się bać, pycenku? Przecie mu do licha głowy nie urwą, a choćby go nawet na jakiś czas zamknęli, to zawsze będzie miał sobie czem kożę osłodzić. Mówiłem ci, pycenku, że cały mój majątek wynosi już tylko dziesięć tysięcy dukatów... Chętnie dam mu połowę, byłem go dziś wieczór widział...

— Jużem mu to mówił, jasnie panie, i jeśli mam prądę wyznać, dukaciki bardzo mu do gustu przypadły... Nasz pater lubi pieniądze.

— Więc niech bierze, pycenku, i kwita.

— Łatwo to powiedzieć, ale wykonać trudno... O tem, aby jasnie pan poszedł za niego przebrany, nawet mowy nie ma... Zbyt to znana w sądzie karnym osobistość, prócz tego wzrost i wyglądanie jego całkiem inne. Mnie się zdaje, że to się inaczej nie da zrobić, tylko tak...

— Jak, pycenku? — pan Granowski zapytał, krzesło przysuwając.

— Według przepisów, taki ksiądz wojskowy powinien być przy skazanym jak najdłużej, rano zaś musi mu towarzyszyć na miejsce stracenia. Oto nasz pater może na godzinę wymówić się jakimś ważnym wypadkiem i w zastępstwie swoim przysłać innego księdza...

— Dobra myśl, pycenku! A tym innym ja będę.

— Ponieważ o jego wierności nikt nie wątpi, przeto i jego zastępcę wpuszczą bez trudności. Trzeba tylko jasnie panie wasy ogolić i dobrze się trzymać, żeby się nie zdradzić...

— Ja bym za niego dał głowę, a acan mi wasy przypominasz! Więcej on dla ojczyzny poświęcił, a jednak się nie skarży. Święty to człowiek, książe Zagórski, już za życia święty! Nawet chamom nie złorzeczy, chociaż go zdradzili! Pięknie wyszedł na swojej filantropii! A nie lepiej zrobił Granowski, że im nie ufał? Wymierzyłem im karę ojcowską, i odjeżdżając zapowiedziałem, że jak wrócę a zastanę co zniszczonego, to wszystkich każę powywieszać. No i widzisz, pycenku, że to skutkowało. Na kilka mil w koło jeden dwór się nie ostał, a mego pałacu chłopci granowscy sami strzegli przed obcemi czerniawami, bo im ciągle moja groźba w uszach dzwoniła... Mój poczciwy Kostuś także chamom wierzył i za to go zamordowali! Oj! nie dla nich filantropia, pycenku, nie dla nich!

Tu pan Granowski westchnął, i dopiero, gdy łzę połknął, która na wspomnienie przyjaciela, do oczu mu się cisnęła, dalej mówił:

— My tu rozmawiamy a czas ucieka... Ot weź lepiej książe pieniądze i zanieś swemu koledze, bo ja ci powtarzam, że tam być muszę. Choćbym miał, pycenku, głowę nałożyć, będę go widział!... Ale nie bój się książe, Granowski nikogo nie skompromituje! Wśród tych szwabów z biedy nauczyłem się nawet obłudy, z którą pewnie na świat nie przyszedłem, to też możesz być pewny, że nie będę gorszym księdzem, niż on lub ty, pycenku!

To powiedziawszy, powstał z sekretarzyka, który stał pod ścianą, wyjął worek dukatów, i podając go swemu gościowi, rzekł:

— To na zadatek, pysenku, a resztę za dni kilka, bo więcej nie mam w domu! Powiedz mu, że o resztę może być spokojny, bo to Granowski mu dłużny!... A teraz księżę, jeśli chcesz, idź się z panią Bielską pożegnać, bo jeszcze dziś w nocy poczta odjeżdża, właśnie mąż po nią przyjechał... Ja biedaczki nie zatrzymuję, bo jutro będzie cień ciężki!...

Ks. Zagórski odszedł za gospodarzem.

O kilkaset kroków od mieszkania pana Granowskiego stał opuszczony klasztor Karmelitów bosych, w którym po zniesieniu tegoż klasztoru przez Józefa II, rozbił swoje namioty austriacki sąd kryminalny. Dawny kościół, obrócony na wojskowe magazyny, wznosił się wysoko frontem ku ulicy Halickiej; za nim w gmachach nieregularnych i ponurych, w których niegdyś zakonnicy pacierze odmawiali, były teraz biura sędziów i cele więźniów.

W jednej takiej celi siedział Teofil Wiśniowski.

Przed nim stał stół niewielki obrusem nakryty, na nim Chrystus na krzyżu rozpięty, między dwiema gorejącymi świecami woskowymi. Skazaniec siedział na stołku drewnianym; przed nim leżała książka do nabożeństwa. Na rękach i nogach miał ciągle jeszcze kajdany.

Drzwi na korytarz wychodzące, były otwarte. W nich stali dwaj żołnierze z bronią nabitą. Niekiedy zdawało się, że ten lub ów przez korytarz przechodząc, do celi zaglądał. Jeżeli to był wróg Polaków, to na widok tego człowieka, który za godzin kilka miał zginąć na rusztowaniu, serce z radości w piersiach mu skakało; jeżeli zaś u drzwi zatrzymał się jakiś człowiek nieodarty z uczuć ludzkich, to ból piersi mu ścisnął i łza w oku się zakręciła, bo widział przed sobą ducha wyższego, który ginął dla idei.

O! jeśli kiedy, to właśnie w tej chwili Wiśniowski nie wyglądał jak zwykły śmiertelnik. Wszystko co ziemskie zrzucił z siebie, oko pełne zachwyty wpatrywało się w Chrystusa na krzyżu rozpiętego, twarz wewnętrznym spokojem rozja-

śniona wszystkim przebaczyła... Uważając życie za sen bolesny, który się już spełnił, ze spokojem stoika czekał na przebudzenie!...

We drzwiach stanął poważny Dominikanin. Klasztor to był we Lwowie z dawien dawna na pół niemiecki, więc i zaufanie rządu do jego członków było wielkie. Zakonnik pokazawszy odźwiernemu, który stał na korytarzu, kartkę prezydenta, powiedział potem żołnierzom we drzwiach hasło, i wszedł do celi.

Wiśniowski powitał go uśmiechem, jak dobrego znajomego. Przed dwiema godzinami, kapelan wojskowy, zapowiedział mu wizytę swego przyjaciela; skazaniec przyjął tę wiadomość z wdzięcznością, boć tem miłsza droga daleka, im więcej życzliwych nas odprowadza...

Jakież atoli musiało być jego zdziwienie, gdy zakonnik, pozdrowiwszy go w imię Chrystusa, dał mu znak ręką, żeby usiadł na ławie, która stała w ciemnym kącie celi i tam się z nim znalazłszy, w te słowa przemówił:

— Bracie! ty nie zginiesz, ja cię, pysenku nie dam!...

Tyloletni konspirator, więzień stanu, w chwili zaś obecnej na śmierć skazany, miał czas wyrobić w sobie niezłomnego hartu wolę, to też ani jednym drgnieniem nie okazał swego zdziwienia; tylko rękę zakonnikowi namiętnie uściśnął na znak, że go poznał.

— Przyszedłem tu bracie — szeptał dalej Dominikanin — aby cię upewnić, że jutro całe miasto w twojej obronie powstanie! Rozmawiałem ci ja, pysenku, nie z jednym i wiem, jak są wszyscy usposobieni!...

Skazaniec spojrzał mu w twarz z zachwytem.

— O! z jaką radością teraz umrę bracie! — odpowiedział — widząc, że zostawiam jeszcze Polsce synów, którzy ją kochać, i dla niej poświęcać się będą! Bo przecie we mnie, wy byście chcieli bronić tylko ojczyzny naszej, tylko Polski!... Ale nie, bracie, miłość wasza za daleko was uniosła! Nie sądzicie, że jeden człowiek to naród cały!... Człowieka poświęćcie o narodzie pamiętajcie!

Pan Granowski słów jego nie zrozumiał.

— Dla czegoż — rzekł — mielibyśmy cię poświęcać bracie, skoro jesteś czysty, niewinny?...

Więzień głową potrząsał ze słodkim uśmiechem.

— Dla tego, że niegodną byłoby nas rzecz, aby w obrobie jednego człowieka ginęły tysiące! Dla tego, że chcąc mnie bronić, musielibyście nowe strumienie krwi wytoczyć, a tej krwi, niestety, bezowocnie już tyle u nas się wylało. Dlatego, że toby było przeciwne woli Boga! O! tak, mój bracie, dziś gdy patrzę w tego Chrystusa na krzyżu rozpiętego, umysł mój dziwnie się rozjaśnia, co było tajemnicze, na jaw występuje, co było błędne, upada! I oto rozumiem teraz, że Bóg człowieka stwarzając, powiada mu: „Tyle a tyle uczynisz na ziemi! Jeśli zuchwale zechcesz dalej sięgnąć, zginiesz!“ Snać mnie Bóg powiedział, abym moją ojczyznę tylko kochał i dla jej dobra pracował, ale ja zuchwalec, chciałem ją jeszcze z grobu dźwignąć, gdzie on sam ją wtrącił! Za tę też zuchwałość teraz ginę!... O! bądźcie spokojni, bracia! Muje życia nie żal, a przecucie mówi mi, że śmierć moja będzie tylko pomyslnym dla przyszłości posiewem! Jeszcze raz dziękuję ci, bracie! a w tobie miastu, Polsce całej, lecz ofiary waszej nie przyjmuję, nawet wam zakazuję o tem myśleć!...

Pan Granowski ręce kurczowo załamał.

— Ciebie w więzieniu znieważali, katowali, i jeszcze masz ginąć tak marnie!

— A Chrystusa, bracie, czy nie biczowali? A za co? Jedynie za to, że prawdę i miłość głosił!... A Chrystus czyż nie zginął marnie na krzyżu? O! dawne drzewo hańby innem teraz zastąpiono, a to, które w tej chwili dla mnie stawiają, jest tylko moim krzyżem i nim być musi, boć Polska nie ma innego!...

W celi zapanowało milczenie ponure, Przy drzwiach jeden żołnierz się obrócił.

— Dziękuję ci bracie — szepnął więzień — że w ostatniej jeszcze chwili wlałeś pociechę w moją duszę... lżej mi będzie umierać... Ale ty idź, aby cię nie odkryto... Teraz zaś mów ze mną modlitwę za umarłych, aby żołnierze nie podejrzewali.

To powiedziawszy, więzień zbliżył się do stołu i padł na kolana. Kajdany głucho brzękły. Obok niego ukląkł Dominikanin. Odmówili głośno modlitwę, potem powstawszy ucałowali się po raz ostatni i rozłączyli.

#### XXIV.

Dawno już było po północy, gdy p. Granowski w sukniach zakonnych wrócił do swego mieszkania. Przebrał się natychmiast, i szybko zaczął chodzić po pokoju. Był wzburzony, w ruchach dziki prawie, wyglądał jak lew pustylny, gdy go do żelaznej klatki wtrąca.

Dotąd widział więźnia, dotąd w uszach brzmiały mu jego słowa, dotąd podziwiał jego rezygnację. A jednak nie mógł się jeszcze z myślą pogodzić, że ten człowiek zginie na rusztowaniu.

Chodził kilka godzin, nareszcie jak wryty stanął i rzekł stanowczo:

— Nie! on nie zginie jak pies: Tędy go będą wieźli, a więc dziej się wola Boża!

Ledwie to powiedział, rzucił się do szafki, w której znajdowała się broń jego. Wyjął strzelbę turecką i krucicę, zaczął nabijać...

Gdy skończył i prochu na panewki nasypał, położył broń na stole i okno otworzył.

Miasto jeszcze spało. Na rogach ulic ostatnie latarnie pogasły, noc była bezkسیężycowa, dokoła cisza zalegała. Tylko niekiedy dawały się w oddali słyszeć mierzone kroki żołnierzy i krótkie ich dowódców nawoływania. To gęste patrole noc całą po mieście krążyły, przestrzegając, żeby porządku nikt nie zakłócił.

Gdy jeden taki patrol zbliżył się do kamienicy, w której pan Granowski mieszkał, ten patrząc z góry, w duchu sobie myślał:

— Zapobiegajcie! starajcie się! a ja wam mówię..., że go nie stracie!...

Żołnierze odeszli, pan Granowski zaś od okna odstąpiwszy, padł przed krucyfiksem, który stał obok jego łóżka i z głębi duszy zaczął się modlić:

— O! Panie, korzę się przed Tobą w prochu, i błagam Cię o miłosierdzie! O! Panie! jeśli taka święta wola Twoja, niech się spełnią losy jego, tylko błagam Cię, nie dopuść o! Panie! aby brat szlachcic jak pies zginął na niemieckim powrozie! Nie dopuść także o! Boże, by mi w chwili stanowczej ręka drgnęła, lub oko zawiodło — a potem o! Panie! na ojcowskie i miłosierne Swoje łono przyjm grzeszną duszę moją!...

Skończył — i przed Chrystusem upadł krzyżem.

Gdy powstał, na dworze dzień się zrobił, na ulicach było tłumno i gwarno, tysiące płynęły do gmachu sądu kryminalnego.

Raz jeszcze broń opatrzył, i wzięwszy janczarkę pod ramię, stanął tak bokiem przy oknie, żeby go ani z ulicy, ani z przeciwnych kamienic nie było można zobaczyć.

Tymczasem dzień zrobił się zupełny, wreszcie i słońce zajaśniało. On jak posąg marmurowy stał ciągle na dawnym miejscu, oko w tę stronę wyteżając, z kąd żałobny wóz miał nadjechać. Ręce były spokojne, w twarzy ani jeden nerw mu nie drgnął...

Minął kwadrans, drugi, nikogo nie ma... Nawet na ulicy zamiast coraz głośniejszej, robiło się coraz ciszej... Wkrótce ulica była pusta, jakby ją wymiotti. Ogarnęło go uczucie złowrogie. Odwrócił głowę, aby spojrzeć na zegar w pokoju stojący. Wskazówka minęła już tę godzinę, o której skazanego mieli wieść na plac stracenia.

Z przerażeniem przez okno głowę wychyla. Środkiem ulicy biegnie chłopiec.

— Wiozą go?! — zawołał.

Chłopiec stanął i odpowiedział.

— Psiewiary, powieźli go innemi drogami, bo się bali, żebyśmy go nie odbili!

To rzekłszy, dalej pocwałował.

Pan Granowski szybko strzelbę odłożył, jak stał, zbiegł po schodach, i puścił się w zachodnią część miasta.

Biegł prędko, coraz prędejszemu, śladu tych się trzymając, którzy chcieli jeszcze na czas zdążyć. Co go tam ciągnęło, nie wiedział — co zamierzał uczynić, ani o tem pomyślał. Jakaś potrzeba wewnętrzna mówiła mu, że wczorajszego męczennika raz jeszcze powinien zobaczyć, żeby go pożegnać. Nie mógł mu innej oddać przysługi, niech więc przynajmniej usłyszy jego ostatnie westchnienie...

Stanął wreszcie tam, gdzie zgromadził się tłum liczny. O uszy obił się płacz kobiet i głośne bębnowe warczenie.

Spojrzał w górę — jęknął — oczy sobie zasłonił i padł na ziemię.

Teofil Wiśniowski już nie żył.

Jak długo klęczał, twarzą ku ziemi nachylony, nie pamiętał. Zbudziły go dopiero słowa, które nad swoją głową usłyszał:

— Niech pan wstanie, bo huzary drogę oczyszczają... Gotowi pana potratować!

Spojrzał. Obok niego stał jakiś mieszczanin. Tłumy płacząc rozchodziły się w prawo i w lewo, zdala nadciągał szwadron huzarów.

— Dziękuję — odrzekł — wstał i do miasta się zwrócił.

Szedł wolno, krok za krokiem, jak człowiek co się bardzo utrudził. Wczoraj jeszcze śmiały, dumny, wyniosły — dziś postępował łagodny, cichy, schylony. Niczego nie słyszał, niczego nie widział. Ludzie mijali go potrącając, on na nikogo się nie rozgniewał. I szedł coraz dalej, na drogę nawet uwagi nie zwracał — na los szczęścia.

Dziś zerwała się w nim nić ostatnia, która go jeszcze z ziemią łączyła.

Tak idąc minął miasto i mimowoli skierował się ku kościołowi OO. Bernardynów. Spojrzał na jego mury poczernione, przeżegnał się, westchnął, i chwilę stał na obszernym placu, wpatrując się w krzyż żelazny, który jaśniał na szczycie świątyni. W nim pociechy szukał.

Potem zwrócił się w lewo, i u furty zadzwonił. Wyszedł braciszek.

— Jest ksiądz prowincjał? — zapytał.

— Jest, proszę pana.

— A do klasztoru przyjmujecie?

Braciszek spojrział na pytającego z niedowierzaniem.

— Przyjmujemy — odpowiedział — ale tylko biednych...

— Wszyscy my biedni, pysenku...

Już chciał próg przestąpić, lecz jeszcze się zatrzymał, jakby go co tknęło.

— Ksiądz prowincjał jak się nazywa? — zapytał.

— Ojciec Baltazar.

— To imię tylko... Ale jaki ród jego, jak po ojcu?

— Król.

— Król? Więc on zapewne z chłopów.

— Tak panie, ze stanu włościańskiego.

— A acan także z chłopów?

— I ja z włościan. W naszym klasztorze sami synowie kmiotków...

Pan Granowski o krok się cofnął, wyprostował, nagle zrobił się znowu poważny i dumny.

— Przepraszam, że acana trudził bezpotrzebnie, przepraszam!

Braciszek drzwi zamknął — pan Granowski odszedł.

Za chwilę zadzwonił u furty OO. Jezuitów.

## XXV.

Pociąg włókł się powoli, przez okolicę bezludną i dziką. Czasem do okien wagonów cisnęły się pagórki monotonne, drzewem szpilkowem skąpo porośłe; czasem widnokrąg znaczenie się rozszerzał, by w dali ukazać gór sine łańcuchy; a czasem wagony dudniły na moście drewnianym, pod którym płynął strumień górski, spieniony i gniewem dyszący, że brzegi skaliste nie pozwalały mu rozlać się szeroko.

Dzień był smutny, dżdżysty, bezsłoneczny, jeden z tych, które Anglika popychają do samobójstwa; mieszkańca Północy

do kieliszka, filozofa do owej zadumy głębokiej a czarnej, która miasto prawdy, niesie mu zwątpienie...

Siedziałem sam jeden, o tem myśląc, co za kilka godzin miałem zobaczyć.

Jechałem ku granicy, między te góry ponure a ubogie, gdzie według podania, świąt deskami zabity. Tam na ruinach starego zamczyska, które jak zburzone gniazdo orle, na szczycie góry najwyższej, przez dwa wieki ostatnie świadczyło o wielkości minionej, a chwale przebrzmiałej, wzniesli ostatniemi czasy OO. Jezuiti klasztor okazały.

Ledwie lat kilka upłynęło od ich osiedlenia w tamtych stronach, a już stawa klasztoru szerokim strumieniem zaczęła płynąć ku najdalszym krajom zakątkom. Mówiono o wielkim rozumie zakonników, o ich zbawiennym wpływie na ludność okoliczną, której moralność z każdym dniem się podnosi; o poświęceniu dla chorych, o miłosierdziu dla biednych. Wprawdzie niekiedy odzywały się także głosy wręcz tym przeciwnie, ogół atoli, stojąc wiernie pod sztandarem katolicyzmu, odtrącał je jako bluźnierstwo. Zaciekawiony tem, co do mych uszu dolatywało, postanowiłem i ja klasztor odwiedzić, by z bliska tych poznać, których od wieków jedni wielbią, drudzy nienawidzą; którym jedni błogosławią, drudzy złorzeczą; którzy bądź co bądź musieli wzniesić się po nad poziom mierności, i sięgnąć ku wyżynom dla niewielu dostępnym, skoro tak różne wywołują uczucia i tak sprzeczne sądy!...

Zamiarowi mojemu nie stanęło nic na przeszkodzie. Przełożony, na zapytanie, czy będę mógł swobodnie klasztor oglądać i kilka chwil spędzić w towarzystwie zakonników, nie tylko odpowiedział grzecznym zaproszeniem, lecz na domiar uprzejmości, nadmieniał w swoim liście, że powóz klasztorny czekać będzie na stacji kolei, bym przyjechawszy nie był w kłopotcie jak się dalej dostać.

Im bliżej byłem teraz tej stacji, tem piękniejszym dzień się robił. Deszcz ustał, szare chmury zaczęły podnosić się i w szmaty rozrywać, obłok błękitny coraz częściej się ukazywał. Wkrótce też całkiem się wypogodziło, i okolica przed

chwila jeszcze tak smutna, na widok słońca czerwcowego uśmiechnęła się radośnie.

Powóz, który na stacji zastałem, był wygodny, konie piękne i dobrze utrzymane. Z początku jechaliśmy kłusem, droga bowiem prowadziła wzdłuż wąskiej doliny, przez którą strumyk płynął; wkrótce atoli konie w biegu zwolniły, i odtąd jechaliśmy już krok za krokiem, wspinając się ciągle pod górę.

Po godzinie ujrzałem białe mury klasztoru. Stał wysoko, na szczycie góry, której wierzchołek gęstym lasem pokryty, kształtem swoim przypominał kopułę bizantyjską, i jak król na wyniosłym tronie siedzący, nad okolicą panował. Ale chociaż iglice jego wieżyc o chmury trącały, chociaż znajdował się w krainie wiecznej ciszy, kędy ledwie orzeł czasami zuchwale lot swój kieruje, przecież ani grozy, ani nawet obawy nie budził. Nie był on podobnym do ducha w bieli, który na milczącym cmentarzu ludzi przestrasza: raczej przypominał przyjaciela, który strudzonego wędrowca gościnnie pod swój dach zaprasza.

Nie upłynęła druga godzina, a ja siedziałem już w refektarzu przy obiedzie.

Była to sala długa, sklepią, mająca w jednym końcu olbrzymie okno włoskie, przez które tyle światła wpadało, że w jego łagodnym blasku już z daleka rozróżniałem na głównej ścianie twarze wszystkich apostołów, siedzących przy uczcie z boskim swoim Mistrzem. Była to kopia „Ostatniej wieczerzy“ Leonarda da Vinci, ale tak dobra, tak wierna, tak pełna tonu szlachetnego, że niejednemu mogła sam oryginał zastąpić. Jak się później dowiedziałem, przełożony klasztoru, który był wielkim miłośnikiem i znawcą sztuki, kazał ją zdjąć w Medjolanie wprost z oryginału, i wszystkie koszta pokrył z własnej kieszeni.

Przez całą długość refektarza, od okna do drzwi wchodowych, stały w dwóch rzędach stoły białymi obrusami nakryte. Przy jednych siedzieli zakonnicy, przy drugich młodzież z nowicjatu.

Przełożony, posadziwszy mnie obok siebie pod oknem, skorzystał z mego zapytania się w obraz na ścianie, wszczął

rozmowę o malarstwie, a mówił tak pięknie, tak porywająco, że zachwycony słuchałem, nie mając z początku odwagi ust otworzyć. Dopiero po dłuższej chwili zacząłem robić moje uwagi, a chociaż nie wszystkie z nich zgadzały się z jego przekonaniami, on jednak tak łagodnie ze mną walczył, że wkrótce zaprzestałem opozycji, przekonany z niezrównaną jego słodyczą.

W sali było najmniej sto osób, a mimo to panowała cisza uroczysta, przerywana zaledwie szelestem kroków tych z pomiędzy członków nowicjatu, którzy dnia tego u stołów usługiwali. Po drugim daniu przełożony zwrócił się do jakiegoś księdza świeckiego, po prawej swojej stronie, który także w dniu tym przyjechał klasztor odwiedzić, ze mną zaś wszczął rozmowę mój sąsiad najbliższy. Lubo, że był to człowiek bardzo jeszcze młody, ledwie dwudziestokilkoletni, erudycja jego była niezmierna. Przypuszczając, że jestem zwolennikiem panującej dziś w świecie filozofii materialistycznej, sprowadził zrecznie rozmowę na ostatnie wyniki badań naturalistów angielskich, i omijając zrecznie filozofów czysto kościelnych, zaczął przytaczać, począwszy od Platona, a skończywszy na Montalembecie, którego pisma ulotne obcemi mu nie były, uwagi najrozmaitszych myślicieli, hołdujących kierunkowi czysto idealnemu, by udowodnić, że samo zasklepienie się w materji i szukanie w niej tylko tak źródła wszelkiego życia, jak ostatecznej prawdy, jest błędem prowadzącym niewątpliwie umysł człowieka na manowce, a ducha do upadku. Wykład jego tak był jasny, siła argumentacji tak przekonywująca, że choćbym był chciał nawet, nie byłbym się ośmielił do walki z nim wystąpić.

W drugiej połowie objadu miejsce tego zakonnika zajął inny, który z tą samą, co przełożony słodyczą, mówił o sprawach bieżących, któremi właśnie kraj się zajmował. Gawędziliśmy swobodnie o polityce i przemyśle, o wyborach do wiedeńskiej Rady państwa i najbliższej wystawie krajowej, o sprawie żydowskiej i nowym marszałku, słowem o wszystkim. Memu towarzyszowi nic obce nie było, jakby żył



nie w klasztorze, lecz wśród świata i w jego życiu gwarnem czynny brał udział.

Podczas gdy się tak bawił przyjemnie, oczy moje biegły często do sędziwego zakonnika, który siedząc na szarym końcu, po drugiej stronie stołu, niekiedy do mnie się zwracał. Ilekroć zbiegły się nasze oczy, zawsze w jego spojrzeniu czytałem ciekawość. Zresztą i twarz jego była odmienną od tych, których tyle w refektarzu widziałem. Nie mogąc powiedzieć, by była rozumniejszą lub szlachetniejszą, wszakże zdawało mi się, że pod łagodnym jej wyrazem czułem energię nie zakonną lecz jakby żołnierską.

Gdy po skończonym objedzie zapytałem przełożonego, jak się nazywa ów zakonnik sędziwy, przełożony zamiast mi wprost odpowiedzieć, skinął ręką ku niemu. Na ten znak staruszek zbliżył się do nas krokiem przyspieszonym. Zakłopotany tą nadzwyczajną uprzejmością, na którą niczem sobie nie zasłużyłem, chciałem coś stosownego powiedzieć, przełożony jednak w tem mi przeszkodził, wzięwszy bowiem starca za rękę — rzekł:

— Nasz gość chce was poznać, ojcze Teofilu! — A obracając się do mnie dodał: — Ojciec Teofil nazywał się niegdyś Stanisławem Granowskim, ale ze zmianą stanu, nastąpiła także zmiana imienia.

Staruszek skłonił się głęboko i uściśnął mi rękę z takim uszanowaniem, jakbym był co najmniej członkiem rodziny panującej. Ta pokora, o której my, ludzie światowi, nawet wyobrażenia nie mamy, nie pozwoliła mi ust otworzyć. Zmieszany pochyliłem się tylko nad starcem, by go w ramię ucałować.

Wieczorem tegoż dnia przechadzałem się sam jeden po obszernym ogrodzie klasztornym. Byłem nie swój. Widziałem się w atmosferze nowej, wśród ludzi nie codziennych, którzy rozumem, łagodnością i pokorą, tak na mnie oddziaływali, że prawie zaczynałem już marzyć o wspólnem z nimi pożyciu. Na pamięć jednak przyszły żona, dzieci...

Idąc aleją grabową, która ogród w koło obiegała, przyszedłem do obszernej altany, utworzonej z kilku jasionów

płaczących, wśród której stał wielki sół kamienny. Jedną część altany była odsłonięta. Przez ten otwór widać było okolicę wzdłuż i wszerz na mil kilka, z jej monotonnymi i jałowemi górami; z rzeczułką, która dołem wiła się w skrętach tysięcy; z wioskami ukrywającemi się wśród jarów, i czarnemi lasami, w których wedle podań ludu pełno duchów i tajemnic.

Zapatrzony przed siebie, długo myślałem, że jestem sam jeden. Dopiero jakiś szept cichy z błędu mnie wywiódł. Odwróciłem głowę. O kilka kroków w prawo, obok ławki kamiennej klęczał ojciec Teofil, i modlił się z książki, która przed nim leżała. Nie mógł mnie widzieć, twarzą bowiem był w przeciwną stronę zwrócony.

Stałem oddech wstrzymując, aby jego modlitwy nie zakłócić. Białe włosy starca stroiły jego głowę w jasną aureolę — blade usta szeptały słowa to prośby, to podziękia — na całej twarzy była słodycz anielska. Snać w tej cichej modlitwie na ustroniu szukał pokoju, i tu go znalazł szczęśliwie.

Skończył, z ziemi się podniósł, i stanawszy u wylotu altany, spojrzął w dal siną. Co myślał teraz, gdy brwi ściągnawszy puścił wzrok po górach, lasach i rzeki brzegach skalistych, gdy na ustach osiadł mu uśmiech bolesny, gdy ręką zaczął niespokojnie zrywać liście z najbliższego krzewu — to chyba ten odgadnie, dla kogo serce człowieka nie jest tajemnicą, kto na strunach uczucia ludzkiego gra jak na harfie, dla kogo przeszłość jest tylko księgą, z której odczytuje terażniejszość, a przyszłość odtwarza...

W tej chwili na wieży kościelnej zadzwoniono na Anioł Pański.

Staruszek przeżegnał się nabożnie, twarz jego zrobiła się znowu łagodną i słodką, a ręka więcej nie drgała gdy do pasa sięgnął po różaniec.

Odmawiając pacierz wieczorny, odszedł w głąb ogrodu. Ja na dawnem miejscu stojąc, odprowadzałem wzrokiem ostatniego Karmazyna, póki nie zniknął wśród róż, bżów i jaśminów.



71532